

ZBIORY OSOBOKA KARTA

PRZEGLĄD POLITYCZNY

- Gdynia – czwartek, 17 grudnia 1970
 - Ireneusz KRZEMIŃSKI – Świat zakorzeniony
 - Jest reforma gospodarcza, czy jej nie ma?
– rozmowa z Jackiem MERKELEM
 - Tadeusz DONECKI – Chwałę Paryż
-

WYDAWNICTWO LITERY 1986

7

SPIS TRESCI

<i>Wiesława Kwiatkowska</i>	
Gdynia - czwartek, 17 grudnia 1970.....	3
<i>Ireneusz Krzemiński</i>	
Świat zakorzeniony.....	52
<i>Rozmowa z Jackiem Merkelem</i>	
Jest reforma gospodarcza, czy jej nie ma?.....	72
<i>Andrzej Richert</i>	
Pierwszy kryzys interwencyjny.....	89
<i>Tadeusz Donecki</i>	
Chwałę Paryż.....	102
<i>Jędrzej Branecki</i>	
Polski liberał Ferdynand Zweig.....	114
<i>Jerzy Kulicki</i>	
Zdziechowski i Rosja.....	120
<i>George Watson</i>	
Czy Hitler był marksistą?.....	131
<i>Samuel Obiedziński</i>	
Rzeka podniebna i ptaki podziemne.....	144
<i>Mirosław Gajda</i>	
Lekcja miasta.....	149

Numer zamknięto w grudniu 1985 r.

GDYNIA - CZWARTEK, 17 GRUDNIA 1970

Opracowała WIESŁAWA KWIATKOWSKA

PRYZSTANEK KOLEJKI ELEKTRYCZNEJ GDYNIA-STOCZNIA. WCZESNE GODZINY RANNE.

Wojciech Drożak: Rano, godzina 5.30, znalazłem się na przystanku Gdynia-Stocznia /1/. Przy skrzyżowaniu ulicy Marchlewskiego z Czechosłowacką stały czołgi, amfibie - no i po prostu nie puśczano nas do stoczni.

Stanisław Stenka: Kazali iść do pracy, to poszliśmy, nie wiedzieliśmy, że tam będą strzelać. Przez megafony mówili /2/, że stocz-

/1/ Charakterystycznym elementem przystanku kolejki elektrycznej w Gdyni-Stoczni jest długi drewniany pomost zawieszony nad torami i peronami. Łączy on dwie arterie komunikacyjne: ulice Czerwonych Kosynierów i Marchlewskiego. Istotniejsze jest jednak to, że przejść przezeń musi każdy - bo nie ma innej drogi - kto przyjechał kolejką elektryczną. Za nim znajduje się ok. dwudziestometrowy odcinek ograniczony płotami, dalej jest wiadukt, którego barierki z obu stron zabezpieczają przed przypadkowym wypadnięciem na tory. Oddziały zbrojne ustawiono tuż za wiaduktem. Aby dostać się do stoczni, trzeba przejść przez pomost i wiadukt do ul. Czechosłowackiej, która prowadzi do stoczni. Do portu, po przejściu pomostu i wiaduktu, skręca się w prawo, w ul. Polską. W 1970 r. kolejki zwożące ludzi z kierunku Wejherowa i Gdańska kończyły bieg w Gdyni-Stoczni i wracały do punktu wyjścia.

Przyjęło się uważać (od artykułu Tadeusza Woźniaka *Blizna*, "Czas" 1980, nr 51), że pierwsze strzały padły o godz. 5.55. Teresie Remiszewskiej wryło się jednak w pamięć, że gdy - obudzona strzałami - spojrzała na zegarek, była 5.15. Zygmunt Rośniak pamięta, że była 5.00.

/2/ Treść komunikatów ulegała zmianie, aktualizowała się pod wpływem wydarzeń. Pierwszy komunikat brzmiał: *Obywateli! Pracownicy Stoczni im. Komuny Paryskiej w Gdyni i pracownicy Portu Gdynińskiego. W związku z powstaniem, znana wam, sytuacja w stoczni, dla zapewnienia porządku i pełnej ochrony życia i mienia, władze nad stocznią objęły z dniem 16 grudnia br. i sprawują nadal organy bezpieczeństwa, ochrony i wojska. W tej sytuacji bezwzględnie zabrania się komukolwiek udawania się na teren stoczni. Osoby, które nie zastosują się do powyższego zarządzenia, mogą narazić się na poważne niebezpieczeństwo ze strony oddziałów i pododdziałów ochrony. Ostatni zaś: Komunikat dowództwa ochrony Stoczni i Portu. Będziemy do końca konsekwentni. Dla zmniejszenia strat zabitych i rannych prosimy wycofać się z niebezpiecznego terenu i przejść do miejsc zamieszkania i swych domów. Wejście do portu i stoczni będzie przez nas do końca skutecznie bronić.*

nia zamknięta, ale to tylko częściowo było słychać, a później w ogóle nie - może się coś popsuło, albo jak. No a jak mieli ludzie nie iść do pracy, skoro wieczorem w telewizji pan Kociołek tak mocno o to apelował? To skąd można było wiedzieć, czy to, co teraz mówią, jest prawdziwe?

Wojciech Drożak: Tutaj, jak z kolegą przeszliśmy przez pomost - wszystko działo się tu zupełnie z przodu, widziałem jak pociągi nadjeżdżały - z tyłu ludzie pchali nas po prostu do przodu, nie było jak się zatrzymać. Szliśmy więc do przodu, w kierunku stoczni.

Stanisław Kodzik: Przyjechałem drugą ranną kolejką, wyjeżdżałem z Wrzeszcza 5.19, tak że byłem przed 6.00. Pierwsza kolejka nie wróciła w stronę Gdańska, tak że ta, którą przyjechałem, zablokowała ją. Potem przyjechała jeszcze trzecia. Milicjanci stali przy samym zejściu ze schodów pomostu, było ich z sześciu, reszta stała na skrzyżowaniu i jeden z nich zaczął nam dyktować, co mamy robić. Żeśmy zeszli na dół i żeśmy ich odepchnęli, tak że oni stanęli tak w powowie wiaduktu i im do pomocy przyszedł cały pluton, tak było ich ze trzydziestu.

Przez głośniki, chyba z radiowozu, mówili coś, żeby nie robić zamieszania, żeby wracać, no ale nikt ich nie słuchał, bo nie wiadomo było, kto mówi. Najpierw wystrzelono świetlne pociski, później był wystrzał z czołgu. No ale już wtedy ludzie szli, już żeśmy ruszyli, ludzie taką całą ławą szli. Padać zaczęli nie ci w pierwszych szeregach, lecz z dalszych, bo oni strzelali w bruk, pociski odbijały się od kocich łbów i straszliwie raziły, bo najgorszy jest właśnie taki rykoszet, powoduje największe rany. Ktoż mnie dostał jeden w krtań, jeden w nogę.

Wojciech Drożak: Tłum ludzi podchodził do tych czołgów, przy których ludzie krzyčeli "domagamy się chleba". Znaleźliśmy się w odległości gdzieś dziesięciu metrów od czołgów, od tych wojskowych pojazdów. I wtedy - jak to powiedzieć - no, sygnal, żeby nastraszyć ludzi: wystrzał z lufy czołgowej w kierunku lasu. Ludzie zaczęli uciekać. Ja nie zauważyłem, że ludzie uciekają, dopiero po chwili zobaczyłem, że znalazłem się prawie sam, odwróciłem się, zacząłem też uciekać i w tym momencie spojrzałem na słup metalowy, gdzie akurat - pewnie przypadkiem - lufa czołgu była skierowana i zobaczyłem taki rozbłysk... Wyglądało to jak zimny ogień, tylko ogromny. I stała tam kobieta, mogła mieć około czterdziestu lat, no i dostała tymi odpryskami. Po strzale był krzyk, przewróciła się. Oglądałem tę kobietę później, jak już przyjechały karetki, już leżąca w karetce. Wyglądała strasznie. Twarz zmasakrowana, nosa, oczu nie było nic widać, no strzępy, strzępy z twarzy; żyła jeszcze i widok był straszny.

A wtedy, gdy uciekałem po strzale, jak biegłem w stronę tłumy, to akurat natknąłem się na jednego gościa z tłumy, w zielonym golfie, miał w okolicy serca ranę, krew tryskała jemu tak jak gdyby z kranu. Co się z nim później stało, nie wiem, bo oni - znaczy wojsko czy milicja - podchodzili coraz bliżej, z tarczami na wysokość człowieka i ludzie uciekali - niektórzy przez płoty na boki, część po schodach na pomost. I właśnie w tym momencie, kiedy ja zmierzałem do pomostu, została ranna kobieta w ciąży, również w twarz. Widziałem bardzo dobrze, zresztą przy niej byłem, że miała cały policzek, oko, okolice nosa poszarpane. Była w zaważowanej ciąży, a stała się to na pierwszych stopniach prowadzących na pomost, patrząc od strony stoczni.

Ireneusz Dunst /3/: Mieszkałem na ulicy Czerwonych Kosynierów na przeciw pomostu, w mieszkaniu położonym na pierwszym piętrze. Zimą mam widok na Czerwonych Kosynierów i narożnik Czechosłowackiej i Marchlewskiego. Przed szóstą zbudziły mnie strzały. Wy-skoczyłem z łóżka i do okna, bo sypialnię mieliśmy akurat w pokoju od ulicy. W domu zrobił się szum. Przepędziłem bractwo do drugiego pokoju, tego od strony lasu. Przypomniałem sobie rok czterdziesty piąty, jak to człowiek pod oknami się czołwał, gdy strzelano, żeby nie oberwał kulki. Oczywiście płacz w domu, dziecko zaczęło bzużyć. Żona jest nauczycielką, próbowała do szkoły się dostać, żeby dzielnicy przeprowadzać do domów. Lekcji nie było.

Ciemności były. Widział tylko pomost pełen ludzi, peron pełen ludzi - słama, śnieg, wiatr. Opór strażników był wielki, nie było szans, aby się dostać, wszystko się tłęło. Działy w tym czasie jeszcze dojeżdżały, koleją tak z Wejherowa, jak i z Gdańska. Ten wyprawy się z tych kolejek. Widziałem taką tę beznadziejność, że ci ludzie, którzy byli w tej masie, to nawet gdyby chcieli się cofnąć, nie mogli, bo nie było dokąd. Całe schody, góra pomostu i peron były zapchane ludźmi.

Stanisław Stenka: Potem ludzie wyszli do góry i nagle, ni stąd, ni zowąd, już byłem w tłumie. Zostałem trafiony w nogę. Wydaje mi się, że ten strażnik musiał się odbić o słup betonowy, który był w pobliżu, bo był tłok i w tłumie się to stało. Bałem się nawet krzyczeć, prosić o pomoc, bo... dziwiłem się, jak to możliwe, że można zostać postrzelonym w tłumie. Na jednej nodze doskakałem do wiaduktu, gdzie byli zdrowi, którzy poprzednio przez pięty skakali aż do pociągu; część z nich już niosła rannych. Wciągnąłem się po takiej barierze do góry, odsoniłem nogę, której zupełnie nie czułem, bo chciałem stanąć - i już mi się zrobiło ciepło i słabo, więc krzyknąłem do jednej kobiety, żeby mnie podtrzymała. Ona na widok krwi krzyknęła przerażona i wtedy wzięli mnie mężczyźni, zanieśli na drugą stronę, na ulicę Czerwonych Kosynierów; wsadzili mnie do samochodu. Widziałem, jak na ciężarówkę, starą ciężarówkę, ładowano postrzelonych. To było na Czerwonych Kosynierów o godzinie szóstej zero siedem. U góry było trzech mężczyzn i pomagali po prostu wciągać ludzi na samochód. Mnie wsadzono w prywatną taksówkę i pojechałem do szpitala.

W taksówce siedziałem po prawej stronie, obok mnie siedział facet, który mocno krzyczał, że jest postrzelony, a z przodu siedział mężczyzna postrzelony w kark. Przewiązałem nogę sznurkiem, żeby nie krwawiła, a ten mężczyzna obok mnie - później, za tą restauracją "Brudas"/4/ - to przestał krzyczeć. Jak wysiadałem z taksówki, chciałem mu pomóc, żeby go wyprowadzić, ale już tylko... Złapałem go, to się przewrócił i... Poszedłem do szpitala na izbę przyjęć, tam było pełno ludzi, krzyk tam był i płacz. Mężczyźni krzyczeli, że gwałt, że zabijcie, dobijcie, a kobiety - salowe i pielęgniarki - płakały.

Jacek Węglarz: Jechałem na pół do siódma do roboty. Wyjeżdżam z Gdańska-Oliwy; przyjechałem do przystanku Gdynia-Stocznia. Zjechały się tam dwie kolejki - ta z Gdańska spotkała się z tą z Wejherowa. Wsiadł nas tłum ludzi. I z tłumem tym podążałem po schodach z pomostu na wiadukt. Atmosfera już była napięta, bo już milicja, czołgi... Myśmy za bardzo nie wiedzieli o co chodzi,

/3/ Inżynier elektryk, zastępca kierownika w SKP.

/4/ Popularna nazwa restauracji "Renesans".

zśliśmy, tak jak nas wszystko wysiadło, zśliśmy. Powstrzymały nas strzały wtedy. Szłem w pierwszym czy drugim szeregu, już teraz nie wiem, ale w czołowie. Dostałem wtedy.

Osobliście nie słyszałem żadnych ostrzeżeń i stwierdzam, że żadnych ostrzeżeń nie było. Może wcześniej - tego nie powiem - ale jak ja się znalazłem w tym miejscu, nic nie było. No i padły strzały. Po pierwszych strzałach padłem ja, dostałem po nogach.

Z początku myślałem - bo to z Gdańska różne wersje były, bo strzelali wcześniej w Gdańsku - że to jakieś pociski paraliżujące, bo bólu nie poczułem w pierwszym momencie, tylko gorąco mi się stało strasznie, obróciłem się wkoło swojej osi i padłem na ulicę. To nie były przelewki. Słyszę, że pociski koło głowy wiszą, więc podniosłem się na tej nodze, podskoczyłem do barierki, zżarałem się barierki, spojrziałem na nogę - widzę, że noga wisi wykręcona tak jakos niesamowicie, krew się leje, więc zacząłem krzyczeć. Dwóch kolegów do mnie podskoczyło, wzięli mnie pod pachy, ściągnęli pod płot. Jeden ściągnął mi szalik, związał mi nogę szalikiem... Więc, że żadnej komunikacji nie było, żadnych karettek ani samochodów, więc nas układali pod płotem.

Nadjechała jakaś nyska czy żuk, więc ten tłum ludzi zatrzymał tę nyskę, żeby nas zabrać do szpitala. Kierowca trochę stawiał opory, bo się bał, bo on wiedział, że szpital jest obstawiony milicją, ale tłum nalegał mocno, więc otworzyli drzwi, naładowali nas tam. Poukładali nas tak jak śledzie, jedno na drugim, żeby jak najwięcej nas weszło, jeden drugiego okrwawił... Było nas dziesięciu albo nawet ponad dziesięć osób w tej nysce.

Kierowca podjechał pod szpital, był tam wielki tłum ludzi, więc ludzie nas wyciągali z tego samochodu, układali na posadze w holu szpitala.

Leon Kaszubowski: Rano wstałem, wsiadłem na motorower i pojechałem w kierunku stoczni. Było przed szóstą, bo pół do siódmej zaczynałem pracę. Jechałem Czerwonych Kosynierów, przy pomocy już widziałem dużo ludzi, stali na pomoście i na ulicy. Minąłem ich i pod wiaduktem, Dworcową, pojechałem w kierunku Marchlewskiego. I przy sądzie już nie mogłem przejechać. Patrę - przy sądzie stoi czołg. Spotkałem kolegę i on mówi: "Gdzie ty się pchasz?". A ja mówię: "Co ty tu robisz, czemu do pracy nie idziesz?". A on mówi: "Bo tam nie idzie, nie przepuszczają". Ja mówię: "Co ty tam gadasz" - i chciałem jechać, a on mówi: "Stój wariacie, przecież tam mogą strzelać!". Ja mówię: "Co ty gadasz za głupoty, jak mogą strzelać? Do kogo?".

Ruszyłem, przepychając się przez ludzi, trudno było jechać, bo cała ulica była pełna ludzi. Jedni stali, inni szli w kierunku stoczni, inni uciekali z kierunku stoczni, ale ja nie zdawałem sobie sprawy z tego, co tam zaszło i pchałem się do przodu.

Wtedy wyprzedziło mnie pogotowie, karetka pogotowia. No to pojechałem za nią, krótko za zderzakiem, tak jak to pogotowie wolno - bo nie mogło inaczej - jechało. Pogotowie ludzie przepuścili. Podjechałem na ten wiadukt - zobaczyłem kilka postaci leżących na ulicy i szpaler tych milicjantów czy żołnierzy, którzy tarasowali ulicę Marchlewskiego i Polską. Karetka pogotowia zatrzymała się po prawej stronie tego kordonu milicyjnego, a ja zrobiłem koło, objechałem tę wysepkę, to małe rondo, i stanąłem przy pomoście.

Przez megafon mówiła jakaś kobieta, że prosi stoczniovców, ro-

nie było już po co dawać na stół... I tam pod salą pokotem leżeli. Były też takie wypadki, że się doszło do samochodu, otwiera się drzwi - a tu trup leży gotowy.

I też nie zapomnę: jestem w izbie przyjęć, wprowadzają kilku stoczniovców. Jeden taki niepozorny, szczuplusieńki, drugi barczysty blondyn trzyma się za szyję i krew mu po ręce leci. To ja podchodzę do niego, chcę mu opatrunek założyć, a on mówi - jemu, on ma dzieci, mnie nic nie jest, jemu. Idę do tego bladziutkiego, a on tak mi się usunął... klap - i trup. A na paluszkach miał obrączkę taką cieniutką jak niteczka.

Przez cały czas wejście do szpitala pilnowane było przez asystujących portierce palaczy, bo co i rusz milicja próbowała dostać się do środka. Raz nawet się wdarli - "my was skurwysyny wymordujemy! Wy buntowników ratujecie!".

SZPITAL MORSKI IM. CZERWONEGO KRZYŻA W GDYNI-REDŁOWIE

Barbara Bzowy: Byłam pierwszym lekarzem, który tego ranka zdołał dotrzeć do szpitala i mogłam wesprzeć pomocą dyżurujących jedynie kilku lekarzy w ciągu nocy. Dosłownie w momencie przybycia i w ciągu jednej niemal chwili wniesiono nosze z kilkunastu karet z ciężko rannymi. Nie da się opisać tego dramatycznego obrazu w izbie przyjęć szpitala. Może potrafiłby to postronny obserwator. Lekarz pracuje wówczas jak w transie, widzi przed sobą tylko jedno: pomóc szybko i najskuteczniej, tym bardziej, że było nas zaledwie czworo czy pięcioro. W kilkanaście minut potem zaczęli docierać przeróżnymi drogami następni lekarze i pielęgniarki. Zrobiło się trochę lżej, tym bardziej, że w szybkim czasie praca całego personelu szpitalnego została doskonale zorganizowana przez ówczesnego dyrektora szpitala Władysława Czaplńskiego, nieżyjącego już obecnie, i mianowanego przez niego szefa całej akcji ratunkowej doktora Labuna. Zaczęła się normalna zorganizowana praca całego zespołu - ewakuacja rannych do domu, dla stworzenia miejsc (szpital był jak zwykle przepełniony do ostatniego łóżka) i niekończące się operacje, opatrunki, transfuzje, kroplówki itd. Niby normalna praca lekarska, którą wykonuje się w szpitalu przez wiele lat, a jednak pozostaje w pamięci jak żywa, poprzez niepowtarzalny ludzki dramat. Nie można zapomnieć zgonu młodych, osiemnasto- dwudziestoletnich chłopców, a tym bardziej zapamiętać zgonu z powodu postrzału w płuca.

POTĘD & CIAŁEM NA DRZWIACH. TRASA: GDYŃIA-STOCZNIA - PREZYDIUM MIEJSKIEJ RADY NARODOWEJ

Stanisław Weber: Po tym, jak padły strzały, ludzie się rozprysli. Część uciekała przez tory, peron na blicę Czerwonych Kosynierów, reszta górą pomostu. Jak się uspokoiło, ludzie zaczęli podchodzić z powrotem, żeby zobaczyć, co się stało. Jeden z mężczyzn wszedł na pomost, nachylił się nad kims leżącym, podniósł w górę białą, zakrwawioną szalik i krzyczał: "Zobaczcie, zabili kobietę!".

Wojciech Drożak: Ludzie byli na pomoście, na peronie, byli też na takim nasypie, który był między peronem pierwszym a drugim. Jak oni zaczęli strzelać, to ludzie uciekali z tego nasypu, tak że przewrócili ogrodzenie ze stalowej siatki. Uciekaliśmy na Czerwonych Kosynierów i tam zaczęliśmy zatrzymywać prywatne samochody, braliśmy paliwo - butelki braliśmy od ludzi z mieszkał - 1, właściwie nie wiem dlaczego, z nerwów chyba, wlałiśmy benzy-

nę na pomost i żeśmy podpalili. Pomost się nie zajął, bo mokro, bo grudzień - no i cały czas strzelanina. Raz oni się wycofywali, raz my i cały czas takie przeganianie.

Leon Kaszubowski: Około godziny ósmej jechałem motorowerem ulicą Czerwonych Kosynierów w kierunku Chyloni. Kiedy zbliżyłem się do pomostu przy Gdyni-Stoczni zostałem zatrzymany przez robotników. Przewrócili mi motorower do góry nogami, wylali benzynę ze zbiornika do wiadra, bo - powiedzieli - idą podpalać pomost, żeby się milicja nie dostała do ulicy Czerwonych Kosynierów.

Stanisław Kodzik: Trzy razy ich odpychaliśmy, że się cofali. Z dołu, z torów podawano nam kamienie i waliliśmy tymi kamieniami. Pobiliśmy im tarcze, jednego nawet jego koledzy musieli odciągnąć, bo dostał. Kumpel dostał świecą kławiącą w głowę, strasznie go szczypało, wpadliśmy do mieszkania - jak się schodzi na ulicę to pierwszy budynek - dali nam ciepłej wody, mydła, obmyliśmy mu głowę i z powrotem wróciliśmy.

Wojciech Drożak: Później nadleciał helikopter - no to już było później, gdzieś przed ósmą - i bardzo, bardzo nisko się opuszczył, tak że widać było twarze siedzących w nim ludzi. Byli zadowoleni i uśmiechnięci i rzucali petardy. Jedna petarda spadła pod pomost. Siłę miała bardzo dużą, myśmy stali na pomoście, tam jest dosyć wysoko, a podmuch żeśmy czuli na pomoście. Z helikoptera nie dość, że rzucali petardy, to jeszcze strzelali otworem ogniem do ludzi, którzy stali na dole. Nie wiem, czy mieli taki cel, czy robili to dla przyjemności. Wtedy oni - to znaczy milicja czy wojsko - zaczęło się cofać. Byli w maskach gazowych i z oddechałkami. Kiedyś, kiedyś w maskach zaczęli rzucać petardy. Więc te petardy spadały w ręce i odrzucaliśmy w nich i powrotem. I kamieniami rzucali tak wszyscy, tak żeśmy właściwie opuszczali sytuację i oboje musieli się wycofać. Więc później strzelali po prostu z broni palnej.

Stanisław Weber: Duża grupa młodzieży stała na pomoście i kamieniami walili o te metalowe rury i krzyczeli "gestapo". I tym najbardziej się dostało. Poszła następna seria.

Paweł Marczewski: Znajdowałem się mniej więcej na jednej trzeciej długości pomostu, gdy zobaczyłem, że niosą zabitego chłopca. Pamiętam, że na nogach miał takie popularne pionierki. Ten szczególnie utkwił mi w pamięci. Ranę miał za uchem, była wielkości pół dłoni. Widziałem z bliska.

Józef Bińczuk: Tego chłopca niesiono najpierw na biało-czerwonej fladze, ale to nie było wygodne, więc razem z tą flagą położono go na drzwiach. Później, gdy pochód został rozbity, widziałem tę flagę zatknętą na słupie trakcyjnym na ulicy Śląskiej. Była tak samo rozerwana.

Stanisław Weber: Ten chłopiec zginął gdzieś około godziny 9-9.20. Wiekotórzy mówią, że został trafiony na samym pomoście, ja bym się z tym nie zgodził. Z tego, co wiem, został zastrzelony na wysokości restauracji "Renesans". W tym czasie szedł pochód pracowników TOS-u, tu od szkoły morskiej - i sądzę, że właśnie ci ludzie wzięli go na początku i nieśli. Dołączyłem do pochodu przy barakach na Czerwonych Kosynierów, gdy przyniesiono wyjęte z toalety męskiej w tym baraku drzwi, które posłużyły jako nosze/7/.

/7/ Pisze o tym Małgorzata Niezabitowska w artykule *Sztandar i drzwi*, "Tygodnik Solidarność" 1981, nr 37 (ostatni).

Zdzisław Slesarow: Stałem na Dworcu Głównym. Samochody na światłach długich, na sygnalach zaczęły jeździć, woziły rannych czy zabitych. W pewnym momencie usłyszałem od strony ulicy Czerwonych Kosynierów śpiew. Przeszedłem na drugą stronę dworca. Z odległości dwustu, trzystu metrów ujrzałem grupę ludzi idących w pochodzie śpiewających hymn polski. Na drzwiach typu mieszkalnego nieśli człowieka. Nie wiem, kto to był, nie znam nazwiska, zresztą w tym czasie nie wiem, czy w ogóle by mi przyszło do głowy, żeby wypytywać kto to jest. Na czele tego pochodu szła dziewczyna, młoda dziewczyna z białą-czerwoną flagą/8/.

Włączyłem się w ten pochód gdzieś w środku, w tylnych szeregach. Pochód przeszedł pod wiaduktem Pokoju na ulicę 10 Lutego, stąd na Świętojańską w kierunku Prezydium Miejskiej Rady Narodowej, oczywiście cały czas krzycząc: "Mordercy! Mordercy! Gestapo!"

Stanisław Kodzik: Przed wiaduktem, na wysepce, stał czołg. I z tego czołgu żołnierze wycelowali do nas z peemka, lufa była zwrócona w naszą stronę. Zatrzymaliśmy się i krzyczymy, czy będą do nas strzelać. Odpowiadają, że jeśli ich atakować nie będziemy, to nie będą. I nas koło tego czołgu przepuścili.

Eleonora Karzewska/9/: Stałam na ulicy 10 Lutego na wysokości polikliniki. Spod wiaduktu wyłonił się tłum śpiewający "Jeszcze Polska". Kilku mężczyzn niosło na drzwiach młodego chłopca. Miał szyję zakrwawioną, okropnie to wyglądało. Za nim dwie osoby niosły chorągiew białą-czerwoną tak silnie skrwawioną, że podeszłam bliżej, żeby przekonać się, czy to istotnie krew. Chłopiec był przeźroczyście bledy, blondynek o króciutkich włosach, taki dzieciak. Ubrany był jasno, biała czy żółta bluza, coś takiego. Spodnie mógł mieć ciemne, ale góra ubrania była jasna, dokładnie pamiętam. Na filmie pokazano, że był ciemno ubrany, flaga czysta - nic mi się nie zgadza.

Wojciech Chochowski/10/: Była szarówka, godzina najdalej siódma, gdy z tunelu dworca wyszedł pochód z ciałem na drzwiach. Charakterystyczną cechą tego pochodu było ciągle przemieszczanie się w nim ludzi, taki ruch wirowy, szczególnie silny w pobliżu niesionych zwłok. Pochód przemierzył Plac Konstytucji i poszedł ulicą Międzywójską w kierunku miasta.

Paweł Marczewski: Chcieliśmy przejść pod wiaduktem na ulicę 10 Lutego, nie udało się nam. Stały tam skoty i czołgi, charakterystyczne, że były to wojska lądowe, a dowodził oficer Marynarki Wojennej. Wyszedł naprzód i zaczął krzyczeć dość histerycznie, wyjął nawet pistolet. Wtedy wieżyczki wszystkich pojazdów zwróciły się w naszą stronę, część ludzi się rozbiegła, ale ci, którzy nieśli flagi i ci, którzy nieśli tego chłopaka, stali nadal. Jednak cofnęli się i poszliśmy pod tunelem dworcowym.

/8/ Nazwisko dziewczyny nie jest znane, ale jej postać utrwalała na została - co prawda w sposób mało ostry - na zdjęciu.

/9/ Pielęgniarka zatrudniona w przychodni zakładowej SKP.

/10/ Żołnierz służby czynnej Marynarki Wojennej. W nocy z 14 na 15 grudnia jego jednostkę przewieziono z Wejherowa, przebywał do soboty (18 grudnia) w sądzie przy placu Konstytucji.

Byliśmy na wysokości skrzyżowania 3 Maja i 10 Lutego; przy banku stał skot. I jeden z kolegów nie wytrzymał nerwowo, wyskoczył na ten opancerzony samochód, rozchylił płaszcz, przyłożył do karabinu maszynowego i mówi: "Strzelajcie sukiny! " Żołnierz, który był w wieżyczce, minę miał niewyraźną, oficer, który był koło kierowcy, zachowywał się tak, jakby nic nie widział. Bo po prostu myśmy przed nimi szli z tymi drzwiami. Ten kolega Fred płakał, krzyczał na tym wozie, a żołnierze byli jak sparaliżowani.

Andrzej Galant: Szliśmy 10 Lutego, Świętojańska, a po drodze - wiadomo - "Jeszcze Polska nie zginęła", "Boże coś Polskę". I przy kościele Najświętszej Marii Panny dwóch weszło do kościoła, wyjęli krzyż i położyli mu ten krzyż w nogach. No i oczywiście obsypany kwiatami, poprzykrywany kwiatami. I dalej w górę ulicy.

Stanisław Heber: Jak żeśmy skręcali w ulicę 10 Lutego, widać było, że na Skwerze Kościuszki stoi milicja. Stała tam, gdzie Pomnik Wdzięczności Armii Czerwonej, ale bliżej Świętojańskiej, tak że wejście na Skwer Kościuszki było zastawione. Kiedy nasz pochód skręcił w ulicę Świętojańska, ta grupa milicji zamknęła pochód i posuwała się za nami w górę Świętojańskiej.

Z którejs kwiaciarni na ulicy Świętojańskiej zostały wzięte wszystkie kwiaty i zostały położone na tego chłopaka.

Doszliśmy gdzieś na wysokość "Kosakowa"/11/, czoło pochodu z tymi drzwiami znajdowało się już między ulicą Czołgistów a starym CFN-em, gdy od Miejskiej Rady Narodowej, od Czołgistów wyszła też milicja. Zostali wzięci w dwa ognie. Erzwie i stałem położone na jezdni i ludzie się rozpierzchli. Cofali się do tyłu w Traugutta, uciekali w klatki schodowe, przbiegali na Władysława IV.

Edmund Peplinski: Gdzieś około godziny dziesiątej Świętojańska szedł kolejny pochód - ten z chłopcem na drzewkach. Na przedzie biało-czerwona, zbrzydzana krewią flaga, niesiona w poprzek ulicy. Na zdjęciu jej nie widać, bo niesiono ją kilkanaście metrów przed chłopcem. Pewnie, że trzeba było zrobić jedno zdjęcie za drugim, ale ja wtedy czekałem na ten zasadniczy moment, na uchwycenie centralnie tych drzwi, a wtedy niosący flagę byli już kilkanaście metrów dalej.

Na rogu Świętojańskiej i Żwirki i Wigury uformowała się w tym czasie milicyjna zapora. Składała się z gazików ustawionych tyłem do maszerującego tłumu, na których stały wycelowane w tłum działka - takie wyrzutnie granatów z gazami łzawiącymi; gaziki jechały do tyłu, w stronę zbliżającego się pochodu, za gazikami szli milicyjanci, ukryci za takimi krzyżackimi tarczami. Była to istna scenografia filmowa, tylko że wiało od niej niesamowitą grozą.

Gdy pierwsze granaty wybuchły, nad idącym tłumem pojawiły się obłoki gazu, które szybko się powiększyły i zasłoniły widoczność. Kiedy ten grzący, łzawiący dym opadł, ludzie z pochodu - którzy zostawili chłopca z drzwiami na ulicy i rozbiegli się - powrócili i ponieśli go dalej.

Zdzisław Slesarow: Doszliśmy na wysokość restauracji "Polonia". Z przeciwnej strony zbliżała się duża grupa uzbrojonych - w hełmach, z tarczami, pałami. Nadleciały też w to miejsce helikoptery - dwa albo trzy - które rozrzuciły dużą ilość gazów łzawiących.

Ja nie wytrzymałem tego. Byłem jednym z wielu, którzy próbowali chować się po bramach, żeby choć trochę złapać świeżego po-

/11/ Sklep mleczarski na rogu ulic Świętojańskiej i Traugutta.

wietrza. W każdym razie ja się schowałem, uciekłem, schowałem się w tym budynku, gdzie jest "Polonia", tam był taki warsztat samochodowy.

Kiedy wyszedłem z tej bramy, patrzę - nie ma nieboszczyka, nie ma też dziewczyny z flagą.

Andrzej Galant: A przy Prezydium zaczęło się znowu strzelanie. No to ci, co go nieśli, położyli go z tymi drzwiami na ulicy, no i każdy w nogi, bo nikt nie chciał kulki dostać, no nie? Do przyjemności to nie należało. To było na wysokości starego CPW-u, teraz postawili tam ten nowy blok/12/.

Kazimierz Kunert/13/: Na polecenie komandora Góreckiego/14/ wyszedłem z Prezydium, by zbadać, czy człowiek leżący na drzwiach przyniesiony przez demonstrantów nie potrzebuje pomocy (leżał mniej więcej na wysokości apteki). Stwierdziłem, że nie żyje, nastąpiło już częściowe stępienie pośmiertne. Utkwiły mi w pamięci następujące szczegóły: drzwi, na których leżało ciało, różniły się od standardowych mieszkalnych - równomiernie obramowane trzy kwadraty. Do drzwi przymocowany był krzyż - nie pamiętam, czy umieszczono go od strony głowy, czy od strony nóg, pamiętam natomiast, że był przybity do drzwi dwoma gwoździami (krzyż był na podstawie), na krzyżu zawieszony wianek kwiatów. Stwierdziwszy, że żadnej pomocy leżący na drzwiach nie potrzebuje, wróciłem do Prezydium.

Żdzisław Betlejewski: Mogła być godzina siódma, gdy pochód znalazł się przed frontem budynku Prezydium. Drzwi ze zwłokami położono na jezdni, w miejscu gdzie jest teraz postój taksówek. Wokół drzwi stanęli ludzie z flagami - taki rodzaj warty honorowej - dalej niezbyt liczny tłum. Chcieli rozmawiać z Marińskim/15/. Śpiewali hymn polski i Rotę. Było to niezwykle przejmujące.

Teresa Remiszewska: Koło dziesiątej zobaczyłam idący 10 Lutego od strony dworca pochód. Był nieduży, gdzieś sześćdziesiąt-siedemdziesiąt osób, chłopców w mundurkach szkolnych, takich garniturkach noszonych przez młodzież licealną. Na zwykłych, białych drzwiach nieśli ciało.

Nim pochód do nas się zbliżył, zdążyliśmy przejść na drugą stronę ulicy 10 Lutego i wtedy zaczęły padać strzały. Z okna naszego domu naprzeciwko zobaczył nas znajomy i zaczął krzyczeć: "Uciekajcie, bo strzelają!". Weszliśmy do niego na piętro i z okien jego mieszkania, skąd jest doskonały widok na całą ulicę 10 Lutego, patrzyliśmy. Pochód już wtedy zaczął skręcać w prawo.

/12/ Świętojańska 11C.

/13/ We wtorek 15 grudnia komandor Jaruszyński polecił komandorowi doktorowi Kunertowi zorganizować punkt ambulatoryjny w PMRN. Razem z komandorem doktorem Żdzisławem Betlejewskim przebywali tam od 15 do 19 grudnia - Betlejewski bez przerwy, Kunert z przerwą na odbycie wcześniej zaplanowanego dyżuru w Pogotowiu Ratunkowym (dyżur w nocy ze środy na czwartek). Do PMRN doktor Kunert wrócił ok. ósmej rano.

/14/ Komandor Jan Górecki był dowódcą obrony budynku PMRN, polegali mu chorążowie z Wyższej Szkoły Marynarki Wojennej. Z zewnątrz obstawiała budynek jednostka pomocnicza spod Szczecina, młodzi chłopcy, od dwóch miesięcy w wojsku.

/15/ Przewodniczący Prezydium MRN.

w Świętojańska. Przeszedł już chyba wtedy przez ostrzał, być może był trochę mniejszy, ale twardo szedł dalej. Po mniej więcej pół godzinie wyszliśmy z tego domu i zobaczyłam, że te drzewy z ciałem leżą na ulicy. Było to gdzieś na wysokości kościoła. Z kwaciarni położonej na przeciw kościółka wynoszono kwiaty i okrywano nimi ciała. Przy ciele ludzi było bardzo mało - może osiem lub dwanaście osób. Ludzie kwiaty przynosili, kładli na nim i uciekali. Wtedy też usłyszałam strzały - nie mam pojęcia, skąd mogły padać, nie potrafię nawet określić kierunku.

Zdzisław Kalinowski/16/: Zobaczyłem pochód za kościołem Najświętszej Marii Panny. Na drzwiach niesiono bezwładnie rzucone ciało. Umarły leżał na wznak, ręce rozkrzyżowane, nogi w lekkim rozkroku, kolana zgięte, twarz popielata, włosy blond. Niesiono go nogami naprzód.

Ludzie towarzyszący pochodowi - a był nieliczny - wołali: "Chodźcie z nami! Nie bójcie się!". Nie widziałem jednak, by do pochodu ktoś dołączył, choć na chodnikach były tłumy.

Pochód nagle zatrzymał się przy domu dawnego "Pagetu" i myślałem, że zwłoki spadną, bo jeden z niosących drzwi wskazywał zaczął na okna w górę. Drzwi uformowano tak, że były zwrócone w kierunku tego domu. Spojrzałem w górę i zobaczyłem, że ktoś z drugiego lub trzeciego piętra fotografuje.

Towarzyszyłem pochodowi do ulicy Obrońców Wybrzeża, w ulicę tę skręciłem i tu natknąłem się na garstk milicjny. Wyskoczyło z niego trzech rozeszianych milicjantów. Paręgam ich rozbawione twarze, wleźli w tamtych kierunku i coś rozeszliśmy mówili/17/.

POCHÓD Z PREZYDIUM MIEJSKIEJ RADY NARODOWEJ DO GDYNI-STOCZNI/18/.

Zdzisław Slesarow: Ludzie ze Świętojańskiej poruszkali w różnych kierunkach. Ja po tym wszystkim, kiedy tego nieboszczyka już nie widziałem, ja się znalazłem na ulicy Władysława IV - tam w szkole, naprzeciwko budynku, gdzie znajduje się "Tomcio Paluch". I zauważyłem taką rzecz, która również bardzo mocno w mojej pamięci została zapisana. Chodzi o stację benzynową, która znajduje się przy Miejskiej Radzie Narodowej. Tam tłum bardzo młodych ludzi - dzisiaj mogę powiedzieć, że kto wie, czy to nie była młodzież szkół podstawowych, ale nie tylko, bo również i starsi - po prostu nacierał na grupę milicyjną, która nie wiem, czy czuwała przy stacji benzynowej, czy miała takie zadanie, czy po prostu bali się, żeby tłum nie zdobył paliwa i żeby nie poleciały butelki z benzyną.

/16/ Inżynier chemik, zatrudniony w SKP.

/17/ Między poszczególnymi opisami pochodu zachodzą rażące nieraz różnice co do czasu trwania, liczebności uczestników, przemierzonej trasy, wyglądu zwłok czy miejsca rozproszenia pochodu. Były zbyt istotne, by móc je wyjaśnić wyłącznie przeinaczeniami relacjonujących, wynikłymi niewątpliwie na skutek wpływu czasu i olbrzymich emocji, które towarzyszyły uczestnikom i bezpośrednim obserwatorom tamtych wydarzeń. Wątpliwości rosną przy konfrontacji zdjęć zwłok na drzwiach z niektórymi ich opisami. Dopiero przesłuchanie zapisu rozmów milicji nasunęło rozwiązanie: prawdopodobnie były dwa, a nawet więcej, pochody z ciałem na drzwiach.

/18/Krażyła pogłoska, że w Wyższej Szkole Morskiej władze mają rozmawiać z demonstrantami - stąd kierunek pochodu.

Ja, tak jak powiedziałem, stanąłem przy tej szkole, za filarem. Tam również padały strzały, ale nie umiem powiedzieć - bo nie widziałem - czy ktoś został zabity. W każdym razie leciały tam kamienie chodnikowe i z torów kolejowych, a milicja czy wojsko - nie wiem, kto bronił tej stacji benzynowej - od czasu do czasu przypuszczali szturm do tłumu.

Leon Kaszubowski: Między CPN-em a Prezydium co jakiś czas rozlegały się strzały i po każdym z tych strzałów widziałem, jak biegiem nieśli ludzie kogoś rannego, widziałem to czterokrotnie. Tak to dokładnie było. Ci milicjanci ubrani normalnie nie strzelali do nas, tylko krzyczeli, a ci ubrani w te zielone mundury strzelali.

Trochę się po ulicy pokreśliłem i zobaczyłem, że utworzył się pochód idący w kierunku stoczni i udałem się z tym pochodem w kierunku stoczni. Po tych strzałach, co tam były na Świętojańskiej, znowu ludzie wrócili w kierunku stoczni, znowu z chorągwiemi, ze śpiewem. To dość ciekawie wyglądało, bo z helikopterów rzucano gazy żwawiące. Niektórzy to nawet siusiali, żeby zagasić, niektórzy podawali przez okna czajniki, żeby zalać wodą, bo wtedy przestawał dymić, miejscami było nawet i wesoło, wołali, że jak ktoś chce siusia, to niech polewa, żeby nie dymilo. Byli też tacy, co rzucali kamieniami do tego helikoptera, co całkiem nisko leciał. Były zdaje się trzy helikoptery.

Edward Wołak: Szliśmy Władysława IV w dół. Koło Pogotowia Ratownkowego stały również czołgi, latał tam helikopter, rzucały te pułki z gazem i inne i żeśmy się udali w kierunku Dworca Głównego. Część ludzi szła ulicą 10 Lutego, a część ulicą Zgoda, Starowiejską - na plac przed budynkiem sądu.

Na przedzie szła dziewczyna w jakimś czarnym okryciu, futrze czy coś takiego, szła z flagą biało-czerwoną.

Na trasie od sądu do wiaduktu - czyli na ulicy Marchlewskiego - było takie zagęszczenie gazu, że była ściana dymu. I ten cały tłum, większość ludzi idących w pochodzie, po prostu weszli w tę ścianę.

Ja nie wytrzymałem i z kilkoma kolegami weszliśmy na dworzec, stamtąd na ulicę Czerwonych Kosynierów i poszliśmy w kierunku Gdyni-Stoczni. Od pomostu dobiegały krzyki i strzały, ludzie biegali, mieszały się. Jedni szli do Gdyni, drudzy w stronę Gdyni-Stoczni - w tym i my. I zauważyliśmy nadlatujący od strony głównego dworca helikopter - leciał tak po przekątnej - kierunku wiaduktu. Wtedy idący przede mną jakiś chłopak, którego nazwiska nie znam, dostał postrzał w głowę. Zauważyłem, że dostał w środek głowy. Skreślił się jak gasienica na patelni i upadł mi pod nogi, a z głowy taka czerwona galareta mu wyciekała.

Ja w tym samym momencie dostałem postrzał z góry, w prawe płuco. Wrażenie było takie, jakbym szybko biegł i uderzył w jakąś szybę, takie tępe szarpnięcie i słodko mi się zrobiło w ustach. Potem już nie pamiętam, dopiero ocknałem się gdzieś na pięttrze w trzecim budynku, koledzy mnie nieśli. Ten budynek jest troszkę wyżej niż "Brudas", tam do klatki schodowej wchodzi się po schodach. Pukali do wszystkich drzwi, ale nikt nie chciał otworzyć. Na najwyższym pięttrze weszli już na siłę. Ta pani dała mi jakąś pigułkę i wody sodowej.

Ireneusz Dunst: Córce, gdy przechodziła, kazałem się schylić poniżej poziomu okien (mieszkanie na ulicy Czerwonych Kosynierów), bo kule zaczęły świstać. Z helikopterów zaczęto strzelać. Wyraźnie było widać, jak strzela facet bronią maszynową z helikoptera

w dół. W ogóle mowy nie ma o tym, że strzelanie z helikopterów to jest jakiś bluff. Było strzelanie z helikopterów na wysokości ulicy Czerwonych Kosynierów.

Edward Stobiński/19: Było trochę przed godziną dziewiątą, gdy natknąłem się na pochód idący ulicą Władysława IV. Zrobiłem wtedy moje pierwsze zdjęcie - widać na nim zwarty tłum, chorągiew biało-czerwona i towarzyszące helikoptery. Pochód szedł od Prezydium w kierunku stoczni, zabrałem się z nim. Skręciliśmy w 10 Lutego. Począta obstawiona była wojskiem, przy banku dodatkowo stał czolg. Szliśmy, a przez cały czas, kurcze, nad nami latały helikoptery i rzucały te gazy łzawiące.

Leon Kaszubowski: W tym czasie, jak przechodziliśmy obok dworca, to akurat tak dokładnie pamiętam, było pięć po dziewiątej - spojrzałem na zegar stacyjny. I z tym całym pochodem udał się Marchlewskiego w kierunku stoczni. Z tym, że szłem z czoła pochodu, ale szłem za murem, za tym płotem betonowym, bo - myślę - przez taki płot nie przestrzeli. Dopiero później zobaczyłem, że ten cały płot był podziurawiony, że ten pięciocentymetrowy beton został poprzerzynany. Za tym płotem szło więcej ludzi, a cały pochód szedł ulicą. I widziałem takiego miejscowego w okularach, szczupłego, z siatką z chlebem - on szedł na czele pochodu. Doszliśmy do wiaduktu i jak tanci przeszliśmy przez wiadukt, ja stałem na wysokości kiosku, którego w tej chwili już nie ma, rozległy się znowu strzały seria. Ludzie się momentalnie rozprzeczili. To dosłownie jakby szkło pękło - trach i nie ma nikogo. Pokładli się, na czterech pouciekali.

I zauważyłem, że na tym moście został ranny ten młody mężczyzna w okularach, ta siatka leżała obok i on leżał. A do tego mężczyzny kulał się - nie czołgał, tylko tak się kulał - prawdopodobnie jego kolega, widocznie chciał go ratować. W tym czasie, jak on się kulał, ja zauważyłem stojącą dziewczynę za kioskiem i ona wyszła - bo po tych strzałach się uspokoiło - stanęła tak z półtora metra od tego kiosku i wtedy usłyszałem strzał. I ta dziewczyna momentalnie ukłękła i później tak bezwładnie głową na ulicę, na bruk. I ja sobie tak pomyślałem: "Zgłupiała, czy co? Raz strzelili i ona już leży?". Po prostu nie zdawałem sobie sprawy z tego, że ona może być trafiona ostrą amunicją i pojedynczym strzałem. I było to w odległości gdzieś dwóch metrów ode mnie, rozdzielał nas tylko płot, ale tam brakło tych segmentów w płocie, były powymywane. Jak ten strzał padł, to ten chłopak, który się kulał do tego w okularach, poderwał się i zaczął uciekać i przeskoczył przez ten dziesięć, a ja krzyknąłem do niego: "Weź ja, podaj mi ja!". I on się wrócił i mi ją podał. Ja ją wziętem normalnie na ręce, tak jak się bierze dziecko i przebiegłem przez tory i podałem następnemu na peronie - to nie było więcej jak pięć metrów - podałem w górę i wtedy chlupła na mnie krew, bo zbierała się w płaszczu. To w tym czasie mnie tak krwią zalało, że ja miałem pełne rękawy, całe spodnie, buty pooblewane, całą wiatrówkę. W rękawy to aż do łokcia miałem nalane, bo przecież krew ciepła to ona leci jak woda, jak rękę. Ja podałem następnemu, który leżał na tym peronie i on z nią poleciał w kierunku Czerwonych Kosynierów. A mnie się niedobrze zrobiło i nie poszedłem za tą dziewczyną, tylko znalazłem kałużę, obmyłem z butów i z kurtki ze skaju krew - bo to szło zmyć - ze spodni nie szło, z rękawów też nie; obmyłem trochę ręce.

Dokładnie pamiętam, że dziewczyna była niewysoka, ubrana w

/19/ Dziewiętnastoletni uczeń Technikum Hotelarskiego, autor wielu dokumentalnych zdjęć z grudniowych wydarzeń w Gdyni.

jasnoszary płaszcz, czerwone rajstopy i miała czerwoną torebkę. To dokładnie zapamiętałem. Na drugi dzień poszedłem na Czerwonych Kosynierów i pytałem ludzi mieszkających przy pomocy. Mówili, że tak, że widzieli tę dziewczynę, że miała lat osiemnaście i że nie żyła. Ja nie potrafię powiedzieć stanowczo, że ona nie żyła, mogła przecież być nieprzytomna po strzale, ale ona tak krwawiła, że chyba trudno, żeby ją uratowali, to by było szczęście. Bardzo bym chciał wiedzieć, co się z nią stało.

Edward Stobiński: Pochód się rozleciał. Najgorsze było to, jak się patrzyło, jak te czerwone kule lecą - czy w moją stronę jaka nie leci. Był tam taki płot odgradzający teren i taki chłopak leciał... Nie złążył wejść na płot, po prostu po plecach dostał. Ludzie brali zabitych i rannych i odnosili na bok. Część ich góram - tym pomostem - od razu przenosili na Czerwonych Kosynierów, tam łapali jakieś bagażówki, jakieś prywatne wozy, taksówki, co się dało i rannych ładowali. Nie wszyscy samochodziarze chcieli zabierać.

Przy pomocy zrobiłem kilka zdjęć. Najciekawsze nie bardzo wyszło dlatego, że nie przestawiłem z dalekiej odległości na bliską i ta twarz jest bardzo nieostra. Jest to twarz dziewczyny w wieku mniej więcej siedemnastu lat. Więcej mieć nie mogła. Czterech mężczyzn ją niosło. Miała jasne włosy, na szyi biały szalik; miała postrzał w głowę - gdzieś z tyłu z lewej strony. Widziałem z odległości trzydziestu centymetrów. Ona nie żyła. Podszedłem z aparatem do tej dziewczyny, chciałem jej zrobić zdjęcie, to najpierw mnie wyganiali. A później jeden mówi: "Niech robi, będzie na pamiątkę". Zrobiłem to zdjęcie i zaraz uciekłem.

Pojechałem kolejką do Gdyni Głównej, wysiadłem razem z innymi - od strony Czerwonych Kosynierów usłyszeliśmy strzały. Chcieliśmy przejść do 10 Lutego pod wiaduktem, ale stał tam topaz i nas nie puścili. Oficer powiedział, żeby nie przechodzić, bo będzie strzelał. Taki młody chłopak, pamiętam, wyskoczył naprzód, rozdarł koszulę - strzelaj! I on strzelił, ale w górę. A grupa szła dalej. Wtedy ten oficer dał rozkaz żołnierzowi, żeby strzelał. I żołnierz zaczął strzelać, ale nie po ludziach, tylko w górę.

Miara się trochę przesłabowała, cofnęli się, nie poszliśmy pod wiaduktem, tylko z powrotem tunelem i do 10 Lutego. A ja poleciałem na turty do domu, bo zaczął mi się aparacik, film się zerwał i nie mogłem robić zdjęć.

NA ULICACH GDYNI. GODZINY 9⁰⁰-14⁰⁰.

Zbigniew Grabowicz: Od momentu, gdy zrobiło się jasno, ciągle krążyły helikoptery, obraz był zaciemniony dużą ilością gazów. Potem, ale też w godzinach przedpołudniowych, zobaczyłem zaskakujący widok. Szła jakaś szkoła. Od dworca, 10 Lutego, szły w szyku dzieci - trzecio- lub czwartoklasiści - i skandowały: "Wojsko z nami!". Dziś się dziwię, że nauczyciele - czy kto je prowadził - zdecydowali się wyprowadzić dzieci w taki burzliwy czas.

Franciszek Kaszubowski: Przyjechałem z Kosakowa, położonego na Rępie Oksywskiej, gdzie byłem proboszczem, do Gdyni po chleb. Jechałem samochodem z kierunku Chyloni ulicą Morską/20/ i na wysokości pomostu przejściowego do stoczni zatrzymała mnie grupa pobitych robotników. Zatrzymywali chyba zresztą wszystkie samochody i wsadzali do nich rannych, mnie też poprosili. Godzina

była circa dziewiąta - o siódmej odprawiłem mszę i zaraz po niej się wybrałem, musiała to więc być ta pora. Do mojego samochodu wsadzono trzech młodych mężczyzn w wieku dwadzieścia pięć-trzydzieści lat. Ten, który usiadł z przodu był ciężko ranny, miał przetrzała przez płuca, broczył krwią i charczał, ale był przytomny, pamiętam, jak wycharczał z trudem: "ja panu... za...brudzę samochód". Ja byłem tak wstrząśnięty...

Od pomostu słychać było strzały, ludzie kryli się między wagonami, stał tam jeden pociąg elektryczny.

Z rannymi pojechałem w dół. Pod wiaduktem stały dwa czołgi blokujące wjazd, ustawione w kierunku Morskiej. Jechałem na sygnale, trąbiłem - jeden czołg się cofnął, zrobili mi miejsce, przejechałem. Potem jechałem ulicą 10 Lutego, przed pocztą skręciłem w lewo i Starowiejską pod szpital. Widziałem, że na dachu poczty stoją karabiny maszynowe, a przed budynkiem wojsko czy milicja. Dojechałem pod szpital. Stali tu szpialerami lekarze i pielęgniarki gotowi do niesienia pomocy. Za mną nadjeżdżały następne samochody z rannymi. Lżej rannych lekarze opatrywali i wysyłali od razu do domów w obawie przed milicją, opatrunek - i uciekaj, bracie. W szpitalu pozostawiali tylko najcięższe przypadki, to wiem z krótkiej rozmowy z lekarzami.

Ze szpitala pojechałem w kierunku Gdańska. Ulicą Władysława IV szły w kierunku Urzędu Miejskiego grupy demonstrantów niosąc transparenty, flagi. Szły wolno, przepisowo prawą stroną, przepuszczając pojazdy. Całe miasto było zadymione dymem łzawiącym, jechałem bardzo wolno, mijałem jedną grupkę, nad głowami wisiały helikoptery. Grup było trzy lub cztery po jakieś trzysta, pięćset osób. Najbardziej pamiętam grupę drugą od czoła. Na przedzie szły dwie dziewczynki w wieku mniej więcej dwudziestu lat, jedna blondynka o długich włosach, druga czarnulka, niosły transparent tej treści: "Krew naszych braci". Przesunąłem się na przód i widziałem transparent dokładnie. Wyprzedziłem pochody i przy Wzgórzu Nowotki skręciłem w lewo. Na uliczce równoległej do Kopernika stało kilka autobusów wypełnionych milicjantami. Ulokowałem wóz blisko skrzyżowania i pobiegłem zobaczyć, co się stanie z ludźmi z pochodów. Po drodze widziałem przecięte milicjantów, którzy stali przy stacji benzynowej i przy Prezydium.

Pierwsza grupa już przeszła i była najprawdopodobniej rozbita. Nie słyszałem strzelać, widziałem jak milicjanci ciągnęli ludzi za nogi - byli tych ludzi tylko się po bruku - wciągnęli do Prezydium. Stał w odległości około dwustu metrów w prawej linii od Kier. Ulica Dworcowa - przystanków - na przedzie wjechała ta grupa z tyłu dziewczynkami. Widziałem transparenty, widziałem jurki dziewczynki, które po kobiety. Wtedy wjechała też grupa z autobusów, z posterunków maszynowych i pojedyncze strażnicy. Widziałem, jak ta grupa się rozpierzchła, ludzie uciekali w kierunku wału, torów kolejowych, a na asfalcie zostało kilkadziesiąt osób. Transparent padł na ulicę.

Edmund Pętyński: Jechałem samochodem ulicą Władysława IV w kierunku Gdańska. Mogła być godzina dwunasta, trzynasta w południe. Jak dojechałem do ulicy Czołgistów, zobaczyłem walkę - milicja kontra tłum. Z jednej strony granaty łzawiące i zasłonowe - z drugiej kamienie. W pewnym momencie tłum natarł, milicja się cofnęła, ja na gaz i przejechałem kilkadziesiąt metrów. Znalazłem się przy dworcu kolejki elektrycznej Wzgórze Nowotki, gdy nastąpił kontratak milicji. Tłum był na torach, miał więc do dyspozycji odpowiedniej wielkości kamienie, grad kamieni sypał się na milicję, a milicja strzelała. I słyszałem, że strzelała nie na

żarty. Wycofałem się na wstecznym biegu i czekałem. Cały czas latały helikoptery, cały czas rzucały granaty. Helikoptery były otwarte, widać było siedzących w nich ludzi, widać było, że mają karabiny. Nie widziałem, by z tych karabinów strzelali, akurat ja nie widziałem, ale wiem, że ludzie byli ranieni w czubek głowy i w ramiona, więc z tych helikopterów strzelano do ludzi.

Stanisła Kodzik: Helikoptery latały, zrzucały petardy i świece dynamo. Mali chłopcy latali z wiadrami z wodą, te świece wrzucali do wiadra. Dla tego ci z chłopaków, którzy byli po wojaku, uważali, żeby nie chwycali petard, tylko świece, bo petarda może palce poobrywać.

Teresa Reńska: Było mniej więcej godziną jedenastą, gdy odwiedziłam swoją matkę mieszkającą przy ulicy Bema. Zostałam ja w stanie "podejnego" szoku, wybierała się szukać swoje dzieci, zdawało się jej, że to okupacja niemiecka. Nie wiedziała, co się dzieje, była przekonana, że zaraz przyjdą i zabiorą jej dzieci. Wróciła pamięcią do momentu, gdy stała w 1941 roku pod więzieniem Montelupich, by zobaczyć Krysię prowadzoną na przesłuchanie przez gestapo.

Koło godziny pierwszej w południe słyszałam liczne serie strzelców dochodzące od strony Prezydium i Wzgórza Nowotki. Gdy strzały ucichły, postanowiłam, że wracam do domu. Na Świętojańskiej zobaczyłam taki obraz: na wysokości Prezydium stało kilkunastu milicjantów - z długimi pałami, z tarczami, w przednich rękach maskach z pleksiglasu - a naprzeciw nich tłum ludności cywilnej: kobiety, młodzi mężczyźni, robotnicy. I wyglądało to tak, że gdy tłum ludzi napierał do przodu - milicjanci się cofali, po chwili sytuacja się odwracała - atakowała milicja, cofał się tłum. Wyglądało to groteskowo, jakby ćwiczenia do filmu historycznego.

Stanisła Łoś: Gonili nas aż do hotelu/21/, przez tory. Uciekaliśmy zygzakami, bo oni przysiadali i strzelali z pistoletów. Ja uciekłam na cementarz, a ci, którzy do hotelu wpadli, to już pozal się Boże, bo tam za nami wpadła milicja.

Łeń Marcewski: Coñaliśmy się w stanie pogotowia. I tam widziałem, jak dwóch facetów wstrzelili do helikoptera rakietą okrętową. Jeden miał pod pachą taką rurę, majstrowali przy tym i wstrzelili. Ale nie trafili. Trzeba powiedzieć, że ten helikopter odleciał, potem przyleciało kilka i zaczęły gazami.

Eleonora Karanewska: Siedziałam na obiad o godzinie trzynastej. Nad pogotowie umiał się chwycić grad. Myślałam sobie: "Boże, na co pogotowie, gdzie przywodzi tylu rannych, to nasze im utrzymuje życie". Do tam ses pierwszy krążył helikoptery i zrzucały gaz.

Łeń Marcewski: Ludzie stali przy pogotowiu, chcieli się dowiedzieć, ile jest ofiar. Stało tam też wojsko, z żołnierzami każdy rozmawiali. W pewnym momencie od Władysława IV przyszedł milicjant. Przyszedł swobodnie, więc tam u góry nasieli już wszystkich rozgonić, i zaczął rozmawiać z jednym z oficerów siedzących w wozie. Ludzie byli z początku zaskoczeni, ale pomału zaczęli się do niego dobierać, naciskać, popychać - oberwał coś w sumie. Wyskoczył z tej kupy ludzi, uciekł ze dwadzieścia kroków i zaczął się odgrażać jak chłopak na podwórku, że ja wam pokażę.

Barbara Jurkowska: Była godzina trzynasta, trzynasta trzydzieści, gdy tunelem od ulicy Śląskiej przeszłam pod pogotowie. Stała tam zimna kuchnia polowa, a przy niej młody, potężnych rozmiarów chłopak, nie wiem, czy już po przysiedze. Pytam, skąd są. Mówi, że z Krakowa przyjechali, jechali całą noc i powiedzieli im, że Niemcy zagrażają Polsce. Ten chłopak miał takie zmarnięte, fioletowe ręce i trzymał w nich dość dużą serdelową kiełbasę. Spojrzałam na te ręce i żał mi się tego chłopaka zrobiło. Patrze, a tu pnie z tego domu, gdzie radia i telewizory, niosą w bańkach gorącą zupę i mówią: "Jedzcie, dzieci". I w tym momencie idzie tyraliera od Władysława IV i od Świętojańskiej, pod kątem prostym zakreca w naszym kierunku milicja. To my wszyscy w noży. Młodzi, zgrabniejsi, to przez płot, przez tory, a ja uciekałam pod tunelem. Myślałam, że już do dziecka nie dojdę, że mnie zatratują pod tym tunelem.

Zbigniew Grabowicz: Wieczorem ulicą Władysława IV - to była eksponowana ulica, szczególnie na wysokości Komitetu Miejskiego - przechadzały się grupy w mundurach wojskowych, hełmach, z pałkami. Wydaje mi się, że zupełnie niepotrzebnie, bo ja nie zaobserwowałam, żeby były jakiegokolwiek próby zakłócenia spokoju. Poza tym nic się specjalnie nie działo. Taki stan trwał aż do momentu tego słynnego przemówienia Gierka. Dosłownie przemówienie się skończyło, słyszymy szum, wszystko sprzed Komitetu zniknęło, odjechało. Znowu niestrzeżony.

KRWIODAWCY

(?) *Szymański/22/:* W czwartek rano wziąłem samochód, pracowałam jako zaopatrzeniowiec, i wyjechałem służbowo. Po obejrzeniu tego, co się dzieje w mieście, zgłosiłem się do dyrektora Szpitala Miejskiego, doktora Gołębiowskiego, oferując pomoc. Było to samorzutne, poza mną zgłosiło się jeszcze kilku kierowców.

Otrzymaliśmy ze szpitala białą chragiew z czerwonym krzyżem, na plankach wymalowaliśmy czerwone krzyże, a na burtach samochodów napis "Krwiodawcy". Na zlecenie szpitala jeździliśmy po różne środki lecznicze do szpitala w Redłowie, w tym czasie nie było łączności telefonicznej. Ja zrobiłem chyba pięć kursów. I za każdym razem, kiedy jechaliśmy do szpitala w Redłowie, zabieraliśmy krwiodawców do stacji krwiodawstwa. Przed szpitalem stał tłum ludzi i jak ktoś ze służby zdrowia ogłosił, że potrzebna krew dla rannych, to normalnie kobiety, mężczyźni żądowali się do samochodu do granic możliwości. Woziliśmy ich właśnie do szpitala w Redłowie, a z powrotem przywoziliśmy leki; pamiętam, że jakąś kurację przywoziłem.

Za każdym razem jechaliśmy ulicą Władysława IV, a tam stał tłum demonstrantów. Tlum się otwierał, wjeżdżaliśmy, ludzie podnosili plandekę, oglądali, czy przypadkiem - tak przypuszczam - munduru jakiegoś nie ma, przepuszczali nas wolno i jechaliśmy dalej.

/22/ Wywiad udostępniony przez Wytwórnę Filmów Oświatowych z Łodzi, która na zlecenie Zarządu Regionu NSZZ "Solidarność" w Gdańsku nakręcała film o grudniu.

Eleonora Karczevska: Podeszłam pod Szpital Miejski, widziałam, jak organizował się samochód z krwiodawcami. Normalny autokar pełen ludzi, jakiś męczyzna farbą białą zamalowywał okna, a za nim drugi pędzlem zamoczonym w czerwonej farbie bach, bach - takie czerwone krzyże malował na tych oknach i autokar odjechał w kierunku szpitala w Redłowie.

Barbara Bzowy: Postawa robotników w stosunku do MO wyrażała się najbardziej w czasie oddawania przez nich krwi dla szpitala. W tym dniu jako interesista badałam przez kilka godzin ludzi zastawających się ciałem oddaniem krwi. Trudno mi powiedzieć, ile ich było. Przyjeżdżał autokar z autokarod. Byli to na ogół prości robotnicy ze słodziny, ale i taka powaga i godność, że to sobie ich wspominać. Kilko dziesiątków ludzi czekało w pokoju przez wiele godzin, jak ja, w zupełnym milczeniu. Nie było wśród nich ani jednego, który na moje pytanie, czy chce oddać 200 mililitrów czy 400 mililitrów krwi odpowiedziałby, że 200. Każdy chciał oddać, ile tylko można, ale większość żądała zapewnienia, że tej krwi nie oddamy milicjantowi. Trudno było wówczas dziwić się tej postawie. Tych ludzi nie obowiązywała etyka lekarska. Ich postawa była jednak wysoce patriotyczna, solidarna i odpowiedzialna.

W PREZYDIUM MIEJSKIEJ RADY NARODOWEJ

Szymonki: Była podalna cuterna ta, gdy za podłogą widać jedli mi w do braku krwi we Wrzeszowie. Miałem pismo od dyrektora szpitala - już nie pamiętam, jakiej grupy krwi akurat zabrakło. Wówczas za ostatnią rzecz widziałem, że na Władysława tłum zgromadził pochwalający Eliza Świętojańską. Na wysokości Prezydium, na prawej stronie, stał oddział milicji, demonstrował tam nie było, pochwalający w ścianach i kłobocznia. Zastąpili nam drogę oficerowie milicji, było ich pięciu czy sześciu, widać rzeczy kierowca się patrzył. Obwołali drzwi - kierowca wzięli z tamtej strony, mnie z tej. Chyba że takich oficerów milicji usiłowało mnie zasłonić przed rozjuszonym tłumem w mundurach - każdy z nich trzymał pałkę i na wysokości, przez głowy tych oficerów, zaczęli nas bić. Ci szeregowcy mieli nieprzytomny wzrok, jakiś grymas wściekłości, zupełnie nie do pojęcia. Do dziś mam ten obraz w pamięci. Ci oficerowie usiłowali tam zasłaniać koczami, ale to nic nie pomogło.

Jakoś i tam wyróżniał wyskakując z drugiej strony, a tam stał kierowca. Kierowca Wójcimej, przysłał koczem w ręku, krzycząc i jednocześnie wyprzedził koczem, w zniżeniu nie wyjudził. Wstępnie dwóch, chyba szeregowców, wzięli mi rękę do tyłu i podgroźili. W podgroźeniu milicji, który akurat coś tam nadawał w tej "Rochi toci". Oznaczyłem wam ten że to kierujący akcją. Wówczas akurat rozmawiał, więc pokazał ręką na wejście do gmachu Prezydium.

Te obrotowo drzwi w Prezydium były złożone, milicjanci stali z dwóch stron co krok, co dwa kroki, w takich dwóch rzędach przez cały hall i przez ten korridor prowadzący do sali kolegium. I oczywiście cały czas bili. Pamiętam, usiłowalem zasłonić twarz, a miałam na lewej ręce zegarek. Któryś z nich szedł za mną i bijąc usiłował trafić w zegarek, rzeczywiście trafił i zegarek się walczył.

Będąc w środku tego szpaleru zobaczyłem na lewo otwarte drzwi. Abyć popchnąłem barkiem któregoś z tych milicjantów stojących przy drzwiach i wpadłem w te drzwi na lewo, wbiegłem do powiesz-

ceń piwnicznych Prezydium, wypadłem na zaplecze Prezydium - tam jest taki kuty płot - wskoczyłem na kibel, rzut na ten płot na brzuszek i przeskoczyłem na drugą stronę.

Z lewej strony stało wojsko, a obok grupa trzydziestu, pięćdziesięciu milicjantów. Podbiegłem do oficera, pamiętam, taki młody podporucznik to był, usiłowałem mu coś powiedzieć, ale zanim to zrobiłem, z wyjścia, którym się wydostałem, wyleciał milicjant i zaczął krzyczeć: "Trzymajcie!".

Złapał mnie, znowu ręce do tyłu wykręcił i jeszcze raz przez ten szpaler. Od momentu, jak się wpadło między te dwa szeregi, to się nie nie widziało, niosło jak na skrzydłach aż do tej ostatniej sali po prawej stronie. W momencie, kiedy wpadłem do tej sali, ten, który się tak jakoś przytrzymał do mnie, zabrał mi dowód osobisty.

Pierwszy widok, to kilkudziesięciu młodych ludzi siedzących na podłodze. Miałem to pismo ze szpitala, usiłowałem je pokazać, ale (...) milicjant popchnął mnie do kąta i zajął się młodym człowiekiem lat około dwudziestu, który za mną wpadł w tym momencie przez ten szpaler. Tą operacją kierował porucznik milicji, pamiętam taki szczegół, że miał włosy takie typu hitlerowskiego, opadające na prawe czoło i cały czas mu latały, bez czapki był, do pomocy miał pięciu czy sześciu milicjantów i tak długo lali tego chłopaka, aż osunął się na parkiet. Wtedy któryś z tych milicjantów położył mu rękę, o tak, na parkiet i bił pałką. Ten chłopak właściwie nie mógł już reagować, on tylko jęczał, usiłował coś wyjęczeć - ja jestem robotnik, stoczniowiec... A tamten: "Ja ci skurwysynu dam stoczniowca, robotnika". Jeszcze pamiętam taki szczegół, jak ten porucznik mówił: "Nie bijcie go po głowie, bo to otepia i on nic nie czuje".

W czasie, gdy tego chłopaka bili, podszedł do mnie kierujący akcją porucznik. Tłumaczył mi, że jechaliśmy tą zaimprovizowaną karetką po krew do Wrzeszcza. On nie słuchał w ogóle moich wyjaśnień, nawet nie chciał oglądać zaświadczenia ze szpitala, a dosłownie powiedział mi: wam dobrze z oczu patrzy, chodźcie, ja was wyprowadzę. Jak zapytałem o dowód, to powiedział: "chcecie tu zostać?". I wyprowadził mnie z budynku, odprowadził aż do rogu Czołgistów i Bema - tam od Prezydium jest dziesięć metrów. Tam stali milicjanci w grupkach po cztery, pięć osób co jakies dziesięć, piętnaście metrów. Podeszliśmy do pierwszej grupy i porucznik milicji powiedział: puścić wolno, podać po linii. No więc wyszedłem aż do ostatniego tego niby posterunku, cały czas jeszcze zdenerwowany - człowiek nic nie czuje w takim momencie - i pytam jednego milicjanta, co mam robić. Spodnie i płaszcz porwane, jak się tu teraz pokażę. A on mówi: "Pan nie jest w mundurze, może pan wejść do któregoś z mieszkań". I faktycznie wszedłem do którejś bramy na Czołgistów, u jakiejś babci obmyłem się, zszyla mi prowizorycznie te wszystkie rzeczy.

Andrzej Gawlik: Na Słaskiej - ja wiem - stałem godzinę, dwie. I mówię - no to trzeba iść do domu. Idę. Przeszedłem pod wiaduktem w kierunku Czołgistów - stoi patrol. Proszę dokumenty. Taki jeden się odzywa: "Ty skurwysynu, ty masz za długie włosy, pozwól z nami". Ja mówię: "Czemu nie?". Idziemy. Prowadziło mnie trzech. Przed głównym wejściem do Prezydium stały dwa czołgi. Jak dochodziliśmy do drzwi, czułem, że coś się stanie. Nie zdążyłem się całkowicie zasłonić i dostałem w pysk, aż na czołg przewróciłem się. W pysk dostałem raz, od pozostałych ciosów się zasłoniłem. No i wszedłem. Przez ten korytarz, do ostatniej sali na prawo

między milicjantami. No i każdy próbował sięgnąć pałką, a sięgali po nogach tymi siedemdziesięciometrowymi pałkami. Weszłem na salę i chwilę siedziałem. Było tam już wielu mężczyzn ostrzyżonych i spałowanych. Siedzieli na podłodze jeden przy drugim, jak śledzie w beczce. Trudno mi powiedzieć, ilu ich było.

Za chwilę przyszło czterech czy pięciu milicjantów - rozbierać się. Zdjąłem płaszcz, byłem w marynarce i w poło. Marynarkę też zdjąć. Bo za grubo było. No i zaczęło się pałowanie. Potem - klękniij. "On ma trochę za długie włosy, trzeba mu je trochę skrócić, żyłki nie mamy, ale mamy szczyryk". Ten szczyryk nie ciąży, on mi normalnie rwał. I tak w pięciu miejscach. Tu trochę z boku, trochę tu - i rzucał te włosy na podłogę. I mówi: "Później te włosy, skurwysynu, podłoga nie może być brudna, wkładaj te włosy do rozporoka. Chcąc nie chcąc, nie chciałem dostać pał, musiałem te włosy do rozporoka wkładać."

Jak już byłem "ostrzyżony", spałowany i czekałem nie wiadomo na co, weszło kilku ormowców. Był między nimi jeden, którego znałem, Rosiński. I ten pan Rosiński powiedział: "To są ci, którzy mają za mało chleba". Ale on mnie wtedy nie widział. Zaczęli się rozglądać, szukali znajomych czy kogo, i on mnie zobaczył. Później mnie z tej sali wywołał i ze mną rozmawiał. Nawet parę papierosów mi dał. Wtedy był grzeczny. "Andrzej, ja ciebie znam, jesteśmy dobrzy koledzy, postaram ci się załatwić, idź na salę, ja będę działał."

Aha. Tam jeszcze była akcja, że wszedł marynarz - bo tam weszło jeszcze czterech czy pięciu gliniarzy - marynarz ze służby czynnej z pistoletem maszynowym i tych gliniarzy "grzecznie" wyprosił: "Proszę iść stąd, proszę ich zostawić, proszę wychodzić". Ja już tego marynarza później nie widziałem, choć kilka razy wychodziłem na korytarz i w sumie sprzątnąłem nawet cały korytarz. Jak szedłem do toalety, widziałem jednego lekarza w białym fartuchu, z zawieszonym na szyi stetoskopem.

Około godziny dwudziestej drugiej podjechała ta duża kabaryna i po kolei pakowali. Nie wiem, jak ten mój znajomy ormowiec zadziałał, ale ja do tej więziennej kabaryny nie wsiadłem i nie pojechałem do Gdańska. Dokumenty moje w każdym razie pojechały. Wszystkich wywieźli. Jak ludzi wyprowadzali, kazali im ubierać się w swoje ubrania - leżały złożone na kupę - i rewizja. Lusterka, jakieś twarde rzeczy, to wszystko załterali no i odjazd, odjazd. Mi kazali posprzątać w tym pomieszczeniu. Trochę szkła tam było potłuczonego, jak pozamiatałem, wyglądałem tak, jakbym przez komin przeszedł. Potem mnie wypuścili. Mówię: "Dajcie jakąś przepustkę, przecież godzina milicyjna. - Idź, jakoś przejdiesz". No i szczęśliwie jakoś dotarłem do domu.

Wiesław Kasprzycki /23/: Szedłem Alają Czołgistów w górę, natknąłem się na oddział milicji. Pierwsza rzecz: pokazać ręce. Pokazałem i pytam, czy mogę przejść, bo idę do matki. Zezwolili. Uszedłem cztery, pięć kroków - poczułem ból w karku, na jakiś czas skończył mi się film. Odzyskałem przytomność w momencie, gdy przenoszono mnie przez obrotowe drzwi do Prezydium. Znalazłem się na posadzce. Dopadło mnie trzech, zaczęli kopać. Nie

/23/ Siedemnastoletni uczeń zawodowej szkoły stoczniowej, syn Henryki Walman (patrz następna relacja).

straciłem wtedy przytomności, to było tylko takie przywitanie. Kazano mi się podnieść, poprowadzono na pierwsze piętro.

Na pierwszym piętrze po lewej stronie była wnęka z wieszakami, jak w szatni. Tam kazano mi usiąść obok dwóch - chyba młodszych, bo mniejszych - zabezpieczanych chłopaków. Siedziałem tam, z określeniem czasu będzie krucho, aż doprowadzono innych, tak że zebrało się ze dwadzieścia osób. Wtedy przyszło trzech czy czterech w panterkach, z pałami takimi do ziemi, żeby się oprzeć jak na mieczu, kazali zejść na dół. Zaprowadzili nas do sali kolegium, sprawdzili ston, kazali usiąść na podłodze, ręce trzymać za sobą. Wszyscy posłusznie usiedli. Zamknięto drzwi, więc zaczęliśmy szeptać. Wpadło dwóch - bili jak popadnie i gdzie popadnie.

Kiedy sala dobrze się napełniła, może po dwóch godzinach, przyszedł ktoś wyższy ranga, kazał usiąść jak poprzednio, po tu-recku, z rękami do tyłu, ale w szeregach. Zaczęli nas "strzyc" takimi myśliwskimi nożami. Ja nie miałem długich włosów, to bar-dziej cierpiałem. Równocześnie przynieśli taki drewniany fotel - jest tam do dziś, siadają w nim przewodniczący kolegiów - wybierali niektórych, kazali przekładać się przez ten fotel i bili.

Nadszedł jakiś nowy, też w panterce. Co wy tu robicie? Spraw-iała wrażenie zaskoczonego. Daj spokój - powiedziała jeden - chodź do bufetu, napijemy się czegoś. Minęło może z pół godziny, wrócili i ten facet, który się dziwił, stał się gorszy od koleg-ów. Bili. Na osłep, na odlew, gdzie popadło. Cofaliśmy się pod jedną ścianę, pod drugą. Skóra po uderzeniach zaczęła pękać, krwawić, na podłodze zrobiła się maź z krwi i włosów.

Zaczęli wzywać na przesłuchanie na pierwsze piętro. Tam wcho-dziło się za jakieś przepierzenie i na prawo do pokoju. Jak się później dowiedziałem, był to ówczesny pokój prezydenta miasta. Duże puste biurko, czterech drabów pod ścianą i za mniejszym biurkiem jeszcze jeden drab. Ten przy biurku odszukał moje doku-menty - zabrali je na początku - policzył w imieniu i nazwisku litery, ilość zapisał w kółku na kartce i kazał mi położyć się na stół. Nie zrobiłem tego, cofnąłem się tylko wstając z krzesła - bo kazano mi usiąść - tych czterech tylko na to czekało, mo-mentalnie rozłożyli mnie na stole. Dostałem tyle razy, ile było liter. Miałem zdjęcie dziewczyny, dzisiejszej żony, z podpisem, że na zawsze itd. i imię na dole. Zapisał to imię, policzył li-tery, te draby znowu mnie rozłożyły na stole. Zerwałem się, ale jakoś tak niezręcznie, że spadłem na podłogę i tam mnie skopali. Tak samo liczyli jeszcze lata.

Potem mnie wyprowadzili. Zszedłem do półpiętra - ten, któ-ry liczył litery, zawołał mnie, ci, którzy mnie prowadzili, zos-tali na miejscu - podszedłem do góry. Rękę miał w rękawicze, w pięści trzymał tuleję, dość dużą, jak dziś pamiętam - mosiężna. Dostałem tym w twarz. Spadłem na dół, na wycieraczkę. Plułem krwią, ale zęby nie wyleciały, tylko później - ale to już stwier-dzili lekarze - okazało się, że wszystkie są obluźwane, latały tak w górę i w dół.

Podniesiono mnie pod ręce - bo iść po takim czymś to nie da rady - zawleczono z powrotem do sali kolegium. Tu kazali się ro-zebrać. Wszystkim. I złożyć ubranie ładnie w kostkę. I przy tym znowu bili. O wyjściu do ubikacji nie było mowy, ludzie załatwia-li potrzeby wprost na sali, odór był potworny. A przede wszyst-kim wygląd tej sali: włosy, krew i odchody; naprawdę cyrk.

Na ścianie, tej na prawo od wejścia, wisiał biały orzeł wycięty ze styropianu. I ten orzeł cały był zachlapany tą mazią. Dopiero dziś widzę w tym jakiś symbol, wtedy o tym nie myślałem, może byłem za młody?

Byliśmy więc nadzy. Teraz zaczęły się takie różne zagrywki. Na przykład kazali człowiekowi wstać, podejść do ściany, krok do tyłu i oprzeć się kciukami o mur. Nie wiedziałem, o co chodzi, a to przecież momentalnie mdleje palce. Wystarczyło, by ktoś ukląkł, czy ugiął się tylko, a bito i kopano go tak, że szybko podnosił się znowu. Z opowiadań dziadka znam sposoby znęcania się nad I. Szym w Stutthofie, ale o czymś takim nie słyszałem. To nie było aż tak, żeby wręcz rzyknąć, ale było tak, byłem już nie w stanie mieć czasu przemyśleć. Nie pamiętam, czy ktoś mnie, przegłęb, nie pamiętam, czy to Karol, do którego przyszedłem, do jego pokoju. Takie i takie sytuacje były. Co pamiętam? Wskazywali na kwaterę podziemną, przestawiali, przesuwać ściany. To było upokorzenie. Oni to robili, nie ja. Za miesiąc, stali w grupie, przysuwali się sobie, przysuwali się do siebie, przysuwali się do siebie.

Mnie i uważało inaczej, ale ja uważam, że człowiek normalny nie może tak postępować, dlatego sądzę, że oni brali jakiegoś srodka. Można kogoś bić w nerwach, nawet mocno pobić, ale musi być jakiś przebieg, i nie tak, że wchodzi się sali - byliśmy jeszcze w ciuchach - pochodził do kogoś, chwycił za ubranie, uderzył pięścią, człowiek pada, a on spokojnie odwraca się i kontynuuje rozmowę z kolegami. No to ja nie uważam tego za normalne, musi być jakiś następek.

To jeszcze pamiętam. Powiedziano, że kobiety wyjdą do sikalki. Nikt nie chciał się ruszyć, bo utworzyli szpaler, stali z pażami różnej wielkości - od małych do tych do bioder - z kaskami krzymymi za zapięcie. Wygarnęli nas siłą, zrobił się jeden krzyk, straciliem znowu przytomność. Obudziłem się - leżałem pod ścianą. Ktoś podawał mi wodę - kto, nie wiem. Troszkę oprzytomniałem, ludzie już nie było, nie wiem, co się z nimi stało. Kazali mi wstać i iść na górę. Nie wiem, czy upodobał mi się sobie. Nie mogę powiedzieć, że wytykali się na mnie, bo właściwie wszystkich nas traktowali równo, więc o co chodziło? Do mnie mieli taką zawziętość chyba dlatego, że młody stoczniowiec - młody bandyta. I zaprowadzono mnie z powrotem do tego, którego nie zapomnę do końca życia. I znowu: nazwisko, liczenie liter i bicie.

Ja już w tym czasie nie miałem siły, nie bronieć się, nie wiem czy mnie bili, straciłem co chwile przytomność, oblewano mnie wodą i znowu... Pamiętam jeszcze, jak mnie niesiono na noszach. Może mnie się tylko wydaje, że tak długo mnie nieśli w górę? Potem leżałem na podłodze i z tego już pamiętam bardzo mało, jakieś ułameki rozmów, słów. I wiem, że piliowało mnie dwóch milicjantów. Jeden z nich jeszcze mnie podniósł, uderzył w twarz, upadłem - ale to już są takie błogie sprawy.

Pamiętam jeszcze, że znowu mnie bili. Ale to już było w szpitalu, w szpitalu.

Warto wspomnieć. Syn miał pękniętą nerkę, uszkodzenie kręgosłupa i pęknięcie dwóch kręgosłupów, stłuczenie nóg, nie mówiąc już o potłuczaniu ogólnym. Jego w Przychodnię znalazła nagiego wśród trupów doktor Kunert, zobaczył, że jeszcze ciepły, zadzwonił po pogotowie. Z pogotowiem przyjechał doktor Marciniak. Coś tam musiało być, nie wiem co, bo ledwie sanitarka odjechała trochę, zaczęła ją gonić wóz milicyjny. Obydwa wozy przeleciały z wyciekiem przez miasto, karetka się nie zatrzymała. Pod szpitalem milicjanci wyskoczyli z wozu - bierzemy go, mamy swój szpital, tam go wy-

leczymy. Ale już dokoła zebrał się personel szpitala - nie dali syna.

Po sześciu tygodniach zabrałam syna do domu. I wtedy wyszła jeszcze padaczka pourazowa. Po sześć, siedem ataków dziennie, co i rusz pogotowie, nie mógł zostać sam nawet pół godziny, nie mógł wyjść na krok. A jak na ulicy milicjant siedzi, to ja tak stawałam i zastaniałam, i odciągałam, żeby tylko milicjanta nie zobaczył, bo on już z miejsca był gotowy na ulicy. Dostał atak w trolejbusie, uważali go za pijanego, znalazł się na milicji. Jak ja tam wpadłam, to myślałam, że ich rozniosę, z niczym się nie liczyłam. A oni mi żagodnie tłumaczy, uprzejmi tacy.

Zawiozłam go do Poznania. Bali się wszyscy wtedy, ale w Poznaniu pamiętali rok 1956 i byli bardzo serdeczni. Zostawiłam go w klinice - i do Gdyni, musiałam przeciw pracować. Telefon: niech pani przyjeżdża natychmiast, robimy odmę, nie wiadomo czy przeżyje. I tak się ciągnęło. Doktor Jakubowski, neurolog który go leczył, postarzał się, że zawiozłam syna do profesora Dworzenki do Pruszkowa. Ludzie mi pomagali, za leczenie nie płaciłam nic, ale przejazdy, opłata za opiekę - a ja zarabiałam tysiąc sześćset złotych. Byłam tak wysprzedana, że chodziłam w zimie w prochowcu i w butach bez czubków. Nic nie miałam.

Po pół roku zdjęto mu pancerz ortopedyczny. Młody był, okaleczenia fizyczne szybko przysychały. Dałam go do szkoły, stocznia poszła na ustępstwo, zaczął od września trzecią klasę szkoły zawodowej. Odprowadzał go i przyprowadzał Grzesiu Nowacki, najlepszy w świecie przyjaciel, a dla mnie to na prawdę drugi syn, bo na krok nie można go było puścić samego. Skończył tę szkołę i poszedł do ogólniaka we Wrzeszczu. Ale to było za trudne. Przecież on tych ataków okropnie się wstydził. No i gdzie ja go miałam teraz zatrudnić? Stocznia nie chciała go przyjąć. No gdzie ja go miałam teraz zatrudnić, jak on mi czwarty raz na życie się targnął. Byłam wykończona. Wszędzie musiały ktoś za nim chodzić, a on się buntował, chciał żyć normalnie, wyrwać się nam.

Przejąć dla niego koło Prezydium to było... on już był gotowy. Profesor kategorycznie polecił zmienić dzielnice. Absolutnie. Poszłam, to wywalili mnie na zbity żeb. To poszłam do Mariańskiego, bezpośrednio poszłam, wywalili mnie - ja na siłę. Dostałam inne mieszkanie. Ja byłam zupełnie obłądana, ja nawet do Ministerstwa Spraw Wewnętrznych napisałam i dostałam przyznaną dożywotnio rentę kwartalną tysiąc trzysta złotych, oprócz renty inwalidzkiej. Ja sprawiedliwości szukałam. Chodziłam wszędzie, chciałam znaleźć tego milicjanta, który się znęcał nad synem. To powiedzieli, żeby syn pojechał do Sztumu, bo stamtąd ta milicja być miała i rozpoznał tego milicjanta. No to przecież bez sensu.

Profesor mówił: może się ożeni, potrzebny jakiś cel w życiu. Miał dziewczynę. Ja ja specjalnie zabierałam do klinik. Ja jako matka mogę do śmierci nad dzieckiem czuwać, ale po co dziewczyna ma się męczyć? No, ale miłość miłością, pobrali się i koniec.

I co roku na Wszystkich Świętych, czy jakaś rocznica - na cmentarz. Wszystkie groby tych z Grudnia musi obejść. Synowa mówi: nie chodź, nie trzeba tak ciągle. To się robi nerwowo, nie utrzyma się go. Ataki są dalej, ale jak często, to synowa mi nie powie. Bo ja po tym wszystkim dostałam wrzodów żołądka, jestem po ośmiu operacjach brzusznych.

ZAPIS MAGNETOFONOWY ROZMÓW PROWADZONYCH PRZEZ GRUPĘ OPERACYJNĄ MO NA ULICACH GDYNI/24/

- Słuchaj, słyszysz? Świętojańską z powrotem te niedobitki nadciągają/25/.
- Dobrze, zrozumiałem. Świętojańską idą, tak?
- W kierunku Prezydium. Te niedobitki z powrotem się schodzą.
- Dobrze, zrozumiałem. Dużo jest tych zielonych?/26/
- Sporo, sporo. Tam w środku weszło nie wiadomo ile.
- Dobrze zrozumiałem.
- Asan, Asan, tu Gujana. Czwórka dopływa do Flory. Asan. Czwórka dopływa do Flory.
- Czwórka, Czwórka, tu Reda. Flora wie o tym, Flora wie o tym i czeka.
- Słuchaj, ten tłum, co rozpedzili, znowu wraca i jest po tym(...)
Z boków schodzą się pod Radę/27/.
- Dobrze, zrozumiałem. Ten tłum, który był rozpedzony, znowu zbiera się pod Radą.
- Tak, tu jest dużo gapiów i wszyscy ściągają z powrotem.
- Kasztan, Kasztan, Simka zatrzymał się przy WRN/28/.
- Od dworca ciągną takie grupki po dziesięć, dwadzieścia, pięćdziesiąt osób w stronę stoczni(...)
- Rozumiem. Od dworca w stronę stoczni ciągną grupki po dziesięć, dwadzieścia, całym ciągiem.
- Tak, tak.
- Coś tam słychać pod stocznia. Jakby seria. Jakby seria z broni.
- Dobrze. Słychać odgłosy strzałów. Słychać odgłosy strzałów pod stocznia.
- Tak. Ale to nie jest sprawdzone.
- Rozumiem, to nie jest sprawdzone.
- Śliwa, Śliwa, tu Cujana.
- Tak, zgłasza się.
- Jak tam sytuacja pod Prezydium, jak tam pod Komitetem?
- Odpowiadam ci. Pod Komitetem jest spokój. Pod Prezydium było rozproszenie, ale w tej chwili znowu zbierają się.
- Ile tego może być?

/24/ Rozmowy zarejestrował anonimowy amator krótkofalowiec. Żle słyszalne fragmenty rozmów oznaczono znakiem (...)

/25/ Nasłuch nie rejestruje wydarzeń od samego początku; w chwili jego rozpoczęcia jest ok. godz. 7.30.

/26/ Tzn. żołnierzy wojsk lądowych.

/27/ Prezydium MRN nazywane jest wymiennie "Radą" i "Prezydium".

/28/ W Gdyni nie ma WRN, chodzi zapewne o PMRN.

- No więc tam było około dwóch tysięcy, było około dwóch tysięcy. W tej chwili trudno powiedzieć, co to się dopiero dołącza.
- Dobra, zrozumiałem.
- Sliwa, zgłoś się.
- Zgłasza się.
- Pod Prezydium petardy, petardy dają.
- Rozumiem, pod Prezydium petardy.
- Na placu Kaszubskim spokój. Świętojańska cała wolna i przejeżdżna.
- Tak, rozumiem cię.
- Sliwa, zgłoś się.
- Zgłasza się Sliwa.
- Tutaj na przystanku Stocznia strzały słyszę, tylko nie wiem, co to jest.
- Na przystanku Stocznia słyszysz strzały, tylko nie wiesz jeszcze, co.
- To jest seria, cała seria strzałów.
- Słuchaj, czy możesz mi potwierdzić, czy może być to od petard?
- Wiesz, to takie głucho.
- To prawdopodobnie petardy są.
- Słuchaj, Sliwa. Bez przerwy kanonada w porcie, kanonada w porcie, strzelanina jest seryjna.
- Ale określić nie możesz z czego, tak?
- Maszynowa broń, maszynowa broń. Bez przerwy strzelanina.
- Słuchaj, ale to jest gdzie konkretnie?
- W porcie, pod Komuną, tam na dworcu, na terenie portu/29/. Bez przerwy maszynowa broń.
- Zrozumiałem, zrozumiałem.
- Słuchaj, to helikopter ładuje tu petardami, rozumiesz, w tej chwili Czerwonych Kosynierów bombarduje. On tutaj zrzuca całymi seriami.
- Słuchaj, a teraz powiedz mniej więcej ile tam jest w ogóle tego tżumu mniej więcej. Bardzo dużo? W tym terenie?
- Jest tutaj bardzo dużo, bo tutaj częściowo poszła od strony żelaznego/30/.
- I to jest pod Komuną, tak?
- Nie, nie, z drugiej strony.
- Więc to jest przy dworcu Stocznia, tak?

/29/ Informujący ma kłopoty z określeniem miejsca; chodzi o przystanek kolejki elektrycznej Gdynia-Stocznia.

/30/ Żelazny - dworzec lub przystanek kolejowy. Rozmówcy używają łatwego do rozwiązania szyfru. "Kanał" to ulica, "kuter" to pojazd, "wpłynąć" znaczy wejść, wjechać.

- Tak jest.
- Śliwa, w okolicy dworca, placu tłum rzednie(...) Jedyne przy dworcu wschodnim/31/czołgi stoja w tłumie(...) rozmawiaja normalnie z żołnierzami.
- W okolicach dworca, placu i "Arki", tak? Jest spokój?
- Tak jest, tak jest.
- Jak ta sytuacja przy Prezydium, podaj mi.
- Chcieliśmy rozmówić, rozgonili, nie sądzę, że jest spokój.
- Jak tam sytuacja przy Prezydium, gdzie jest tłum? Czy jest spokój?
- Tak jest, spokojnie, tam jest spokój.
- To Asesor, tu Asesor. Przy Komitecie jest spokój, przy dworcu spokój, "Arka" spokój i tam inne też spokój.
- A tam tłum co się dzieje? Wisława w kierunku na Komitet, gdzie poszedł?
- To wszystko się rozproszyło, rozproszyło i jest tutaj, wiesz, wokół prezydium rozpedzone.
- Dobra, zrozumiałem. Kasztan, zgłoś się. Słuchaj, Ataman podaje, że na Czerwonych Kosynierów, na Czerwonych Kosynierów helikoptery tam podlatują z petardami. Jest kilku rannych, kilku rannych. Wywożą samochodami osobowymi rannych. No i Ataman musi tam uciekać, uciekać, bo go zabijają. Tutaj jest Czerwone zablokowane i tam już nie ma żadnego przejazdu.
- Rozumiem, rozumiem.
- (...) tu Śliwa. Zgłaszasz się dla Komara.
- (...) z ochrykami "wojsko z nami", "chleba", spiewali Międzynarodówkę i hymn polski.
- W którym kierunku?
- Pod Radę, pod Radę duża grupa idzie i spiewają hymn, krzyczą "montercy", "dajcie chleba", "dajcie chleba".

/31/ W Gdyni nie ma takiego dworca. Czołg stał na placu Konstytucji, przy sądzie.

/32/ Przystanek kolejki elektrycznej: Wzgórze Nowotki.

/33/ Również z tego zapisu wynika, że tłum pod Prezydium zbierał się i był rozpedzany wielokrotnie.

/34/ Ulice Świętojańska i Władysława IV.

/35/ Z kontekstu wynika, że grupa operacyjna MO podzieliła miasto na kwadraty: kwadrat A - okolice FMRN, C - Gdyni-Stoczni.

- Zrozumiałem.
- No, słuchaj. Podawałem tam Alasce dla Sliwy, co jest. Więc jest taka sytuacja. Pokazały się ulotki na Zygmunta, ulotki na szybach było widać z przeciwnej strony szyb wystawowych. Pisane czerwonym ołówkiem, że precz z ludźmi(...) którzy nie mają prawa rządzić, KC jest(...)
- Więc Błysk podał, że wszyscy płyną pod Radę, pod Radę. Ulotki, ulotki są, proszę cię, na szybach sklepów, że KC jest dwulicowy, że Cyrankiewicz i precz z chwiejnym rządem itd.
- To samo mi poda? Asesor i Bawaria. Wszystko płynie pod Radę.
- Zrozumiałem.
- Gujana, zgłoś się, tu Sliwa.
- Gujana dla Sliwy.
- Słuchaj, Gujana. Zorientuj się tutaj, albo Błysk, przez Błysk, albo Bawaria, albo Asesor, niech podadzą mniej więcej ile jest ludzi, ile jest ludzi na kanale Świętojańskim.
- (...) na czele czołówki, na czele czołówki tego całego pochodów jest niesiona flaga, między(...) narodowa flaga. Na kanale Świętojańskim.
- Ile jest ludzi na kanale Świętojańskim?
- Około trzech tysięcy, około trzech.
- Dobrze, zrozumiałem.
- Słuchaj, w tej chwili cały ten tłum liczący około czterech tysięcy powiększa się cały czas, proszę cię, normalnie o ludzi przebywających na ulicy, powiększa się. I wszyscy razem pod Radą płyną. Wołają hasła. Skandują takie hasła: "Nie ma kołka nad Kociołka", "Nie masz kołka nad Kociołka", "Chodźcie z nami, chodźcie z nami". Wszystko pod Radę. Ogromny tłum, ogromny tłum jest tutaj.
- Przy Radzie skandują: "Precz z mordercami, precz z mordercami", "Wojsko z nami, wojsko z nami". Już dochodzą do Rady, dochodzą do Rady. Jest około pięć tysięcy, około pięć tysięcy i skandują.
- Dobra, zrozumiałem.
- Mnie chodzi o informację, co się dzieje koło Szkoły Morskiej.
- No przecież ci podawałem, że tam nie można przepłynąć, jest blokada, jest blokada i ja się wycofałem.
- Z kwadratu C do kwadratu A - co się tam dzieje?/36/
- Od kwadratu C do kwadratu A wszystko idzie piechotą, do ciebie, wszystko na piechotę idzie.
- Dobra, zrozumiałem. Słuchaj czy możesz podać mniej więcej jaka grupa?
- Słuchaj, to jest różnie, zależy gdzie, bo nie ma żadnej komunikacji, zrozumiałeś? Nie ma komunikacji/37/

/36/ Czyli od Gdyni-Stoczni do PMRN. Trasa wszystkich - z wyjątkiem jednego - pochodów.

/37/ We wczesnych godzinach rannych kolejki kursowały normalnie, potem wstrzymywano i uruchamiano je na przemian. Trudno ocenić, czy było to wynikiem celowego działania, czy bałaganu.

- Rozumiem. Więc nie ma komunikacji, idą pieszo.
- Tak jest.
- Gujana, zgłoś się, tu Sliwa.
- Słuchaj, kanałem Dziesiątego/38/ od dworca, kanałem Dziesiątego w kierunku Świętojańskiej płynie nowa grupa ludzi, płynie nowa grupa ludzi.
- Ile, ile?
- To w tej chwili nie można tego tak obliczyć na razie.
- Kasztan, słyszałeś? Duża grupa idzie z Dziesiątego do Święto, do Święto.
- Czy jest ktoś przy Komunie, przy Komunie?
- Aluska podała, że Komuna i port, obaj jest strony, są zablokowane wojakami/19/. Nie można się przedostać.
- Dobrze, zrozumiałem.
- I wszystko, wszystko płynie pod Prezydium.
- Sliwa zgłoś się, tu Gujana.
- Tak, zgłasza się.
- Błysk Błysk podał, że przy Radzie, przy Radzie się wszystko zbiera i że wszystkich stron jest obstawione wojskiem.
- Asesor, zgłoś się, tu Sliwa.
- Tu Asesor, co chciałeś, Sliwa?
- Co u ciebie, co u ciebie?
- Wier słuchaj. W tej chwili helikoptery puszczają te dymne, dymne i część się rozchodziła, ale zaraz, bo mi się zdaje, że oni skierowali się tutaj na Wzgórze Nowotki, na Wzgórze Nowotki. Ludzie się rozchodzą, rozchodzą, bo pigułki puszczała.
- Tam w kierunku Prezydium przebija się tłum, gdzieś tak tysiąc, tysiąc pięćset. Ma czarne cztery biało-czerwone flagi.
- Od strony, od strony jakiej?
- Od Skweru Kościuski, od Dziesiątego, Dziesiątego.
- Podaj Sliwie, że to wojsko źle rzuca, tylko nie do celu. Powinni rzucać przy dworcu na Wzgórze, a rzucają tu przy Prezydium. Ci łapią te granatniki i rzucają na wojsko. Wojsko całe zadymione, a tłum stoi w miejscu.
- Dobrze. Zrozumiałem, zrozumiałem.
- Sliwa, tu Gujana.
- Tak, zgłaszam się.
- Słuchaj, Sliwa. Aluska podał, żeby powiadomić tam sztab, proszę ciebie, że ci z helikopterów źle rzucają, źle rzucają. Nie rzucać na Radę, tylko w pobliżu dworca Wzgórze Nowotki, bo ci spod Rady odrzucają na wojsko z powrotem to. Żeby rzucać w pobliżu dworca i Wzgórze Nowotki.

/38/ Ulica 10 Lutego.

/39/ Błokada stała w miejscu, gdzie rozchodzą się ulice: Czesłowska do SKP i Polska do portu.

- Już powiadomiłem, Alaskę słyszałem.
- Już rzucają prawidłowo, prawidłowo teraz rzucają.
- Sliwa, zgłoś się, tu Legia.
- Zgłasza się Sliwa dla Legii.
- Od żelaznego płynie(...) kilkaset osób. Płynie do kwadratu A, helikoptery w operacji są.
- Ile tam tego zgrupowania przy Prezydium?
- Teraz to jest tak trudno określić, dlatego że to się wszystko podzieliło na grupki i ucieka od tego dymu. Więc całe te place są pozajmowane jeszcze, pozajmowane. Po okolicy się tak porozbi-jało.
- Zrozumiałem. Tu Sliwa, tu Sliwa. Kto jest przy Komunie, kto jest przy Komunie z was?
- Nikogo. Tam nie można przejechać. Obstawione wejście. Tam ani w tą, ani w tam.
- A kto jest przy dworcu, kto jest przy dworcu?
- Alaska niedawno była. Tam jest spokój, spokój.
- Zrozumiałem, tam przy dworcu jest spokój.
- Sliwa, Sliwa, tu Gujana.
- Tak, zgłasza się.
- Podaj mi, podaj, chcę wiedzieć, jaka sytuacja jest tam u ciebie?
- No więc słuchaj. Całość jest w tej chwili skupiona przy Radzie. Całość jest, całość jest przy Radzie skupiona. Tak mniej więcej około trzech, około trzech tysięcy.
- Kto jest może przy placu Kaszubskim, wie, co się tam dzieje?
- Ja byłem niedawno, to był spokój. A przy Skwerze/40/ wojsko, wojsko, cały Skwer.
- Kasztan, Simka się pyta, co z tymi dwoma kutrami. On jest na lotnisku. Simka podaje, że było już ładowanie, mają bagaż i Flora miał podesłać dwa kutry przed ósmą już. I co jest z tymi kutrami? Czy Flora wysłał, czy nie?
- A ty gdzie teraz?
- Ja tu jestem na Dzierżyńskiego i chcę się przedostać na drugą stronę może.
- Flora podał, że wysłał. Powinny być w każdej chwili.
- (...) Władysława, Władysława płynie z flagami w kierunku Dzie-siątego, tak?
- Z raketnic do helikopterów, z raketnic do helikopterów, zro-zumiałeś?
- Ile tego może być tak na oko?
- Tłok, nadal jest tłok, około trzech tysięcy.
- Słuchaj, Legia. Powiedz mi, jak gęsto, jak gęsto flagi są.
- Narodowe flagi? Zaraz sprawdzę. Na razie nie ma nic.

- (...) od Rady(...) ich więcej od Rady(...) pełny plac, zawalona cała ulica. % transparentem.
- Słuchaj, Legia, możesz podać treść transparentu?
- Tutaj okolica dworzec całkowity spokój. Pojedyncze osoby od kierunku tego, Komuny, ale to tylko tak pojedyncze osoby. Czerwonych Kosynierów cała jest wolna w tej chwili. T jest komunikacja nozmalna(...) Ja jadę na Cytynie, jak tam jest.
- Dobrze, Ataman, więc obejrzyj okolice Szkoły Morskiej.
- Szkoła, Błęk, Błęk ma dwie bloki, które tam rozrzucają.
- Błęk, zgłoś się do Alaski, żeby jedna tutaj zastanowiła by-ła.
- Tu na tej od morza przypiłyła milicja, milicja. Na całym Świętym jest zjeta, blokada. (...) dopływa do Dziesiątego, do Dziesiątego, gdzie kilkaset osób, do tysiąca.
- Czy możesz ten transparent, co tam pisze, podać mi?
- Nie, to są flagi narodowe.
- Tu Ataman. Szkoła na Czerwonych Kosynierów jest spokój. Natomiast w Gdynia-Stocznia jest zgrupowanie(...) od Czerwonych do (...) stoją. W każdym razie dużo ich nie ma.
- Dobrze się ustawiają, milicja, milicja od strony morza i będą atakować/41/.
- Gujana, Gujana, tu Alaska.
- Gujana dla Alaski.
- Przy Komunie i w porcie umilkły strzały, umilkły strzały.
- Przy Komunie umilkły strzały, tak?
- Tak. Natomiast przy Radzie nadal helikoptery, tylko źle rzucają, więcej przy dworcu trzeba rzucać. Rzucają w tłum, a tłum rzuca na milicję pod Prezydium. I na wojsko.
- Dobrze, zrozumiałem.
- Tak, tak. I powinny rzucać petardy rozpalone, a oni rzucają i dopiero na ziemi się rozpalają. Ona nim doleci powinna się rozpa-lic. % opóźnieniem rzucać, z opóźnieniem.
- Dobrze, zrozumiałem, że mają z opóźnieniem wyrzucać i tutaj w kierunku Dworca i na Władysław Czwartego, tak?
- Tak, tak. Bo tak zbierają i w milicje rzucają.
- Gujana, tu Asesor, zgłoś się. Ja wołam, bo pod Prezydium kamieniami, kamieniami biją w wojsko.
- Dobrze, zrozumiałem. Duży tłum jest jeszcze pod Prezydium?
- Tam jeszcze po bokach, po bokach, tam petardami rozganiają to wszystko, ale podbiegają i kamieniami rzucają w wojsko.
- Sliwa, tu Asesor, zgłoś się.
- Zgłasza się Sliwa.
- Przy Prezydium teraz jest bójka, bójka kamieniami.

- Dobrze, zrozumiałem. Tu Sliwa tu Sliwa. Co jest przy dworcu Stocznia? Kto mi może podać?
- Legia tam jest, zaraz ci poda.
- Z tego kierunku jest karetka na sygnale, tak?
- Sliwa, zgłoś się, tu Legia.
- Zgłasza się.
- Z dworca tłum z transparentami w stronę Dziesiątego płynie.
- Więc z dworca jest duży ruch z transparentami, tak?
- Tak, z samego wału, z samego wału wypłynęli.
- I w którą stronę płyną. I w którą stronę, Legia, płyną?
- Tu od głównego dworca do Dziesiątego.
- Od głównego dworca do Dziesiątego płyną, z dworca, z flagami czy z transparentami?
- Z flagami, z flagami. Kilka flag i transparent.
- Słuchaj, czy mógłbyś odczytać?
- Tam nic nie pisze, tylko czarna wstążka przewiazane niektóre.
- Dobrze, zrozumiałem.
- Sliwa, tu Gujana. Ile ta grupa może liczyć? Spytaj się.
- Legia, ile ta grupa może liczyć?
- No jeszcze wypływają. Zaraz ci podam mniej więcej.
- Dobrze, zrozumiałem.
- Tam, przy stoczni, przy stoczni raczej spokój. Tylko trzecia karetka stamtąd już.
- Na razie jest spokój, a trzecia karetka płynie stamtąd.
- Tak, tak, tu jakiś wypadek był.
- Tak, tak(...) i karetka tam jest.
- Legia, Legia, tu Gujana.
- Tak, zgłaszam się.
- Słuchaj. Oni idą z samymi flagami, czy transparent też mają?
- Flagi, flagi i transparent, ale bez napisu, taki biało-czerwony.
- Sliwa, zgłoś się, tu Legia.
- Tak, zgłaszam się dla Legii.
- Gdzieś około trzysty, około trzysta wypłynęło z żelaznego.
- Zrozumiałem. Około trzysta z żelaznego wypływa i płynie w kierunku Dziesiątego.
- Tak, tak.
- Sliwa, Sliwa, tu Gujana. Ja to słyszałem. Dowiedz się, jak sytuacja przy Prezydium i podaj mi.
- Więc pod Prezydium, proszę cię, jest bójka. To znaczy tam młodzież przeważnie rzuca kamieniami, a nasi i zieloni odrzucają petardami do nich.
- Dobra. A na tych kanałach? Na Świętym i na Czwartym?

- Tam jest spokój.
- Dobra, zrozumiałem. Kasztan, Kasztan, zgłoś się.
- Halo!
- Kasztan, więc (...) idą w kierunku 10 Lutego. Przy Prezydium młodzież, młodzież uderza na naszych i na wojsko kamieniami, a nasi atakują petardami. Przy Komitecie spokój i na tych kanałach Święty i (...)
- Cały czas z broni ręcznej.
- Zgłasza się Sliwa.
- Słychać przy Radzie strzały z broni ręcznej.
- Gdzie słychać?
- Przy Radzie, przy Radzie słychać.
- Z broni ręcznej, tak? Słuchaj, słuchaj, może się upewnisz, czy to nie są petardy.
- Skąd petardy! To jest z broni ręcznej.
- Z ręcznej, nie maszynowej, tak?
- Nie, nie! Od czasu do czasu słyszę strzał z ręcznej.
- Ten tłum niesie zabitego i krzyczy "mordercy", tak? Na jakiej oni są wysokości?
- Ta grupa, co z dworca z flagami szła (...) zabitego i krzyczą "mordercy". Mijają Władysława i idą w kierunku Świętojańskiej.
- Sliwa, tu Gujana. Czy coś wiesz o tych strażakach przy Prezydium?
- No cóż ci powiem. No - szum. Rzucają kamieniami, petardy wybuchają, strzały od czasu do czasu i więcej nic (...). Nareszcie tam szturm. Wojsko i milicja dają szturm. Uciekają.
- Oni są już na Świętojańskiej. Wiesz, na czele taki biało-czerwony skrawiony, skrawiony sztandar.
- Gujana, zgłoś się.
- Gujana się zgłasza dla Sliwy. Słuchaj, ta grupa z tym, z tym, z tym zabitym, proszę ciebie, jest na Świętojańskiej, już na Świętojańskiej. Sztandar niosą zakrwawiony i za nim tego trupa.
- Idą w kierunku na Prezydium, tak?
- No, idą Świętojańską.
- Kasztan, Kasztan, ta grupa, ta grupa z tymi flagami, co nieśli tego zabitego, jest już na Świętojańskiej. Idźcie dalej. Kasztan, zrozumiałeś? Ta grupa, ta grupa co z flagami, co nieśli tego zabitego, jest już na Świętojańskiej. I idźcie dalej. Ona poszła na kierunek na Prezydium.
- Sliwa, zgłoś się dla Bawarii.
- Tak, zgłasza się Sliwa dla Bawarii.
- Z tym trupem, z tym trupem to są, wiesz, albo młodzież akademicka, albo szkolna, bo na czele są wyrostki. Idą dalej w kierunku na Prezydium. Wiele się zatrzymało, ludzie czapki z głów, płaczą, płaczą. To nie jest tak dużo, tak dużo.
- Ataman podawał, że tego, co niosą, to niosą od Gdyni-Stoczni, od tego bombardowania, co helikoptery rzucały. I Kasztan pyta się, żebyście podali w sprawie tej grupy, jakie też środki, ja-

kie środki stosują przeciw nasi.

- Więc podaj, proszę ciebie. Podaj Kasztanowi, że właśnie nie stosuje się żadnych środków i jest niebezpieczeństwo, bo ponieważ ludzie się zatrzymują, zdejmują czapki, płaczą i może urosnąć duża grupa.

- Dobra. Kasztan, zgłoś się. Ta grupa, co niesie tego trupa, jest w tej chwili na Świętojańskiej na wysokości PKO i na razie nie stosuje się żadnych środków i jest niebezpieczeństwo, że może urosnąć ta grupa. Bo wszyscy dołączają, stają, czapki zdejmują i płaczą. Dołączają do tej grupy, ta grupa rośnie.

- (...) przekazał, że prawdopodobnie chcą sabotować, sabotaż, wysadzić wiadukt/42/. Żeby tam sprawdzili.

- Legia, zgłoś się.

- Zgłaszam się.

- Słuchaj, jest taka sprawa, jest prawdopodobnie taka możliwość, że może być sabotaż mostu, most, żeby ktoś pojechał, zorientował się, jak to wygląda.

- Który to most?

- Wiaduktu, wiaduktu.

- Ale którego?

- Przy, przy stoczniach.

- Dobra, tam jest wojsko. Już jest po wszystkim.

- Kasztan, zgłoś się. Wiadukt jest opanowany przez wojsko.

- Sliwa, Sliwa, jak z tą grupą na Świętojańskiej? Ta grupa ciągle idzie, tak?

- Ona już do Prezydium dochodzi.

- Legia, zgłoś się.

- Zgłaszam się.

- Słuchaj, mnie chodzi o tego wiaduktu z tą grupą, jak tam jest z tym sztandarem?

- Grupa z tym sztandarem w tej chwili jest przy poczcie.

- Ja cię rozumiem, ale tam mówiłeś coś o krwi.

- (...) poplamione krwią i szminka "krew dzieci" napisane.

- Dobrze, zrozumiałem. Słuchaj, czy to jest, Legia, Legia duża grupa?

- Nie.

- Dobrze, zrozumiałem. Sliwa, zgłoś się.

- Tak, zgłaszam się.

- Gdzie ta grupa jest teraz?

- Słuchaj, ona w tej chwili jest na Dziesiątego, na Dziesiątego jest.

- Przecież na Świętojańskiej już była, podobno PKO minęła?

- Słuchaj, ale jest druga grupa, mała, młodzieżowa, która, proszę ciebie, ma umazany sztandar, więc prawdopodobnie w szmince czy w czymś i napis "krew dla dzieci", "krew dzieci".

/42/ Prawdopodobnie chodzi o próbę podpalenia mostu (patrz relacje)

- Słuchaj, Sliwa, chodzi mi o tę grupę z tym trupem.
- Jest pod Prezydium już.
- Sliwa, tu Gujana, Sliwa, tu Gujana.
- Słuchaj, Gujana. Więc ta grupa już dochodzi do Prezydium, dochodzi. I tam trzeba coś zrobić, żeby to rozproszyć.
- Słuchaj, a ty coś mówiłeś o jakiejś drugiej grupie.
- Tak, pokazała się niewielka grupka, niewielka grupka młodzieży znowu, którzy niosą sztandar z napisem "krew dzieci". Jest to pomazane chyba szminką albo czymś. Tak podali mi.
- Dobrze, zrozumiałem. Ona jest na Dziesiątego, tak?
- Tak, ona już była na Dziesiątego.
- Sliwa, Sliwa (...) tego trupa niosą.
- Tak, wiem, wiem, dziękuję.
- Sliwa, Sliwa, tu Bawaria. Koło PLO, koło PLO jest pięćdziesiąt, jest pięćdziesiąt osób. Niosą sztandar, taki biało-czerwony, niby skrwawiony i coś tam krzyczą. Ale pięćdziesiąt osób...
- Rozumiem. Pięćdziesiąt osób przy PLO jest ze sztandarem.
- Będą się pomału posuwali...
- Dobrze, zrozumiałem. Jak tam sytuacja przy Prezydium?
- A doszli już do Prezydium, tak?
- Tak, zatrzymali, zatrzymali się tutaj.
- Tu Ataman. Słuchaj, na wysokości Prezydium włączyły się dwa helikoptery i bombardują gazami. Prawdopodobnie na ich wysokości są.
- Dobrze, zrozumiałem.
- Wojsko też atakuje, wojsko też atakuje w kierunku Wzgórza, tak?
- Tak, tak, w kierunku Wzgórza (...) i z helikopterów.
- Strzelają, strzelają z broni.
- Tak, tak, ale petardy, petardy.
- Kasztan, zgłoś się, Kasztan zgłoś się, tu Gujana. Pod Prezydium nasi z wojskiem atakują, atakują. Petardy i helikopter jest w akcji. Tutaj w kierunku na Wzgórze i na dworzec.
- Przy Prezydium straszny tłum. Trudno jest zorientować się, jak to wygląda.
- Słuchaj, Sliwa. Więc ta grupa, rozumiesz, z tym trupem, doszła pod Prezydium, połączyła się tam z tą grupą, która była przy Prezydium i tam jest atakowana w tej chwili gazami z helikopterów. Trudno jest w tej chwili dojrzeć, co się tam dzieje, dlatego, że to się wszystko rozpryskuje.
- Dobra, zrozumiałem, zrozumiałem. Gujana, zgłoś się, tu Sliwa.
- Gujana dla Sliwy.
- Słuchaj, czy jest jakiś dopływ, dopływ do nas, dopływ do nas do kwadrat C?
- Sliwa, Sliwa, głównymi kanałami nie ma, nie ma dopływu, można bocznymi tam koło lasu od Orłowa. Tu Gujana, tu Gujana. Kto jest, przy głównym kanale przed Wzgórzem?

- Asesor, Asesor jest.
- Asesor, czy jest dopływ, czy jest dopływ z kierunku kwadratu C do kwadratu A? Czy ludzie dopływają?
- No, chodzą, idą, idą.
- Sliwa, Sliwa, Asesor przekazuje, że dopływ jest, że dopływają z kwadratu C.
- Sliwa, zgłoś się, tu Alaska.
- Tak, zgłaszam się.
- Na Świętojańskiej zieloni, zieloni. Bardzo dużo. Idą całą szerokością Świętojańskiej, w stronę Rady płyną.
- Dobrze, zrozumiałem. Czyli zieloni całą szerokością Świętojańskiej, tak?
- Tak, tak.
- Podaje Błysk, że przy Prezydium jest spokój.
- Dobrze, zrozumiałem. To gdzie się to rozeszło, w jakich kierunkach? Podaj mi.
- Na dworzec Nowotki, rozumiesz, i na boki, na boczne.
- Dobrze, zrozumiałem.
- Kasztan, zgłoś się, tu Gujana.
- Zgłasza się.
- Słuchaj, na Wzgórzu przy tym dużym kościele/43/, tam jest duży tłum ludzi, duży tłum ludzi.
- Sliwa, Sliwa, tu Gujana. Słuchaj, Kasztan się pyta, czy dostaliście potas w postaci środków chemicznych. Sliwa, odpowiedz.
- Słuchaj, Gujana. Ja osobiście, my osobiście nie dostaliśmy nic. Czy dostali ci, co tu są, tego się nie orientuję. My osobiście nie wiemy.
- Dobra, zrozumiałem. Jak coś będziesz wiedział, to mi podaj.
- Zgłoś się Sliwa dla Legii.
- Sliwa dla Legii.
- Słuchaj, ten tłum na Wzgórzu, co podawał Lanca, to gapiowie, gapiowie. Mają łoznetki i wiese, cały czas się przyglądają, co się dzieje pod Radą. Cywile i kobiety. Patrzą tylko, co się dzieje. Noe tam nie ma, sami gapie tylko.
- Tam w sprawie tych kierowców niech się Sliwa dowie, bo tu sztab przywiezli.
- Znowu elektryczne kolejki poszły.
- Powtórz, Błysk.
- Błysk podaje. Kolejki elektryczne ruszyły.
- W kwadracie A? W kwadracie A?
- Tak, tak, w kierunku tam do ciebie.

/43/ Kościół OO Franciszkanów pod wezwaniem św. Antoniego.

- Kasztan, zgłoś się. Kasztan, tu Gujana. Słuchaj, sytuacja jest taka. Przed Prezydium rozpedzili, rozpedzili. Duża grupa jest przy kościele na Wzgórzu, pozostali rozpedzeni na tory i tutaj na dworzec przy Wzgórzu. Puścili kolejki, kolejki elektryczne chodzą.
- Gujana dla błysku, odbiór.
- Zgłasza się.
- Słuchaj, ten, ten wiesz, którego nieśli, trup, leży na chodniku, tam koło Prezydium. Tam tylko nasi są.
- Dobrze, zrozumiałem.
- Kasztan, tu Gujana. Więc słuchaj. Przy Prezydium opanowana sytuacja. Ten trup, co nieśli, leży przy Prezydium. Nasi rozgonili.
- Śliwa, zgłoś się, tu Gujana.
- Tak, zgłasza się.
- Tu mi podawali, że tego trupa, co nieśli, zostawili przy Prezydium. Przekaż tam, że mają tego trupa sprzątnąć.
- Dobrze, zrozumiałem.
- Kto jest przy Prezydium, kto jest przy Prezydium, niech poda mi sytuację szybko.
- Legia dopływa.
- Słuchaj, zwróć uwagę, jak tam wygląda. Bo tam prawdopodobnie są sygnały, że ten trup leży przy Prezydium sam.
- Dobrze, podam ci zaraz.
- Śliwa, tu Aldona, zgłoś się.
- Zgłasza się dla Aldony.
- Słuchaj, tu przy Prezydium słychać strzały z broni krótkiej.
- Słuchaj, sztab o tym wie, sztab o tym wie.
- Śliwa, Kasztan się pyta, kto wydał decyzję, żeby pociągi puścić.
- Przynajmniej ja nie wiem, mnie nie meldowali o tym, nie zdążyli.
- A to dowiedz się tam.
- Słuchaj, ale tam jeden ma WC, niech się dowie. Słuchaj, Gujana, tu przy Prezydium słychać strzały.
- Dobra, zrozumiałem.
- Śliwa, tu Bawaria(...) często podpływają karetki i tłum się coraz większy zbiera. Chodzi o to...
- Nie przeszkadzaj Gujana na razie! Więc mówisz, pod szpitalem Miejskim, tam gdzie przyjeżdżają karetki, zbiera się tłum i należałoby to rozproszyć.
- Tak jest. Chodzi o to, żeby rozpraszać ich.
- Gujana, zgłoś się.
- Gujana do Śliwy.
- Słuchaj, tam przy Szpitalu Miejskim, przy Szpitalu Miejskim, gdzie wjeżdżają karetki, zbiera się tłum i należałoby to rozproszyć.
- Dobra, zrozumiałem. Kasztan, zgłoś się. Tak, tu Gujana. Kasz-

- ten, przy Szpitalu Miejskim, przy Szpitalu Miejskim tłum się zbiera, tłum się zbiera. Trzeba to rozpraszyć, podaj Sliwa.
- Znow się tłum zbierają...
 - Przy Prezydium, tak?
 - Przy pogotowiu na Władysława IV, na Władysława IV.
 - Sliwa, Sliwa, tu Gujana.
 - Tak, zgłasza się.
 - Kasztan się pyta, jak z tymi środkami chemicznymi.
 - Poszli sprawdzić, poszli sprawdzić, nie mam na razie wiadomości o tym.
 - Sliwa, jest już Bawaria przy Prezydium, przy Prezydium. Ulica opanowana. Nie ma już żadnych osób przy Prezydium, tylko dalej, tylko dalej. Wokół placu tutaj, przy Wzgórzu Nowotki dużo jest.
 - Zrozumiałem cię. Przy Prezydium nie ma prawie nikogo. A słuchaj, z tym trupem co się stało?
 - Nie wiem. Tam sama milicja jest, mundurowi, mundurowi.
 - Dobrze, rozumiałem. W każdym bądź razie nie widzisz jego.
 - Sliwa, zgłoś się.
 - Tak, zgłasza się. Słuchaj, to wszystko uciekło tutaj, jak jest wał, wał, hotel(...) po tych górach co pouciekali, wracają z powrotem.
 - Rozumieć z Prezydium uciekli, a teraz z powrotem wracają.
 - Tak jest. Z powrotem zbierają się na Wzgórzu, z powrotem na Wzgórzu.
 - Słuchaj Gujana, słuchaj Gujana. Ten tłum, który został rozpe-dzony od Prezydium, znowu, znowu powoli się zbierać zaczyna.
 - Dobra, rozumiałem. Kasztan, zgłoś się, tu Gujana. Ten tłum, ten tłum co nasi rozpe-dzili przy Prezydium, z powrotem zaczyna zbierać się.
 - Dobrze, rozumiałem.
 - Mówisz, że dużo ludzi chce odplynąć w stronę Gdańska, ale są zatrzymywani?
 - Odplynąć do Gdańska nie mają czym, dojechać do Gdańska nie mają czym.
 - No, tam podobno puścili, puścili kolejkę.
 - A w sprawie tych środków? Mieli przywieźć z dostawą. Słuchaj, sztab wysłał do was, sztab wysłał i żąda potwierdzenia, czyście otrzymali, czy nie. Jak będziesz coś wiedział, to mi podaj.
 - Słuchaj, prawdopodobnie do marynarki wysłał, nie do nas.
 - Dobra, rozumiałem.
 - Sliwa, zgłoś się, tu Legia.
 - Zgłasza się.
 - Tam przy Radzie całkowicie opanowane przez naszych i przybyło kilkadziesiąt naszych i oni w tej chwili po górkach tam chodzą.
 - Dobrze, rozumiałem. Lapis, zgłoś się, Lapis, zgłoś się.

- Tak, zgłaszam się.
- Co z tym trupem? Czy go sprzątnęli spod Prezydium?
- Wiedź słuchaj, to jest opanowane przez naszych, jest opanowane przez naszych i tam nie można nic zrobić.
- Dobrze, zrozumiałem.
- Słowa, słuchaj. Tutaj koło "Bałtyku", wiesz, koło hotelu "Bałtyk" zatrzymują chuligani i benzynę chcą, rozumiesz, od taksjariuszy.
- Dobrze, zrozumiałem. Przy "Bałtyku", przy "Bałtyku" chuligani zatrzymują taksjariuszy i chcą benzynę.
- Słowa, Słowa, zgłoś się.
- Tak, zgłasza się.
- Słowa, dowiedz się tam w willicji co z tym trupem, czy oni coś wiedzą.
- Dobrze, zrozumiałem. Spójrz się. Bawacie.
- Zgłoś nam się w Willicji.
- Słuchaj, czy na Świętokrzyskiej ktoś przelotem przez całą ulicę przejechał? Jechał? I był przelot, takie pojedyncze osoby, pojedyncze osoby niestworzone tylko są.
- Słowa, to Słowa. Jak tam, jak tam, dowiedz się.
- Nie, poszedł Słowa zobaczyć do szefa.
- Gajana, zgłoś się.
- Gajana dla Sławy.
- W sprawie tego trupa. Wiedź na polecenie "Syrnak" Wojanna zabrać go, zabrać go? Przewieźć do Redłowa?
- Dobrze, zrozumiałem.
- Słowa, zgłoś się.
- Zgłasza się.
- Słuchaj, łebki w dalszym ciągu są przy hotelu.
- W dalszym ciągu są przy hotelu, tak?
- Tak, mają fiasko i do fiasko biorą paliwo(...) fiasko napełniają, fiasko napełniają.
- Dobrze, zrozumiałem. Gajana, zgłoś się.
- Gajana zgłasza się.
- Słuchaj, tu chuligani, proszę cię, w obrębie "Bałtyku", tego na Wzgórzu, proszę cię, zabierają kanistry, zabierają kanistry z benzyną i baki opróżniają. Trzeba szybko zareagować tam.
- Dobrze, zrozumiałem. Kasztań, zgłoś się. Słuchaj, przy Wzgórzu, tam przy "Bałtyku", przy "Bałtyku" opróżniają kanistry, zatrzymują samochody, opróżniają kanistry z benzyną.
- Słowa zgłoś się.
- Tak, zgłasza się.
- W sprawie tej benzyny tam. Zamknąć ruch w kierunku na Witomińno, w obydwu kierunkach.
- Kto ręką wydał decyzję?

- Kasztan tu przekazał.
- Niech Kasztan, proszę cię, poda osobowo, kto wydał taką decyzję, bo tutaj nie mogą tego realizować.
- Dobra. Kasztan, zgłoś się. Sliwa, Sliwa się pyta, kto wydał taką decyzję, żeby zablokować te drogi od "Bałtyku" na Witomino. Dobra, zrozumiałem. Sliwa, zgłoś się, Sliwa, zgłoś się.
- Tak, zgłasza się.
- Słuchaj, Kasztan przekazał mi, że oni uważają, że tak należałoby zrobić. Jeżeli sztab u ciebie uważa inaczej, to niech oni decydują.
- Ale posłuchaj, posłuchaj, słuchaj, u nas ten główny, który jest, od Kasztana decyzji nie uwzględnia.
- Jeżeli nie uwzględnia, niech decyduje sam. Tak tu mi Kasztan polecił.
- Słuchaj, to może niech Kasztan nie daje decyzji, bo tutaj u nas jest głównym DB, rozumiesz, i on, proszę cię, nie realizuje tego.
- No więc w porządku, w porządku, w takim razie w porządku.
- Na Łazur. Na wysokości tramwaju/44/ dosyć liczna (...), gdzieś trzysta, czterysta osób. Więcej nie mogę zobaczyć, nie mogę się kręcić za mocno.
- (...) niedużo, ze sto osób na Świętojańskiej, róg Świętojańskiej i Dziesiątego.
- Dobrze, zrozumiałem.
- Sliwa, tu Gujana.
- Tak, zgłaszam się.
- Przekaż wszystkim kutrom. Jak będzie ciasno i gorąco w kwadracie A, to kutry mają się wycofać w kierunku na kwadrat C. Piesi pozostają, piesi pozostają, same kutry. Jeżeli nie będzie przepływu przez kwadrat C, to na Chwaszczyno niech płyną.
- Dobrze, zrozumiałem. Alaska, czy zrozumiałeś to?
- Tak, tak.
- Dobra, to tam przekaż i swoim kutrom, bo nie wiem czy wszyscy słyszeli.
- Dobra.
- Bawaria słyszała, Bawaria słyszała.
- Legia też.
- No to pięknie.
- Sliwa, Sliwa. Podajcie sytuację, podajcie sytuację jaka jest.
- Ja Legia. Przy Prezydium bez zmian, bez zmian.
- Przy Prezydium jest spokój, Tak? Opanowane?
- Tak, tak. Tak jak ostatnio było.
- A z tym trupem nie wiesz jak jest?

/44/ Słowo błędne lub zniekształcone; w Gdyni nie ma tramwajów.

- No tam nie można, nie można się dostać. Nasi obstawili.
- Dobrze, zrozumiałem. Już teraz dowiedziałem się, że wzięli.
- Zgłasza się Lapis dla Gujany. W tej chwili na wysokości Traugutta płynie do Prezydium duża grupa z transparentami i z okrzykami, ze śpiewem. Podawałem to pięć temu.
- W jakim kierunku?
- Do Prezydium, do Prezydium. Zrozumiałeś, Gujana? Do Prezydium.
- Tak, zrozumiałem.
- Kasztan, Kasztan, zgłoś się. Kasztan, przy Prezydium spokój, opanowane przez naszych i wojsko, przy Komitście spokój, ale od Traugutta płynie duża grupa, duża grupa ludzi i młodzieży.
- (...) granaty łzawiące i to się tylko rozpryskuje. Tam jest jakiś wielki łuch i dużo dymu. Z daleka tylko widzę.
- Dobra, dziękuję. Z Traugutta na Czwartego w kierunku na Prezydium.
- Nie, nie, nie! Od głównej do Czwartego, od głównej Świętojańskiej do Czwartego.
- Kasztan, zgłoś się. Komar, Komar podał, w swoim kwadracie przy gniaździe, gdzie stoją przed bramą około dwieście, trzysta osób z opaskami. Te dwieście, trzysta osób jest przed głównym wejściem do budynku. A przed bramą stoją z opaskami i kontrolują.
- Dobra, dobra. Zara, chyba to, chyba to z marca. To, co możemy mieli kiedyś, tak? Z marca.
- Kto jest przy Świętojańskiej?
- (...) jestem przy placu.
- Słuchaj, tam prawdopodobnie idzie grupa około pięćset osób. Na czele idzie mężczyzna z kobietą. Potwierdzić.
- Ja nie mam możliwości, bo tutaj jest, rozumiesz, tłoczno, tam nic nie puszczają, ale tam moi szyprowie wpłynęli, jak oni wrócą, to ci podam dane wszystkie.
- Czy ktoś może wpłynąć na Świętojańska?
- Nie da rady, tu, wiecie, nie da rady, tam nic, tam jest ciasno i gorąco.
- Bawaria, ja odpływam. Jestem na Obronców, zaraz powiem ci coś. Słuchaj, ta grupa, co podawałem, jest już na Czwartego i idzie w kierunku Wzgórza Nowotki.
- Dobra, zrozumiałem. Ile będzie ta grupa liczyła?
- No, ciężko mi w tej chwili powiedzieć, ale tak koło patyka.
- Dobra, zrozumiałem. Kasztan, zgłoś się. Ta grupa, co była na Czwartego, idzie dalej (...) zwiększa się, napływają z zewnątrz.
- Alaaak, zgłoś się dla Sliwy. Słuchaj, trzeba przekazać wszystkim. Jest taka sytuacja, że prawdopodobnie nas, nas mogą słuchać i trzeba podawać krótko i starać się trochę żargonem.
- Dobra, zrozumiałem. Kasztan, zgłoś się.
- Słuchaj, Sliwa, jakaś delegacja płynie, trzy woźgi w ochronie milicji. Tak, dwa wozy milicji.
- Dobrze, zrozumiałem.

- Kasztan, Kasztan, przepuszczają ich, bo to są chyba z Obawy, z Obawy.
- Kto jest w okolicy pogotowia, kto jest w okolicy pogotowia, niech się zgłosi.
- Bawaria przed chwilą była, Bawaria.
- Słuchaj, tam prawdopodobnie jest około czterysta osób.
- Dlaczego mi nie podają?
- Włażem ci podać, bo moi zutra pewnie sprawdzą. Ta grupa zatrzymała się na wysokości delikatesów tutaj.
- Dobrze, zrozumiałem, że ta grupa zatrzymała się na wysokości delikatesów i dyskutuje w tym przy pancernych. Kasztan, zgłoś się, tu Gajana. Ta grupa, co Władysław pomyślał, zatrzymała się na wysokości delikatesów, przy żelaznych, tych pancernych i dyskutują tam.
- Słowa, słowa zgłoś się.
- Tak, słyszysz coś.
- Słuchaj, jak by tam było na łączności tryk, to zgłoś się, czy może coś słyszysz. To są na dyskusji, jest między innymi żelazny i to grupa, która jest włączona w.
- Słuchaj, Gajana, ... los ...
- Słuchaj, Gajana. Nie wiem, czy ty masz, ale to są takie słowny że prawdopodobnie jest możliwość nas poinformować, żeby trochę może oszczędnie.
- No to może przejdźmy na inne kanały, czy jak?
- To nam nic nie pomoże.
- Dobra, zrozumiałem.
- Gajana, zgłoś się, ja Błak.
- Gajana dla Blyku.
- Słuchaj. Ta grupa ruszyła, ruszyła od tych żelaznych i idą w kierunku Wzgórze.
- Dobra, zrozumiałem. Tylko tam teraz uważajcie, bo prawdopodobnie jest nasiodło.
- Ta grupa ruszyła, ruszyła dalej w kierunku Wzgórze.
- (...) i wywołali do naszych pole rany i palisad.
- I co się z tymi dzieje tutaj?
- W tej chwili jest rozprawy z ...
- Na Władysław przeliczył się ze Świętopolskiej?
- Tak, ja tam teraz powinna. Teraz ci podaj coś.
- Dobrze.
- Tu Gajana. Wszystkie kutry przechodzą na ówjkę, wszystkie kutry przechodzą na ówjkę.
- Słuchaj, jest dosyć duża grupa, jakieś czterysta osób na Władysław (...)
- Posłuchaj, bo ja nie mam w tej chwili na daję dużo pracy (...)

- Tam nie można się dostać.
- Dobrze, zrozumiałem.
- Przy pogotowiu to jest duży tłum. Ale to, wiesz, to jest z bo-ku, na chodnikach. Wojsko, milicja, no i dużo ludzi.
- Przy Komitecie spokoj, wojsko.
- Spokój tu na Świętojańskiej.
- Słuchaj, Ataman się pyta, Ataman się pyta, czy na Chylonię ma z-na się przedostać.
- Nie da rady, Ataman, nie da rady.
- Kasztan, Kasztan, tu Gajana. Przy Prezydium ponownie zbiera się, zbiera się. I są rozpraszeni przez naszych gazem, gazem. I znów skupiają się z powrotem.
- Słuchaj, dokładnie sprawdź, bo ja mam tutaj słuchy, że tam wzy-wają, wzywają w ogóle helikoptery.
- Z karabinów maszynowych strzelają.
- Lazur, co z tym trupem?
- Sliwa, zgłoś się.
- Tak, zgłasza się.
- Dowiedz się, jak tam sytuacja pod Prezydium, bo coś mi tu prze-kazują, że znów jakiś trup, że strzelanina. Co tam jest?
- No widzisz, proszę cię, Asesor podaje, proszę cię, że tam(...) tylko on od Świętojańskiej nie widzi(...) pojechał tam sprawdzić.
- Będziesz coś wiedział, to przekaż.
- Duża grupa, duża grupa...
- Lazur, słucham cię.
- Otrzymałem informację, że z zewnątrz jednego trupa niosą pod Prezydium jeszcze raz. Manifestacyjnie. Zrozumiałeś?
- Zrozumiałem.
- Od strony kwadratu T płynęły dwie na sygnałach karetki do śródmieścia.
- Dobrze. Od kwadratu T płynęły dwie karetki, tak?
- Tak, na sygnałach.
- Dobrze, zrozumiałem. Zorientuj się, co się tam dzieje przed Prezydium na Wzgórzu.
- Sliwa, Sliwa, tu Gajana. Czy coś bliżej wiesz już?
- Więc słuchaj, proszę cię, mnie podała Legia, że tam, pro-szę cię, rzucają petardy, rzucają petardy i że, proszę cie-bie, od kwadratu T wjeżdżają na sygnałach dwie karetki.
- Dobra, słuchaj, tylko Lazur mi coś podawał z trupem. Czy oni tego trupa sprzątnęli, czy nie?
- Więc tego sprzed Prezydium wzięli, wzięli, zabrany jest.
- Ale coś mi podaje, że ponownie coś tam nieśli.
- To jak on wie, to niech ci poda.
- Sliwa, zgłoś się dla Bawarii.

- Zgłaszam się.
- Sliwa, nasi przy Prezydium nawołują przez tubę do rozejścia się, tylko to jest nie przy Prezydium, tylko przy żelaznym, przy żelaznym. I tam, wiesz, ci rzucają, a ci odrzucają im i jest taka, wiesz, walka. I helikopter rzuca tam.
- Słuchaj, ale ja mam informację, że są strzały do nas, do nas są strzały.
- Ja, wiesz, ja tu jestem gdzieś pięćset metrów od tego, to nie słyszę nic, nic nie słyszę.
- Dobrze, zrozumiałem.
- Słuchaj (...) na Świętojańskiej, nie dojeżdżając do Prezydium, tu jest taka stacja benzynowa/45/ na Świętojańskiej. Tu jest właśnie całe zgrupowanie. Na całej jezdni. Cała jezdnia. Pełno.
- Ale słuchaj, tam, gdzie, proszę cię, są oddawane strzały do nas, są oddawane strzały. Prawdopodobnie są ranni.
- No nie wiem, nie stwierdziłem tego, nie widziałem.
- Więc słuchajcie od Alaski. Spróbujcie, spróbujcie całą okolicę spenetrować, co się tam dzieje.
- Alaska, zgłoś się, Legia, zgłoś się.
- Zgłaszam się.
- Możesz mi powiedzieć bliżej o Prezydium?
- Tam trudno się przedostać. Jest w tej chwili zatarasowane.
- Zrozumiałem. Kto może coś bliżej powiedzieć w pobliżu Prezydium?
- No, słuchaj. Nie mogli się tam dostać, nie mogli się tam dostać (...) tu mam dla ciebie, podaję ci: 826 KK, K jak Krystyna, dwa razy K, 16. Biały volkswagen. Zrozumiałeś, Sliwa?
- 826 KK 16, biały volkswagen.
- Tak. Gdyby się pokazał, tak w kwadracie A, to go przepędzić.
- Dobrze, zrozumiałem. Alaska, zgłoś się. Lazur, zgłoś się. Słyszeliście, co podawała Gujana?
- Tak, tak.
- To go przepędźcie.
- Sliwa, tu Asesor, zgłoś się.
- Tak, zgłasza się.
- Próbowałem podbić się tam bliżej do Prezydium, ale nie daje rady.
- Sliwa, tu Asesor, zgłoś się.
- Tak, zgłasza się.
- Słuchaj, ja tam w tej chwili nie mogę podpłynąć, bo w tej chwili jeszcze petardy rzucają, proszę cię, i jest tak zadymione, że nie można podpłynąć.
- Dobrze, zrozumiałem cię, dobrze.
- Sliwa, zgłoś się, Sliwa, zgłoś się, tu Gujana.
- Zgłasza się Sliwa.

/45/ Świętojańska 109. Na miejscu stacji stoi dziś blok mieszkalny.

- No, jak tam, no, jak tam sytuacja jest.
- Więc słuchaj od Alaski. Nie mogę się tam, proszę cię, zbliżyć. Jest tłum. Tam się coś dzieje, proszę cię, ale są dy-
my i nie mogę się tam dostać.
- Sliwa, tu Bawaria, zgłoś się.
- Zgłasza się.
- Ja jestem na Czolgistów, w pobliżu Prezydium, wiesz, w pobli-
żu. Więc z tej strony tu nie ma nic. Względny spokój. W ogóle
przy Prezydium nie ma nikogo. Tylko przy torach, tam przy torach,
w kierunku ze strony, tam są takie grupki chuliganów, no i mili-
cja tam z nimi walczy. Rzuciła petardy. Ale nie groźnego tu nie ma.
Zamelduj im.
- Dobrze, zrozumiałem. To mówiła Bawaria, tak?
- To ta grupa(...) tylko flagi kirem ozdobione nieśli, tak?
- (...) ale co się tam dalej stało, to już nie wiem. Daleko by-
łem.
- Sliwa, Sliwa, słuchaj, ja Błysk, ja Błysk. Byłem w pobliżu uli-
cy Szenwalda, Szenwalda, rozumiesz? Chuliganie stoją, lat czter-
naście, piętnaście, szesnaście, kamieniami obrzucają.
- Lazur, zgłoś się, tu Gujana, Lazur, czy to był ten pierwszy,
czy to już inny. Słuchaj, czy ty słyszałeś o pierwszym wypadku(...)
i potoczył przed Prezydium, czy to był ten sam?
- Następnie, zgłoś się. Słuchaj, Lazur mi podawał, że nieśli jakie-
ś coś pod człopaka. Trup. Nie miał Lazur powiedzieć, tylko
stwierdził, że młody jakiś chłopak był niesiony. I nie wie, czy
to był ten pierwszy, czy inny wypadek.
- Bardzo dużo gapiów, bardzo dużo gapiów(...) pod Prezydium pięć
jakieś temu.
- Sliwa, zgłoś się, tu Alaska.
- Zgłasza się.
- Słuchaj. Ogólna reakcja jest taka, że gdyby ich wycofali, to
by był spokój. A wojsko by patrolowało. A tak, to ta smarkateria
lata, z nimi drażni się, a ci nie mogą dać rady(...) żeby mili-
cja się wycofała, wojsko patrolowało, byłby święty spokój, bo do
wojska w zasadzie nie rzucają, tylko do milicji, do milicji.
- Słuchaj, a to jest w okolicy Wzgórza?
- Tak, tak, w okolicy Wzgórza. A tu największej milicji ochaja. Jak
wojsko stoi, to ci nie rzucają.
- Dobrze, zrozumiałem.
- Sliwa, tu Bawaria, zgłoś się.
- Zgłasza się.
- Więc kanał Święty przy Prezydium również jest wolny, proszę
cię, w kierunku również można jechać kwadratu C, tak samo
wolny jest.
- Dobrze, zrozumiałem. Kto to podawał?
- Bawaria, Bawaria. Ja właśnie płynę Świętym kanałem.
- Dobrze, zrozumiałem. Gujana, Bawaria mi podała w tej chwili,
że przejechała trasą Świętojańską aż do, proszę cię, wylotu
na kwadrat C. I powiada, że tu jest spokojnie i można przejechać-

wać. A tylko tu na Wzgórzu, przy przystanku są takie grupki (...) rzucają i prowokują milicję. Wojska nie ruszają.

- Dobra, zrozumiałem. Kasztan, zgłoś się. Bawaria, Bawaria przepłyneka od kanału Świętego do kwadratu C. Jest spokojnie, jest spokojnie. Można przepłynąć. Tylko w okolicy Wzgórza, Wzgórza, grupy chuliganów prowokują, prowokują naszych. Rzucają kamieniami. Zielonych nie ruszają, tylko naszych.

- Na Czwartego, na Czwartego w stronę Gdańska jest (...) jest tłum (...) przy tych karetkach, przy tych karetkach.

- Tam jest przy karetkach bierny tłum, tak? Jaka mniej więcej ilość?

- Trzysta, czterysta osób.

- (...) oznakowany czerwonym krzyżem.

- To znaczy łuk, żuk z oznakowaniem czerwonym, tak? Z czerwonym krzyżem wywozi ze szpitala rannych.

- Nie, przywozi, przywozi.

- Rozumiem, przywozi rannych.

- (...) i posiada z boku napis "krwiodawcy".

- Tu Alaska, tu Alaska, dla wszystkich! Nie przesadzać, nie wyolbrzymiać. Prawdziwie podawać, prawdziwe fakty podawać.

- Tak jest, tak jest, Alaska, upomnij. Do po prostu okazyjnie, że to nie są ranni, a po prostu krwiodawcy.

- Śliwa, ogłasza Bawaria. Ja jestem koło Prezydium teraz. No jest na placu tłum, ale jest bierny. Przyglądają się wszystkim, przyglądają się.

- Ale przyglądają się czemu?

- No w kierunku Prezydium. Obserwują milicję.

- Duże zgrupowanie na torach, na torach koło żelaznego i wiaduktu.

- Dobra, zrozumiałem. Kasztan, zgłoś się, tu Gujana. Duże zgrupowanie na torach przy Wzgórzu. No, na razie ich tam rozproszyli i to wszystko na torach czeka.

- (...) od Świętojańskiej do Prezydium (...) Świętojańska około pięćset osób zbliża się.

- Alzacja, Alzacja, ja Autor, jak mnie słyszysz, Alzacja.

- W kwadracie A wychłoda tak sytuacja: dworzec, komitet, kanał Związy, pla. Kasztan - to wszystko czyste. Na kanale Czwartego przy pogotowiu jest masa zielonoko przy karetkach wojskowych i tam rozmowy są - rozmawiali, następnie większy tłum jest na wylocie kanału Świętojańska i Czwartego, tam na tym miejscu przy karetkach.

- Dobra, dobra, zrozumiałem. I pod Prezydium, tak?

- Wokół, zaraz ci pokaz. Prezydium odiera ten tłum i dlatego nie zgrupowało jest tu na tym, wiesz, wale i tu przy tej szkiele wiesz, jak ta szkółka jest. No i tu cała ta strona, jak, wiesz, Wzgórze Nowotki. Po tej stronie, może coś tam, wiesz, i nie jest tłum. Wysokość Prezydium i tutaj rozciągnięty. Kasztan, Alzacja, Alzacja.

- Dobra, zrozumiałem, zrozumiałem. Kasztan, Kasztan, tu Gujana.

Kasztan, przy Prezydium i przy Wzgórzu tam na nasypach przy torach jedynie tłum. Pozostałe rejonu w kwadracie A są czyste.

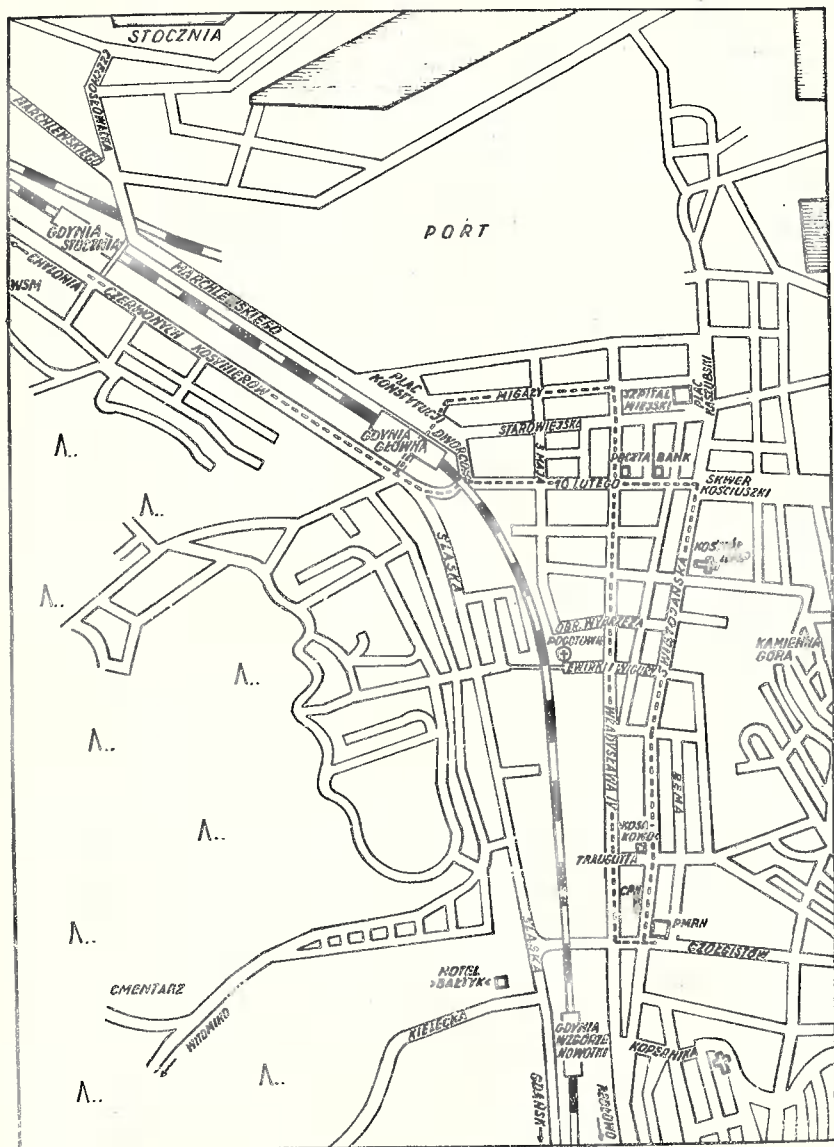
- (...) dobra, czekaj, czekaj!
- 285, jaka sytuacja na Wzgórzu przy torach?
- Czyszczony jest kanał Czwarty.
- Tak, tak. Tylko na bokach. Tam wojsko weszło.
- 55, 235. Tenzor dwa.
- 55 Tenzor drugi...
- Podaj sytuację na torach na Wzgórzu Nowotki.
- Dobrze, zaraz ci będę podawał sytuację. Wiesz stoją pociągi elektryczne, jeden za drugim. Następnie pociąg towarowy(...) przed samym dworcem. Na samym dworcu jest grupka ludzi, czterysta, sto pięćdziesiąt, dwieście i pociąg elektryczny stojący. Natomiast troszeczkę dalej(...) około dwieście pięćdziesiąt, trzy-sta osób. Rozumiesz?
- Petardy jeszcze masz?
- Mam.
- Używać, używać.
- Używać?
- Tak, używać.
- 287 start.

Słuszny zapis jest słabo czytelny, przeczytać można było tylko niektóre fragmenty meldunków:

- W rejonie Wzgórza spokój, wszystko rozpedzone. Należałoby czerwone uruchomić, bo dużo czeka na przystankach.
- Starowiejska ściana wschodnia jest wolna, no i koło dworca też.
- Prawdopodobnie coś się dzieje koło "Bałtyku" na Kieleckiej. Na zachód od hotelu "Bałtyk", jak te górki są, tam jest koło szkoły(...) w takich grupkach po cztery, pięć, sześć osób(...) tych pojedynczych atakują, atakują.
- Na Władysława IV na wysokości delikatesów jest duże zgromadzenie, tam, gdzie stoją te opancerzone. Na chodnikach i nawet na jezdnii, przytych opancerzonych. Biernie stoją. Rozmawiają z żołnierzami.
- Czerwone już kursują normalnie. W kwadracie A spokój(...) Podobno już kursują żelazne...

opracowała

WIESŁAWA KWIATKOWSKA



Gdynia 17.12.1970 - trasy pochodów

OD REDAKCJI

Prezentujemy fragment książki Wiesławy Kwiatkowskiej *Grudzień 1970 w Gdyni*, powstałej z inicjatywy Funduszu Rodziników-wybrzeźni. Autorka przez długi czas mieszkała - do 13 grudnia 81 - pracowała w sekcji historycznej Ośrodka Prac Społeczno-Zawodowych NSZZ "Solidarność" przy ul. Główna Gdynia. Zajmowała się tam obracowaniem przebiegu wydarzeń grudniowych w Gdyni. Pierwszym materiałem na ten temat były pięć relacji nadesłanych w odpowiedzi na apel górniackiego sądu. Powstała część materiału, na który złożyło się w sumie ok. 60 relacji uczestników i świadków wydarzeń, autorka Autorka sama udało jej się dotrzeć zarówno do poszkodowanych, jak i do osób piastujących w owym czasie odpowiedzialne funkcje w aparacie władzy.

Wprowadzenie stanu wojennego przerwało możliwość legalnego kontynuowania tej dokumentacji. Co gorsza, duża część materiałów bezpowrotnie przepadła - "po części wskutek rewirji, po części z powodu zamieszania wywołanego stanem wojennym" - jak mówi sama Autorka. Zginęły m.in. /pozostające w jednym egzemplarzu/ wydrysowane i uwidocznione dyktando Stoczni Łańdowiny Paryskiej - Pymniskiego i I sekretarza PZ w tejże stoczni W. Porzyńskiego, a także historyczny jeździec relacja Adolfa E. Januszyszyna, I sekretarza KM PZDR w Gdyni S. Malinowskiego i przewodniczącego gdynińskiej Miejskiej Rady Narodowej J. Pariańskiego. Zginęła równieżteczka z relacjami lekarzy szpitali gdyniskich "To, co tu dzieje się", złożyło się na książkę Kwiatkowskiej. Rekonstrukcja ta, stanowiąca owoc wielomiesięcznej pracy Autorki, dotarła w efekcie wstrząsający dokument o tragicznych wydarzeniach, jakie miały miejsce w grudniu 1970 r. na Wybrzeżu. Książka Wiesławy Kwiatkowskiej będąc historycznym świadectwem, jest jednocześnie widmem oddanym poległym na gdyniskich ulicach w tamtych dniach.

Drukując obszerny fragment tej pracy mamy nadzieję, że jej wartość już wkrótce dotrze do rąk Czytelników.

IRENEUSZ KRZEMIŃSKI

ŚWIAT ZAKORZENIONY

Doświadczenie społeczne Polaków, zgromadzone w ciągu ostatnich lat, stanowi dla każdego, kto pragnie rozumieć świat, swoiste wyzwanie. Jest to szczególnie wyzwanie dla socjologa, dla socjologicznej refleksji o życiu społecznym. Wszak polaryzacja i moralizatoryzm sąsiadują sobie, w opinii i ocenie, jakby nie miały w sobie nic wspólnego, jakby nie były w żadnym sensie łącznie. W tym sensie, że życie społeczne jest jednym z warunków istnienia i rozwoju jednostki. W tym sensie, że życie społeczne jest jednym z warunków istnienia i rozwoju jednostki. W tym sensie, że życie społeczne jest jednym z warunków istnienia i rozwoju jednostki.

Wobec tego, wymaga to weryfikacji i stopni zakorzenienia, co, co zostało tutaj przedstawione, jest na, że bardzo szkieletowa gwiazda przybliżeniem do całej, bardziej, że przemyślenia, analizy.

Wciąż się takie skupienie osobowościach, try psychologicznych i socjologicznych mechanizmach życia społecznego, które zajmują się w dziedzinie społeczeństwa polskiego w ciągu ostatnich lat i które jako osobowości ujawniają się ze szczególną siłą, gdy do opisu i analizy pragnie się użyć - całkiem przekładem pojemnej i elastycznej - sieci pojęciowej nowoczesnej socjologii. Bez względu na to, że różne koncepcje i podejścia socjologiczne są pomocne przy formułowaniu najogólniejszej, syntetycznej interpretacji tego, co się w Polsce dzieje, to jednocześnie okazuje się, że horyzont refleksji o społeczeństwie pomija istotne wymiary życia zbiorowego i - tym samym - ludzkiej osobowości. Tutaj jednakże wkraczamy już w dziedzinę podstaw, sięgamy do korzeni, z których wyrasta tzw. naukowa refleksja i zwłaszcza - naukowa metoda. A zatem w dziedzinie, któ-

ra opracowuje dyskursywnie Fundamentalne doświadczenie s e n s u.

Wszędzie na ten temat zamierzam wypowiadać się nader ostrożnie - chodzi mi tylko o to, że naukowy ryznstunek socjologii zakłada - nieświadomie na ogół - pewien obraz społeczeństwa i pewien obraz człowieka. Obraz ten utwierdza takie czy inne założenia filozoficzne, które powodują, że sama analiza ponija lub nie daje możliwości wyciągnięcia wymiarów świata, które konieczne muszą być wzięte pod uwagę, jeśli chcemy najpierw zrozumieć czasosłowo doświadczenie społecznego. I które nam otwiera. Nie chciałabym tutaj zważać się na powroty na temat twierdzeń i dwojnych czy filozoficznych korzeni tej socjologicznej. Rejestruje tylko fakty, że "obiektywne socjologia naukowa" opiera się na ściśle określonych zasadach wyciągnięcia metafizycznych i że konieczność, by teoretycznym w badaniu zmasa, by ponownie odwołać się do refleksji filozoficznej.

Opacii teoretycznej socjologii na filozofii, która wprowadzie podejmuje znaczenie się ludzi z zagadką istnienia, zamiast na pozytywistycznej filozofii nauki i metodologii nauk postuluje się ocena /u nas znaczący jest tu myślowy dorobek E. Mokrzyckiego /1/. Sam doświadczenie społeczne - konkret bardziej namacalny, niż jakkolwiek naukowa analiza - różni się zmienną ten postulat w konieczności.

Ważne jest również, że socjologia, która twierdzi, że doświadczenie społeczne jest "obiektywne" i że "obiektywne socjologia naukowa" opiera się na ściśle określonych zasadach wyciągnięcia metafizycznych i że konieczność, by teoretycznym w badaniu zmasa, by ponownie odwołać się do refleksji filozoficznej.

SPOŁECZEŃSTWO OBYWATELSKIE - PROCES DOMYZJEWANIA IDEI

Wielki ruch społeczny "Solidarność", i to zarówno jako ruch związkowy, jak i ruch społecznych reform, ujmowano w różne schematy. Na ogół wskazują one, że specyfika tego ruchu społecznego polegała na powiązaniu w spójną całość kilku, różnych elementów w bieżącym działaniu społecznym, zachowanie integracji specyficznej struktury dążeń ruchu, było warunkiem jego dynamiki i powodzenia. Taki na przykład schemat przyjmuje badacz "Solidarności" jako ruchu społecznego, A.Touraine /2/. Ujmuje on "Solidarność" jako ruch, dążący do osiągnięcia celów na trzech różnych poziomach: związkowym, społecznym i narodowym. Podstawą działań w kierunku demokratyzacji życia społecznego jest organizacja związkowa, broniąca interesów pracowniczych wobec państwa-pracodawcy na poziomie zakładów pracy. Z kolei wyzwolenie społeczeństwa i udemokratyzowanie państwa jest podstawą działań, które mają na celu obronę narodowej tożsamości i uzyskanie poczucia narodowej podmiotowości. Integracja działań na tych trzech poziomach była - zdaniem Touraine'a - warunkiem powodzenia Związku i osiągnięcia celów ruchu społecznego. Układ celów wspólnego działania społecznego, który tworzy spójną całość,

stanowił również strukturę motywacji indywidualnych ludzi. Podstawą była działalność związkowa, a więc obrona podstawowych interesów życiowych, które decydują o warunkach egzystencji. Ale świadomość zabezpieczenia swych interesów natychmiast przenosiła człowieka na poziom reguł życia społecznego, na poziom reguł działań instytucji, wobec których i w ramach których mógł wyrażać i promować swoje interesy. Prawo do obrony swych interesów oznaczało konieczność takiej reformy życia zbiorowego, aby w sposób jednoznaczny i oddająca się korzeni instrukcje społeczne w podziemnym działaniu zakładały i gwarantowały istnienie prawa wyrażającego jednolitość, tylko takim wtedy ludzie mają zachowaną swobodę wyrażania swoich rzeczywistych interesów. Można zaś próbować swych interesów i zarządem dbać o dobro wspólne, gdy można je bez obawy wyrażać.

Kawa rano była przestrzeganiem praw - narodził się prowadzący do rozważanie sprawy niezawisłości państwowej i narodowej. "Wyzwolenie społeczeństwa" zakłada bowiem pragnienie przez władzę partyjno-państwową nowych reguł działania, a to wiązało się ze sprzawną zależnością radzących w Polsce od Związku Radzieckiego. Każdy więc element w tej strukturze był ze sobą w sposób k o n i e c z n y powiązany i to w taki sposób, że logiczna i empiryczna konieczność pokrywały się ze sobą prawniej na planie najogólniejszej definicji sytuacji. Mediacje i gra między tymi treściami poziomami, gra pragnień i możliwości, nadziei i zagrożeń, dążeń i ograniczeń wyzwałała tę niezwykłą ruchliwość zbiorową i indywidualną w Polsce w okresie 1980 - 1981, a i potem jeszcze, choć na coraz mniejszą skalę.

Na ten bardzo skrótowo tutaj przedstawiony schemat interpretacyjny spojrzeć można jednakże z innej strony, by zobaczyć samą rzeczywistość, przezeń opisywaną, nieco inaczej. Aczkolwiek schemat ten - jak wolno sądzić - bardzo dobrze oddaje podstawową strukturę motywacji działań zbiorowych i indywidualnych w obrębie ruchu "Solidarności" i pozwala na wszechstronną analizę tego, co się w obrębie ruchu działo, to jednakże - używając go - pozostajemy bezradni wobec pytania: skąd się taka struktura motywacyjna i struktura działań wzięła? Chociaż schemat Touraine'a objaśnia, dlaczego i jak powiązane były ze sobą elementy, zazwyczaj występujące osobno, dlaczego taka "całość" celów działań miała sens, to jednak nie potrafi wskazać, co było podstawą rozwinięcia się tej złożonej struktury sensownej? Co otwierało perspektywę, w której formowała się - jako sensowna odpowiedź - potrzeba działania na tych trzech poziomach?

Sądzę, że impuls, który otwierał nową perspektywę przeżywania siebie i świata, myślenia o sobie i o świecie oraz stosownego działania, można opisać, posługując się kategorią społeczeństwa obywatelskiego.

Idea społeczeństwa obywatelskiego bynajmniej nie jest ideą prostą, a model życia społecznego i indywidualnego, który postuluje i /lub/ koniecznie implikuje, jest wielowarstwowy, złożony. Ponadto jest niejednoznaczny, jeśli chodzi o jego egzystencjalną ocenę. Trudno by taka złożona idea była impulsem. Jednakże podstawa społeczeństwa obywatelskiego da się wyrazić w sposób niezwykle prosty i jest zakorzeniona w całkiem fundamentalnym, elementarnym doświadczeniu ludzkim. Konstatacja, która jest bazą społeczeństwa obywatelskiego, doprawdy może być

twórczym impulsem. Tę myśl, która uderzyć może każdego z nas, którą każdy człowiek znaleźć może jako najbardziej "swoją" refleksję, tak oto wyraziła Simone Weil: *Właściciel pomiędzy niewolnikiem i obywatelem /Montesquieu, Rousseau/: niewolnik jest poddany swemu panu a obywatel prawom. Zresztą pan może być bardzo łagodny, a prawa mogą być bardzo surowe: to niczego nie zmienia. Wszystko zawiera się w dystansie pomiędzy kaprysem i zasadą. Dlaczego uległość kapryśowi jest niewolnictwem? Przyczyna sprowadza się ostatecznie do stosunku pomiędzy duszą i s z a s e m. Kto jest poddany samowoli jest zawieszony na nici czasu; c z e k a /najbardziej poniżającą sytuacją/, na to, co przyniesie następna chwila. Nie rozporządza swoimi chwilami. Tężejniejszą pozostaje być dla niego długą, przy pomocy której oddziaływanie się na przyszłość./3/.*

Wydaje mi się, że to doświadczenie - jakże poniżające! - iż nie rozporządzam swoimi chwilami i muszę czekać, co przyniesie następna chwila, która całkowicie pozostaje w rękach władzy partyjno-państwowej stanowiło podstawę uformowania się ruchu społecznych reform i działalności związkowej.

Zadaniem socjologii pozostaje wyjaśnienie, jak się narodził i jak przebiegał proces, w wyniku którego na masową skalę ludzie: po pierwsze - doświadczyli życia według dotychczasowych reguł jako poniżanego, po drugie zaś - postanowili aktywnie zaświadczyć swoją obywatelską postawę? Specyfika "garącego lata" 1980 i twórczy konstruktywny ładunek, jaki niósł ze sobą strajk na Wybrzeżu i "21 postulatów" strajkujących polegał na tym, że mieliśmy do czynienia nie tylko i nawet nie tyle z buntem, ile z pozytywnym działaniem, z programem społecznego działania. Jak przebiegał proces, w wyniku którego narodziło się przekonanie, że j e s t s i e o b y w a t e l e m, że trzeba zachować się tak jak o b y w a t e l, to znaczy trzeba aktywnie w z i ą ć o d p o w i e d z i a l n o ś ć z a c h w i l e s w e g o ż y c i a, że nie można dłużej czekać, lecz należy zadbać o siebie, o swoich bliskich, o los kraju - wspólnego dobra? Bo taka konstatacja i taki impuls zapoczątkował proces wspólnych działań i wyznaczył kształt celów.

Proces taki, jak wolno sądzić, narastał od roku 1976. Starałem się go odtworzyć, opierając się na wynikach badań, które przeprowadziliśmy w Warszawie i okolicach na przełomie 1980 i 1981 roku, a których przedmiotem było tworzenie organizacji w różnych zakładach pracy /4/. Nie chciałbym powtarzać tu całego rozumowania. Zaznaczę jedynie, że proces ten wyznaczyło kilka czynników: po pierwsze, swoiste, "warunkowe" uznanie przywódctwa E. Gierka, uzależnione od realizacji obiecanego programu modernizacji życia; po drugie, załamanie się oczekiwań społecznych, związanych z tym programem oraz złamanie poczucia godności własnej pracy, nade wszystko robotników w 1976 roku; po trzecie, powstanie demokratycznej opozycji, formułującej program moralnej odbudowy życia społecznego, skoncentrowanej na kwestii praw człowieka w realnym socjalizmie oraz budującej więź pomiędzy inteligencją a "zwykłymi ludźmi"; po czwarte, oddziaływanie religii katolickiej i Kościoła, szczególnie aktywizującego poczucie podmiotowości ludzi w wyniku zmian posoborowych; po piąte, wybór kard. Karola Wojtyły na papieża, szczególnie zaś - wizyta Jana Pawła II w 1979 r.

i jego nauczanie skupione na naturalnych prawach osoby ludzkiej, które zakorzenione są w transcendentnym ładzie wartości; po szóstę, narastający kryzys ekonomiczny, którego polityczne uwarunkowania były coraz bardziej oczywiste dla szerokich rzesz społeczeństwa, zalażały się bowiem dotychczasowe sposoby legitymizacji /choćby częściowej/ systemu władzy /5/.

DEFINICJA SYTUACJI SPOŁECZNEJ I POTRZEBA ZAKORZENIENIA

Konstatacja, która wieńczyła ten proces, decydowała o swobodnym "domknięciu się" definicji sytuacji społecznej. Umożliwiała diagnozę stanu rzeczy, która przyjmowała, że dotychczasowe reguły życia społecznego, nade wszystko reguły działania władzy zarówno niszczą godność własną i uderzają w poczucie własnej wartości, jak i nawet za tę cenę nie zapewniają zaspokojenia podstawowych potrzeb i interesów. Osłabienia i działania społeczne tworzyło przekonanie o tym, że ulec muszą zmiany reguły życia zbiorowego, usytuowanie instytucji wobec ludzi, wobec społeczeństwa, to właśnie decyduje zarówno o warunkach wspólnego życia, jak i o wynikach działalności gospodarczej. Nade wszystko dotyczyło to usytuowania państwa wobec społeczeństwa. Bez względu na to, jak nieporadnie myśl taka była wypowiedziana, jak niejasno formułowana, wydaje się, że przekonanie o tym, iż trzeba zmienić reguły rządzenia krajem, reguły sprawowania władzy, od czego zależy zarówno sfera gospodarcza, jak i współżycie między ludźmi, było podstawą formującego się ruchu. Bardzo wyraźne było - zwłaszcza w początkowej fazie działań społecznych - zamierzenie reformowania życia społecznego. Działania społeczne nie zmierzały w kierunku zdołania władzy, czyli odebrania władzy rządzącej PZPR, ale do wymuszenia na niej - za cenę zgody na sprawowanie przez nią dalej rządów - zmiany reguł sprawowania władzy, podporządkowanie zarówno przedstawicieli władzy, jak i społeczeństwa jednolitemu prawu. Bowiem poczucie zniewolenia i złamanie godności ludzkiej wiązało się z systemem przywilejów, jakie przypisane były do pełnionych funkcji partyjno-państwowych. System przywilejów utwierdzał wyniesienie "ludzi władzy" nad resztą społeczeństwa i podtrzymywał ich uprzywilejowaną pozycję w możliwościach decydowania nie tylko o swoim losie, ale o losie całej zbiorowości - zarówno jako całości, jako społeczności, jak i o losie poszczególnych ludzi, którzy ją tworzyli. Prawo stało się narzędziem władania i administrowania życiem społecznym, a system instytucji państwowych uniemożliwiał nieskrępowane, spontaniczne działania społeczne. System społeczny, stworzony przez ekipę gierkowską, wykorzystywał zatem ludzi, bo czynił ich poddanymi. *Zakorzenie* - mówi Simone Weil - *jest, być może, najważniejszą i najbardziej zapożyczoną potrzebą duszy ludzkiej. Zarazem jest to potrzeba, którą zwykle trudno określić. Istota ludzka ma korzenie, jeżeli rzeczywiście, w sposób aktywny i naturalny, uczestniczy w egzystencji wspólnoty, przechowującej jakieś skarby przeszłości i obdarzonej przecuciem jutra. Uczestnictwo powinno być naturalne, to jest powstawać automatycznie dzięki miejscu, urodzeniu, otoczeniu, zawodowi. /6/*

Poczucie, że system społeczno-polityczny łączy do wykorzenienia ludzi, że wyrwa ich z gleby, stanowiło zasadniczą treść

definicji sytuacji społecznej, jaką formułowano powszechnie w ciągu "gorącego lata" 1989 roku. Na tę definicję składało się poczucie, że się "jest u siebie", a tak, jakby się nie było; że się "jest sobą", a tak, jakby się sobą nie było.

Spółczesność obywatelskie to stan, który najpełniej odpowiada tej potrzebie, aby "poczuć się sobą" i aby "mieć poczucie, że się jest u siebie". Społeczeństwo obywatelskie jest bowiem ostatecznie takie, że każdy człowiek społeczeństwa, bez względu na to, kim jest i jak ważną rolę odgrywa w społeczeństwie, ma prawo decydować o swoim losie i o losie innych we wszystkich sferach życia społecznego.

Jego charakterem jest to, że każdy człowiek jest wysłuchany, ale nikt nie może wywiercać na niego wpływu, który doprowadziłby do zabrania głosu. Jego głos może być używany do podjęcia decyzji, wyborów, nawet za to może być odpowiedzialny. Nie może być jednak używany do tego, aby odebrać prawa do sformułowania własnego zdania i po prostu podporządkować go swoim decyzjom, z góry założony, że jest głębszy, że nie dotyka w dobrych intencjach, czy że w ogóle jest niegodny, by decydować o czymkolwiek. Społeczeństwo obywatelskie jest w tym sensie n a j p i e r w stanem zakorzenienia człowieka w świecie, bowiem, aby stać się o b y w a t e m, nie potrzeba żadnych specjalnych środków, jest się obywatelom u siebie, to jest najwyżej - dorozumiewa. Wzrost poczucia własności i odpowiedzialności jest warunkiem, który musi być spełniony, aby człowiek mógł być obywatelom u siebie. Wzrost poczucia własności i odpowiedzialności jest warunkiem, który musi być spełniony, aby człowiek mógł być obywatelom u siebie.

Wzrost poczucia własności i odpowiedzialności jest warunkiem, który musi być spełniony, aby człowiek mógł być obywatelom u siebie. Wzrost poczucia własności i odpowiedzialności jest warunkiem, który musi być spełniony, aby człowiek mógł być obywatelom u siebie. Wzrost poczucia własności i odpowiedzialności jest warunkiem, który musi być spełniony, aby człowiek mógł być obywatelom u siebie. Wzrost poczucia własności i odpowiedzialności jest warunkiem, który musi być spełniony, aby człowiek mógł być obywatelom u siebie.

KULTUROWY I DUCHOWY SENS DEMOKRACJI

Demokracja jako forma społeczeństwa obywatelskiego jest gwarancją podstawowej wartości, która wyznacza sens życia ludzkiego: poczucia godności w sobie, poczucia, że wolno mi "być sobą" i że mam prawo do zachowania swojego indywidualnego poczucia własności. Nie mogę zachować poczucia swojej tożsamości ani przynależności do swojej wspólnoty, nie mogę zatem osiągnąć poczucia niekorzystania, jeżeli nie przyznano mi prawa do "bycia sobą". Jeżeli nie doświadczym, że bez względu na swoje wady i zalety, osiągnięcia i przewinienia mam swoje miejsce we wspólnotie i przysługują mi osobnicze prawa. Mogę z nich zrobić taki czy inny - lepszy czy gorszy - użytek. Mogę ich nie uznać, bądź też w ogóle nie korzystać z tego, co mi dają. Ale te prawa, które mam jako członek wspólnoty, są nieusuwalne, należą mi się i nie

sadniczo zrównują moją kondycję ze wszystkimi innymi ludźmi jako osobami. Demokracja to stan umożliwiający ludziom - nie tylko mnie, ale wszystkim innym - "bycie obywatelami", a więc "bycie sobą" i posiadanie "swego miejsca" w świecie, w społecznym świecie pomiędzy ludźmi. Stanowi tym samym potwierdzenie i zabezpieczenie zasadniczej równości kondycji ludzkiej. Jesteśmy równi w tym, czego uznanie i doświadczenie praktyczne zakorzenia nas w świecie: wszyscy jesteśmy osobami, jesteśmy rozumnymi i moralnymi podmiotami, mamy zatem prawo uczestnictwa we wspólnocie tacy, jacy jesteśmy na mocy naturalnych praw. "Naturalne prawa człowieka" nabierają tutaj, rzecz jasna, specyficznego charakteru. Mają bowiem tylko wtedy sens, gdy stanowią konkretyzację obiektywnego porządku wartości. Jeżeli sama natura i jej cel, jakim jest ochrona jednostki, wynika z transcendentnego wymiaru świata, jeżeli zbudowana jest na fundamencie moralnym i jeżeli moralność koncentruje się wokół wartości osoby ludzkiej, ochrona ją i zabezpiecza. Wartość osoby ludzkiej - podmiotu życia może być tak akcentowana, jeżeli przyjmie się, że kondycję człowieka określa miłosirny Bóg chrześcijaństwa. Również przypuszczenie, że istnieje obiektywna hierarchia wartości i że stanowi ona realny aspekt świata, nie da się na dłuższą metę utrzymać, jeżeli się nie założy działania Boga, jak pokazuje to - sądząc, że przekonywająco - rozumowanie M. Schelera //7/.

Zarysowane wyżej rozumowanie może być uznane za spekulację i ideologię. Jednakże sądząc, że odtwarza ono w syntetyczny sposób dominujący kierunek myślenia ludzi w Polsce, sposób, w jaki rozwijało się myślenie ludzi o świecie i o ich własnym w nim działaniu. Bowiem pojmowano "obywatelskość" w takiej perspektywie, w której myślenie społeczne, a więc myślenie o urzędzie i u życia społecznego, życia dzielonego pospołu z innymi, wiąże się z myśleniem o wartościach i z kategoriami religijnymi. A w taki sposób powszechnie myślano w Polsce w okresie 1980 - 1981. Co więcej, wydaje się, że właśnie rozwinięcie w publicznym dyskursie i w społecznym działaniu tego - rzecz można - transcendentnego, czy metafizycznego wymiaru życia społecznego, dawało taki rezonans "sprawie polskiej" w świecie.

Z czysto empirycznego punktu widzenia warto jeszcze dodać, że przebieg wydarzeń zarówno w czasie strajków latem 1980 roku, jak i późniejsze wydarzenia potwierdzają żywość i powszechność odniesień religijnych, a także obecność myślowych kategorii chrześcijaństwa w codziennych i odświętnych działaniach społecznych. Zresztą myślenie, które "na codzień" uwzględnia i spożytkowuje kategorie religijne, które "zakorzenia" refleksję codzienną w rzeczywistości transcendentnej to doświadczenie większości społeczeństwa polskiego.

IDEA DEMOKRACJI A RELIGIA

Stawia nas to wobec ważnego problemu. Jeżeli bowiem taka interpretacja powszechnej świadomości potocznej jest zasadna, to prowadzi nas do wniosku, że ruch społeczny Polaków odwoływał się do idei demokracji, zbliżonej do tej, na której opiera się społeczeństwo amerykańskie. Uderza zbieżność w pojmowaniu demokracji tak, jak objawiła się ona w głównym nurcie

społecznych działań z zasadami, które Alexis de Tocqueville odnajduje jako charakterystyczne dla demokracji amerykańskiej. Nade wszystko chodzi tu właśnie o zakorzenienie idei amerykańskiej demokracji w ładzie obiektywnych, moralnych, a więc tym samym religijnych wartości.

Tocqueville podkreśla - pisze Wojciech Karpiński, charakteryzując specyfikę amerykańskiej demokracji - że w Ameryce nikt nie odważył się wysunąć maksymy, głoszonej w Europie przez despotów rewolucji, jakoby w interesie społecznym wszystko było dozwolone. Maksyma bezbożna, która w wieku wolności wymyślona została chyba po to, aby uprawomocnić poczyny wszystkich przysiężek tyranów - przytacza słowa Tocqueville'a. - Otóż, jeżeli prawo nadaje społeczeństwu amerykańskiemu wszechwładną, to religia kładzie tamę dowolności pomysłów, sabrania porwać się na wszystko /.../ Istnieje sfera w człowieku, której naruszać nie wolno nawet w imię najpiękniejszych hasel. Istnieją raczej wiary - pisze w dalszym ciągu W. Karpiński - dla których człowiek może powiedzieć "nie" żądaniom większości, nakazom najbardziej demokratycznej władzy /.../ Religia stanowi fundament indywidualnej swobody i i sensowności zbiorowych działań. Pod warunkiem zagwarantowania wolności sumienia /.../ Choć w Ameryce okrzestoczoństwo nie senestnieżyło we władzy, jego rola była większa niż gdziekolwiek. Było fundamentem obywatelskich swobód. Określało stosunki między ludźmi, miłujące zobowiązania, jakie przyjmują na siebie rządzący i rządzeni. Dopiero te idee regulatywne światomości społecznej nadały sens prawom i instytucjom /8/.

We fragmencie, który częściowo zacytowałem, W. Karpiński podkreśla - podnoszoną również przez Tocqueville'a - różnicę w usytuowaniu społecznym religii i kościołów w Ameryce i w Europie. Podkreśla, że wielość wyznań miała istotne znaczenie dla amerykańskiej demokracji. Również oddzielenie Kościoła od państwa powodowało wzajemne wzmacnianie się wiary i wolności.

W Polsce, zwłaszcza w ostatnich latach, pozycja Kościoła jest unikalna i szczególna; uderzająca jest również całkowita przewaga katolicyzmu nad jakimkolwiek innym wyznaniem. A przecież trudno oprzeć się wrażeniu, że w rozwijającym się procesie działań reformatorskich mieliśmy do czynienia - w głównym nurcie społecznym, co podkreślałam - z formowaniem się takiej świadomości demokratycznej, gdzie charakterystyczne dla społeczeństwa amerykańskiego idee regulatywne, nakazujące tolerancję i przyznające swobodę wielorakości również moralnych Niemców ludzi, odgrywały wybitnie ważną rolę. Paradoxa, wroszony przez ten fenomen, polegałby na tym, że właśnie przyjęcie religijne o punktu widzenia, spojrzenie na codzienność i "praktyczną" dziedzinę świata społecznego z perspektywy - rzecz można - ewangelicznej, dawało ludziom w Polsce taką swobodę i tolerancję wobec siebie, taką łatwość w uznaniu barwności, wielorakości, złożoności świata społecznego; dawało zaskakujący fundament dla spontanicznego i masowego zrozumienia ważności pluralizmu w życiu wspólnoty społecznej. "Roboczy consensus" budowany był na uznaniu praw do "inności" drugiego /9/.

Nie twierdzę przy tym, że okazał się to fundament trwały. Wydaje się, że ten aspekt zbiorowego wysiłku duchowego ulegał i ulega po roku 1981 daleko idącym przekształceniom. Bez względu na to, jak je wyjaśnimy, występuje trend istotnie różniący z tym, jaki tutaj wskazujemy. Lecz tym ważniejsze wydaje mi się możliwość dokładnego odtworzenia sensu tamtych wydarzeń, abyśmy zbytnio nie ulegali naciskowi bieżącej chwili w interpretacji tak przecież niedawnej przeszłości.

ZAKORZENIENIE W WARTOŚCIACH I ZRÓŻNICOWANIE MYŚLENIA SPOŁECZNEGO

Twierdząc, że swoistość ruchu reform społecznych, jako uformował przestrzeń życiową rozwijały się w szerszej i zgoła metafizycznej perspektywie - w perspektywie rozeznania obiektywnego i transcendentnego wobec ludzkiej wspólnoty ładu wartości moralnych. Moralna podstawa podejmowania działań społecznych nie była jednakże myśleniem moralizatorskim, z którym mamy teraz do czynienia jako najbardziej rozpowszechnioną formą myśli społecznej. Wysiłek, jaki podejmowano wówczas, polegał na szukaniu takich sposobów praktycznego, instytucjonalnego - rzecz by się chciało - myślenia o świecie i takich rozwiązań organizacji zbiorowych i indywidualnych działań, aby kształtujący się ład społeczny stanowił *marifestację* transcendentnych wartości, aby stanowił ich rozwinięcie czy zastosowanie i aby prowadził do nich człowieka.

Chodziło więc o uczynienie życia ludzkiego, życia wszystkich członków wspólnoty - życiem godnym, życiem pełnym, bo zanurzonym w wyższych wartościach i prowadzącym do Boga. Urządzenie swojego własnego życia oraz urządzenie życia całej społeczności w zgodzie z porządkiem wartości, objawianym przez religię - to zadanie, które zostało podjęte, zadanie na miarę obywatelskiego poczucia odpowiedzialności i troski ludzi o własne dusze.

Wydaje mi się, że taki sposób myślenia występował powszechnie i że najczęściej był on rozwijany całkowicie świadomie. Liczne fragmenty wywiadów, prowadzonych na przełomie 1980 i 1981 roku w warszawskich zakładach pracy w badaniach nad tworzeniem niezależnych organizacji związkowych stanowią dobra tego ilustrowania.

Myślenie o wartościach, rozwijające się z czysto religijnego punktu widzenia nie było - rzecz jasna - jedyne myślenie. Jednakże - i to wydaje się szczególnie interesujące - myślenie społeczne, które opierało się na całym świeckim światopoglądzie i nie przyjmowało religijnych przesądzeń, formułowało ethos, który był zasadniczo zbliżony z owym religijnym. Był to bowiem - generalnie rzecz biorąc - ethos personalistyczny, skupiający się wokół wartości jednostki i wartości więzi między ludźmi, nacelowany na poszukiwanie duchowego sensu życia, na eksplorację możliwości, jakie przynosi życie i które są nam dane w naszym własnym organizmie, bardzo negatywnie nastawiony wobec przemocy, wobec siły i wobec moralistycznego skrzepnięcia normami i sztywnością w stosowaniu wartości. Zarówno religijny, jak i świecki ethos uważał, że ludzkie życie jest w pełni wartościowe, jest życiem godnym wtedy, gdy człowiek daje aktywnie wyraz temu, w co wierzy i co dla niego ważne, i pozwala na to innym; gdy poszukuje tego co dobre i gdy buduje porozumienie z innymi bez względu na różnicę, jakie ludzi dzielą. Oba ethosy prowadziły do nieco innego pojmowania demokracji, do innych akcentów w programie społeczeństwa obywatelskiego. Pierwszy z tych modeli - oparty na bezpośrednich odniesieniach i inspiracjach religijnych - był nieco bardziej autorytarny, akcentował konieczność samoograniczeń i

przestrzegania ustalonych reguł i zasad postępowania, akcentował formalne i ustalone sposoby postępowania jako zabezpieczenie wolności. Drugi model był bardziej liberalny, rzec można bardziej elastyczny, akcentował przede wszystkim wagę procesu negocjacji i przetargu w życiu społecznym; traktował życie wspólnoty jako wielką dyskusję, jako debatę, w której płynnie ustalano reguły działania tak, by je dostosować do okoliczności i by w maksymalnym stopniu uwzględnić wielość głosów i propozycji, aby każdy członek wspólnoty miał poczucie, że ma możliwość wpływania na wspólne życie i że jego zdanie, a też i jego pretensje, są wysłuchane przez ogół/11/.

Wspomniane już badania A. Touraine'a pokazują jeszcze inne zróżnicowanie w materiale badawczym, szczególnie widoczne wśród działaczy związkowych w Gdańsku. Wyraźne było tu myślenie, które odbiegało od powyższych modeli. O ile występowała bardzo wyraźna tendencja, zgodnie z modelem bardziej liberalnym demokracji, o tyle też pojawiało się myślenie, które operowało raczej pojęciem siły i władzy większości niż wspólnoty i obywatelstwa. Wśród części robotniczych działaczy myślano o organizacji związkowej jako "naszej organizacji", która powinna dążyć do zdobycia przewagi i której wspólny duch miał być tożsamy z głosem społeczeństwa. Niewątpliwie organizacje związkowe traktowano jakby "partytynie". Ten ethos wymagał koniecznie podporządkowania się jednemu i mniejszości woli zorganizowanej większości dla wspólnego dobra, rzecz jasna. Myślenie to było związane z postawą zagrożenia, z wiarą w ustalone normy życia zbiorowego, z autorytaryzmem i antysemityzmem. Często przyjmowało ambiwalentną postawę wobec inteligencji i nieufności wobec wykształconych. Touraine skłonny był określać tę tendencję mianem "populistycznej"/12/.

Retoryka tej części działaczy społecznych, a też postawa, którą zdawali się wyrażać, istotnie przypominała postawę, którą starał się możliwie dokładnie rozpoznać i opisać Tocqueville jako podstawowe, "wewnętrzne" zagrożenie demokracji - skłonność do formowania się "tyranii większości"/13/. Warto jednak zwrócić uwagę na charakterystyczny fakt, że - przynajmniej na ile można wnioskować z materiałów badawczych Touraine'a - zwolennicy modelu autorytarnego czy "populistycznego"/14/ w praktyce nie byli skłonni przerywać dialogu i z góry kogoś wyłączać z uczestnictwa we wspólnej debacie i negocjacji. Nie byli też skłonni do podejmowania samowolnych działań, które godziłyby w "osobijających jedność" oponentów.

Akcentowanie "władzy większości" i konieczności podporządkowania się jednostki "woli większości" nie szło tak daleko, by traktować organizacje jako narzędzia przemocy, skłaniające opornych do podporządkowania się. Nawet bowiem ci działacze, którzy koniecznie społecznych negocjacji, konieczność debaty, prawo do zabierania głosu przez wszystkich chętnych i prawo do wypowiedzenia swoich opinii, jakkolwiek przyjmowali wobec pewnych grup ludzi i wobec pewnych poglądów postawę wroga, utrzymującą porozumienie. Aczkolwiek byli chętni przewodzić społeczności, bynajmniej nie byli skłonni wziąć sobie takie prawo siłą i wyłączać się spod społecznej kontroli/15/.

Wiązało się to z atrakcyjnością myślenia o społeczeństwie jako wspólnotcie i tym samym podmiocie stanowionych praw. Demokracja było to nade wszystko uzyskanie poczucia, że społeczeństwo właśnie jest samo decydować o kierunku zbiorowego życia, o formach zbiorowych działań, o strukturze zależności między ludźmi, o tym, co dla wspólnoty dobre i złe.

Wiązały się z tym praktyczne problemy funkcjonowania organizacji związkowych "Solidarności". Model ładu organizacyjnego oraz ideał ustrojowy, jaki się wówczas praktycznie kształtował bardzo przypominał stan, który teoretycy nazywają często modelem demokracji partycypacyjnej czy uczestniczącej/16/. W modelu tym sprawą priorytetową jest zapewnienie uczestnictwa w decyzjach jak największej ilości członków wspólnoty oraz takie ustrukturalizowanie działań społecznych, by zapewniało ono możliwość rozwijania spontanicznych inicjatyw przez chętnych. Akcent pada zatem na uczestnictwo, a nie na kontrolę, na aktywne zaangażowanie we wspólne dzieło i we wspólne życie, nie zaś na reprezentację i funkcjonalne rozczłonkowanie życia w oparciu o zagwarantowanie swobody działań i równość praw. Poczucie uczestnictwa we wspólnocie, zaangażowanie w debatę i przetarg było atrakcyjne również dla wyznawców modelu autorytarnego. Łagodziło to, siłą rzeczy, ich postawy.

Myslenie o demokracji jako typie ładu instytucjonalnego było charakterystyczne dla inteligencji, zwłaszcza dla intelektualistów. Demokracja jako technika podejmowania decyzji, jako sposób wyrażania na forum publicznym zróżnicowanych interesów, jako reguły przetargu między różnymi siłami społecznymi i sposób uzyskiwania równowagi, czy też homeostazy społecznej - to było myślenie, które wyraźnie przejawiało się na przykład w procesie tworzenia niezależnych organizacji związkowych środowiska intelektualnego stolicy/17/.

Sądzę, że wiązało się to z socjologią i z socjologicznym standardem myślenia o współczesnym społeczeństwie. Wydaje się, że początkowo podstawą działań był model strukturalno-funkcjonalny społeczeństwa powiązany z tak zwanym badaniem postaw społecznych.

Model ruchu związkowego, który - jeśli nie *explicite*, to na pewno *implicite* - inspirowany był przez to myślenie, definitywnie został odrzucony przez samych związkowców wraz z podjęciem decyzji o przystąpieniu członków NIO do NSZZ "Solidarności". Tym samym zakwestionowana została intelektualna podstawa, która ożywiła początkowo działania społeczne.

SOCJOLOGIA A PROCESY SPOŁECZNE

Socjologiczna inspiracja okazała się tutaj całkiem chybiona. Wydaje się, że socjologowie zostali całkowicie zaskoczeni rozwijającym się procesem społecznym. Mimo wielorakich badań, prowadzonych w latach siedemdziesiątych, socjologia polska była bezradna wobec rozgrywających się wydarzeń. Po pierwsze, zdecydowana większość socjologów nie przewidziała możliwości wydarzeń, które miały miejsce. Nie przewidywano nawet tego, że dotychczasowe mechanizmy legitymizacji systemu społeczno-politycznego są w stanie rozkładać. Po drugie, narzędzia poznawcze i rozwinięte metody nie dawały możliwości zrozumienia tego-co-się-działo. Do tej pory socjologowie nie sporządzili prawdziwie przekonujących o p i s ó w wydarzeń społecznych i społecznych mechanizmów, jakie ujawniły się w okresie 1980-1981 i które można zidentyfikować jako charakterystyczne dla następnych lat. Dominujący typ diagnozy społeczeństwa, formułowany u końca lat siedemdziesiątych, nie pozwalał - jak wolno sądzić - na identyfikowanie rzeczywistych elementów procesu społecznego. Możemy tutaj powołać się na artykuł S. Nowaka *System wartości społeczeństwa polskiego*, który stanowi swoiste podsumowanie badań i socjologicz-

swymi moralnymi przekonaniami, by oprócz życia wspólnoty społecznej na wyznawanych przez siebie ethosach może stać się - twierdzi autor - podstawą szerokiej aktywności społecznej, celem ruchu społecznego. Ośrodkami skupienia "energii społecznej" mogą się stać nie tyle grupy, zajmująca wysoką pozycję w strukturze formalnej społeczeństwa (zatem w strukturze instytucjonalnej), ale "grupy ethosowe", które wskazują przez sam fakt swego istnienia drogę godnego życia. T. Szawiela wskazywał na istniejące w Polsce u schyłku lat siedemdziesiątych takie "grupy ethosowe" i na ich promieniowanie: ugrupowania niezależnej opozycji demokratycznej, grupy zaangażowanych w sprawy wiary katolików, grupy związane swym rodowodem z kontrkulturą.

Istotnie, wydaje się, że do ludzi należących do tych grup spontanicznie zwrócono się o pomoc i radę w momencie podjęcia na masową skalę działań zbiorowych/21/. Co ciekawe, bynajmniej nie oczekiwano od nich przejęcia przywództwa, ale powołano ich w roli ekspertów i doradców.

Zarysowana przez Szawiela perspektywa ukazuje również ważność dążeń, które chcą oprzeć ład społeczny nie tylko na warunkach dogodnych dla zaspokojenia życiowych potrzeb i interesów różnych grup społecznych i na uzgodnieniu reguł wzajemnej gry, ale dla których przyjmowane praktyczne reguły gry stanowić powinny rozwinięcie i wcielenie w życie wartości moralnych. Sugerowane przez Szawiela oddziaływanie "grup ethosowych" jest - jak sądzę - zasadniczo zbliżone z tą perspektywą, jaką przyjmowano powszechnie w Polsce i jaką używaliśmy tutaj wyrazić.

Konfrontacja zjawisk społecznych, jakie wystąpiły u progu lat osiemdziesiątych z obrazem społeczeństwa, jaki nosiła socjologia, ujawnia jeszcze inne niedostatki tego ostatniego. Wydaje mi się, że szczególne znaczenie dla dynamiki zjawisk w Polsce ma układ pokoleniowy.

ROLA "GRUP POKOLENIOWYCH" W RUCHU SPOŁECZNYM

"Pokolenie" należy do tych pojęć, które zostały w zasadzie zarzucone przez naukowy kanon socjologii. W analizach socjologów polskiej kategorii pokoleniowa nie odgrywa większej roli, choć można wskazać ciekawe rozważania teoretyczne/22/ i chociaż badania ankietowe tzw. młodego pokolenia absorbowały socjologów.

Jest to zgodne z tendencją w światowej socjologii. Ruch młodzieżowej konstatacji zmusił socjologów do namysłu nad kategorią pokolenia, ale namysł ten - jak dotąd - nie wyszedł poza kontekst tzw. konfliktu pokoleń, czyli pokolenia rodziców i pokolenia dzieci. Być może trwające w socjologii teoretyczne "przegrupowanie" przyniesie również zarys koncepcji pokoleń. Doświadczenie polskiego społeczeństwa wydaje się ważne dla takiej przyszłej teorii.

Bowiem w procesie masowych działań społecznych najwyraźniej ujawniło się zróżnicowanie pokoleniowe. Nie tyle jako czynnik wyznaczający jednoznacznie zaangażowanie się lub nie we wspólne działania organizacyjne/23/, ile raczej jako wyraźne zróżnicowanie ethosowe oraz jako układ czynnych więzi społecznych. Inaczej mówiąc, w procesie społecznych działań istotną rolę odgrywały grupy pokoleniowe. Po pierwsze, stanowiły one spontaniczną manifestację określonego ethosu, tzn. deklaracji określonych wartości, pewnego sposobu myślenia i stylu życia zarazem. Po drugie zaś - dawały poczucie identyfikacji pokoleniowej oraz uruchamiały realne więzi pokoleniowe, których używano jako podstawy roz-

witanych datami i "budulca" nowej sieci stosunków społecznych.

Grupy pokoleniowe to w pewnym sensie "grupy latentne". Za resztą "grupy" małych społeczności, które są na powierzchni życia i widać je w sposób wyraźny i widoczny, grupowego "ducha", to tylko drobna część wszelkiego do roku wizowania, wzajemnego powiązania ludzi i ich poczucia wspólnoty. Przynależność pokoleniowa wiąże się najściślej z poczuciem własnej tożsamości, z obrazem siebie, jaki mamy. Jest on zbudowany po części z symboli tego, co wartościowe, jakie wspólnie podzielamy z tymi, z którymi dzielimy nasze społeczne doświadczenie. Stąd też grupa pokoleniowa jest grupą, która musi kreować swój własny ethos, a co najmniej styl życia i stąd też zawieranie się takiej grupy pokoleniowej związane jest z fazami indywidualnego rozwoju człowieka/24/. Skłaniamy się tu częściowo do koncepcji pokolenia J. Garewicza/25/, który podkreśla, że pokoleniowa identyfikację wyznacza uczestnictwo w takim ważnym wydarzeniu społecznym, którego się doświadcza razem z rówieśnikami. Doświadczenie to przypada w takim momencie rozwoju osobniczego, w którym krystalizuje się obraz siebie, swojego systemu wartości oraz obraz społeczeństwa. Wspólnie z rówieśnikami uczestnictwo w ważnym społecznie wydarzeniu niejako wymusza konieczność opowiedzenia się za takim, a przeciw innym poglądom, za takim i przeciw innym wartościom. W grupie rówieśniczej, doświadczającej takiej sytuacji, kształtuje się specyficzny układ stosunków, związków i podziałów oraz pewna specjalna perspektywa oceniania rzeczywistości, która staje się trwałym elementem wyślenia i stylu życia ludzi z danego pokolenia.

W Polsce w okresie powojennym bodźcem "pokoleniowotwórczym" było uczestnictwo w dramatycznych wydarzeniach społeczno-politycznych, w sytuacjach wybuchającego konfliktu społecznego i następujących po nim zmianach rządowych. Stąd też pokolenia krystalizują się wokół wydarzeń upamiętnionych takimi datami, jak październik 56, marzec 68 czy czerwiec 76. Poczucie wspólnoty, czy nawet "społecznego powinowactwa" wiąże się z przeżyciem konieczności samodzielnego wyboru wartości w tych dramatycznych sytuacjach.

Proces ten możemy określić jako proces ustalania społecznej tożsamości ludzi. Stosunki społeczne, jakie zachodzą będą między przedstawicielami grupy pokoleniowej, będą miały utrwalać w sobie aspekt koleżeński, nawet wtedy, gdy poszczególne osoby nie będą do siebie przystawały sobie "człowiekami". Proces kształtowania pokoleniowości w sytuacji. Wydaje się, że była to istota, która trwała w więzi pokoleniowej występowanie grup elitarnych, które symbolizowały bądź wspólne doświadczenie pokoleniowe i symbolicznie okazywał treści wspólnego ethosu, a przynajmniej określonego stylu życia. Wierność swoim idiom i elitom utrwala tożsamość ludzi i czyni identyfikację pokoleniową czymś żywym, nawet wtedy, nawet wtedy, gdy jest ona "latentna".

Twierdząc, że dynamika społeczna lata 1980 oraz podpisanie porozumień w Gdańsku i Szczecinie stanowiło bodziec, który aktywizował więzi pokoleniowe. W szczególności mam na myśli dwie grupy pokoleniowe, które odegrały ważną rolę w procesie przemian społecznych ostatnich lat. Chodzi tu o pokolenia marca 68 i czerwca 76. Te dwa pokolenia - jak wolno sądzić - odegrały szczególnie istotną rolę w ruchu społecznych reform.

Te dwa pokolenia są ze sobą powiązane. Do pewnego stopnia można powiedzieć, że pokolenie marca 68 niejako patronowało i stanowiło jeśli nie wódcę, to niewątpliwie punkt odniesienia dla przed-

tawicieli pokolenia czerwca 76. Tym bardziej, że obie grupy pokoleniowe są niesymetrycznie rozłożone w strukturze społecznej. Pokolenie marcowe to bardzo wyraźny krąg społeczny w obrębie inteligencji, nie mający raczej swoich aktywnych odzieseli w innych grupach społecznych, nade wszystko wśród robotników. Tworzą oni ludzi, którzy byli studentami w trakcie wydarzeń marcowych. Natomiast pokolenie czerwca 76 jest niewątpliwie formacją znacznie szerszą strukturalnie. Zasadniczo jest to formacja robotnicza, choć obejmuje ona również jeden czy dwa roczniki ludzi, którzy byli studentami młodszych lat w roku 1976, jak również osoby zaliczane do kategorii pracowników umysłowych. Pokolenie czerwca 76 obejmuje dosyć rozległą grupę ludzi, którzy znajdowali się w rozrządzie swego dorosłego życia w momencie wydarzeń czerwcowych. Społeczna rozległość pokolenia czerwca 76 miała ważne znaczenie w procesie formowania się ruchu społecznego. Począcie więzi pokoleniowej stanowiło bowiem - zwłaszcza w dużych i zróżnicowanych zakładach pracy - powstanie, dzięki któremu pokonywano bariery jakie istniały między pracownikami fizycznymi i umysłowymi. Wcześniejsze stosunki koleżeńskie, jak też stwierdzona na bieżąco tożsamość postaw między przedstawicielami pokolenia, którzy byli ulokowani na różnych poziomach pomagając odrzucić wzajemne, niechętne stereotypy urzędników czy umysłowych wobec robotników czy fizycznych. Struktura zakładów na ogół świadomie takim stereotypom sprzyjała/26/.

Obie grupy pokoleniowe miały swoje ethosowe reprezentacje. Przedstawiciele pokolenia marcowego są oczywiście nieco starsi niż ci, których zaliczyć pragniemy do pokolenia czerwca 76.

Ludzie formujący obie te pokolenia byli spójną siłą inspirowaną rozwój ruchu społecznych reform w 1980 r., a przedstawiciele tych grup pokoleniowych odgrywali szczególną, opiniotwórczą rolę w organizacjach związkowych.

Warto jeszcze nadmienić, że inteligentka czy studencka część pokolenia czerwcowego odegrała zasadniczą rolę w powstaniu na terenie uczelni Niezależnego Zrzeszenia Studentów. Działalność NZS-u rozwijała grupa najstarszych studentów, czerpiąc wcory z wcześniejszych doświadczeń (takich jak ruch protestu po zamordowaniu Stanisława Pyjasa) i przy wyraźnym sceptycyzmie młodszych roczników studentów.

SOCJOLOGIA, SPOŁECZEŃSTWO I ZAKORZENIENIE

Nasze rozważania, podar szkicowo rekapitulujące i interpretujące procesy społeczne ostatnich lat w Polsce, miały na celu pokazanie, iż życie społeczne ludzi jest czymś bez porównania bardziej tajemniczym, niż to zakłada "naukowa socjologia". Chcieliśmy tu zasugerować, że społeczeństwo nie jest ani jakimś samodzielnym bytem, ani też międzyludzką przestrzenią, w której działają "fizyczne", "materialne" siły.

Życie społeczne ludzi przebiega nie tylko w naturalnej, fizycznej przestrzeni, dzięki czemu pozwala się samo ujmować "jak rzeczy". Stanowi ono również przestrzeń duchową. Jest to przestrzeń znaczeń, które pozwalają - lub utrudniają - człowiekowi odnajdywać sens świata, odgadnąć sens życia i nadawać sens własnej egzystencji. Przestrzeń duchowa, jakkolwiek jest ona własną społeczna, podzielną wespół z innymi, jest zasadniczo przestrzenią "wewnętrzną", "ukrytą". Nierozzerwalnie związana jest z wysłaniem o wartościach moralnych i ich doświadczeniem, z wymiarem dobra i zła.

Brak korzeni jest na pewno najniebezpieczniejszą chorobą ludzi. Ich społeczeństwa, bo sam się pomaża, istoty naprawdę bez korzeni mają do wyboru: właściwie tylko dwa sposoby postępowania: albo wpadają w inercję duchową prawie równą śmierci, albo rzucają się w desperację, która ma na celu odwołanie od korzeni. Często przy pomocy najbardziej gwałtownych metod, ludzie jeszcze tkwiący w swojej naturalnej glebie albo odrwanej od niej (jak pisał Simone Weil, której refleksję spożytkowuję w tym tekście/27/). Przekonanie, iż moje życie ma sens, wiąże się z przekonaniem, że "jestem sobą" i że "jestem w sobie".

Oba te człony są ze sobą nierozdzielnie splecione. Stosunek wzajemny tych dwóch fenomenów i tych dwóch pojęć nie jest prosty - można wszakże mówić o zachowaniu "siebie" nawet w warunkach, "gdy się w sobie nie jest", to znaczy, gdy człowiek jest zniewolony i utracił możliwość wpływania na swój los. Jednakże mogę wówczas "być sobą", gdy doświadczyłem "swojego niczego" i kiedy idę do tego, aby "być w sobie". Zakorzenie ludzi nie ma wcale wspólnego z sielanką, życie zakorzenione (najmniej) nie staje się automatycznie krajną, niezmaconą szczęśliwością, ale zawsze skonkretnie jest wolnością i godnością osobistą ludzi i je chroni. Dlatego też zakorzenie jest wynikiem wysiłku całego zbiorowości ludzkiej.

W wyniku tego wysiłku następuje swoista synchronizacja porządku wartości i planów egzystencji, w jakich obraca się ludzkie życie. W szczególności jest to synchronizacja wewnętrznego, duchowego porządku, z zewnętrznym, społecznym i politycznym, z porządkiem zewnętrznym, społecznym, z systemem wspólnoty ludzkiej. Każde istota ludzka porządkuje różnorodność korzeni. Organizuje ona prawie wszystko w swoim życiu moralnym, intelektualnym, duchowym za pomocą środków, których jest naturalną częścią/28/.

O ile dobrze rozumiem S. Weil, wewnętrzną hierarchię, hierarchię wartości należy rozumieć jako element włączający człowieka w transcendencję, w obiektywny porządek wartości. Wewnętrzna hierarchia to jakby busola, pozwalająca nam ustalić właściwy kierunek działania, nie zatracić życiodajnych soków, pozostać w kontakcie z rzeczywistością duchową mimo różnorodnych przeciwności i niedogodności. Hierarchia społeczna, ten praktyczny i materialny regulator życia ludzkiego, jest zawsze nieodwołnym wcieleniem porządku wartości, jaki bardziej bezpośrednio daje o sobie znać w hierarchii rzeczywistości wewnętrznej. Jeżeli jednak nie chce się zaprzeczyć do wewnętrznej hierarchii, wówczas - jeśli nie chce się rozpruć się również z społecznym, hierarchia społeczna, która jest konieczna, by człowiek doświadczył swego zakorzenienia w świecie i jakości życia, to wtedy - zabicie wewnętrznej hierarchii, niemożliwość ustalenia jakości wewnętrznej i społecznego, prowadzi do wykoślenia człowieka. Jest to przesłanie przesłane do drożdży do kultury rozpadającej - niewolnictwo. Myśląc o sobie, istoty - mówi Simone Weil - jest, wolna i władca, kiedy dnia rzeczywistości. Tyś wolnym i słodczym, jako istota myśląca przez godzinę czy dwie, a niewolnikiem przez resztę dnia jest ta istota wewnętrzny rozdarcie, że niemal nie można nie wyprzeć się, byle to rozdarcie usunąć, wszelkich wyższych form myśli/29/.

Można jednak podjąć wysiłek, aby przez coraz więcej godzin dnia działać w zgodzie z własnymi myślami, z własnymi przekonaniami. Można podjąć wysiłek, aby przywrócić ową skuteczność między wewnętrznym i zewnętrznym porządkiem życia.

Sądząc, że procesy społeczne w Polsce ostatnich lat pokazują,

iż całe ludzkie zbiorowości mogą się kierować całkiem konkretnymi interesami; mogą się kierować pragnieniem, aby nadać sens życiu poszczególnych jednostek i aby oprócz wspólnego życia i jego struktury na takich wartościach, jak godność człowieka, prawda, sprawiedliwość. Samo najbardziej empiryczne doświadczenie społeczne pokazuje, że dla "zwykłych" ludzi abstrakcyjne skądinąd wartości stają się chwilami czymś tak namacalnym, tak konkretnym, jak bochenek chleba.

Perspektywa współczesnej socjologii poszukuje wyjaśnień oraz upatruje źródła procesów i świadomie zawiązanych ruchów społecznych w warstwie, którą można by nazwać warstwą naturalnych uwarunkowań. Jest to warstwa potrzeb, konieczności życiowych, naturalnych, wymiernych sił, interesów społecznych. Jeżeli nawet owa warstwa nie jest w pełni utożsamiana ze sferą materialnej infrastruktury życia i z procesami ekonomicznymi, to jednak im właśnie przypisuje podstawowe znaczenie. Naturalistyczny światopogląd naukowej socjologii staje na przeszkodzie możliwości zrozumienia wydarzeń, które burząc ustalony ład, odwracają porządek wyjaśnień, które ukazują, że dziedzianie społeczne opiera się na znacznie bogatszych "kalkulacjach" niż te, które obliczają zyski, służące zaspokojeniu bieżących potrzeb.

Ludzkie społeczności na ogół nie zapominają o materialnych, naturalnych podstawach swego życia, na ogół biorą pod uwagę dwa wymiary: materialną kalkulację. Jednakże w tych ramach opiera się jedynie zdezaktywowane, rozpaczone, wykorzystane - jak mówi Simone Weil - życie ludzkie. Społeczności nie rozpoznają na ogół niebezpieczeństwa wykorzystania. Ludzie nie pozostają bierni wobec tego, co najbardziej zagraża ich życiu i to zarówno materialnie, jak duchowo. Przeszłość społeczna, a więc przeszłość życiowa ludzkich mas nie ma w sobie nic tylko kalkulacji opiewanych nakładów energii, ale również kalkulację sensu i wartości, którą się posiada i sensem opłacalności. A jednak można powiedzieć... - notuje w swych rozprawach Weil. - że nie należy do dziedziny społecznej. Jest to świadomość ludzka, której nie jest się świadomym ani świadoma. Jest ona oddana. Wzrostki z przyrody, z przeszłości, z niedołą. Sukcesywnie nie jest tym samym co element społeczny/30/.

A jednak dziedzina dociekań społecznych uwzględnić winna fenomen ludzkiego zakorzenienia i ludzkie dążenie do niego. Studiowanie tego, co Simone Weil nazywa elementem społecznym, a więc przebiegu sił społecznych badanych jak rzecz, nie jest wystarczające, aby móc opisać i zrozumieć nasz świat.

IRENEUSZ KRZEMIŃSKI

PRZYPISY

/1/ Por. zwłaszcza E. Mokrzycki *Filozofia nauki a socjologia. Od doktryny metodologicznej do praktyki badawczej*; szczeg. roz. *Filozofia nauki w perspektywie teorii kultury*, Warszawa 1980.

/2/ A. Touraine i inni *Solidarite. Analyse d'un mouvement sociale* Paris 1982.

/3/ S. Weil, *Wybór pism*, cz. 2, *Zeszyty*, par. *Społeczeństwo*, Warszawa (Krag) 1983, s. 229, (podkr. moje - IK, rozstrzelony druk autorki).

/4/ I. Krzemiński i inni, *Polacy - Jesień '89*, Instytut Socjologii Uniwersytetu Warszawskiego, Warszawa 1983.

/5/ I. Krzemiński, *Proces formowania się NSZZ "Solidarność", ss. 99-191* oraz G. Bakuniak, K. Nowak, *Procesy kształtowania się świadomości zbiorowej w latach 1976-1980, w: Społeczeństwo polskie czasu kryzysu*, Instytut Socjologii UW, Warszawa 1984.

/6/ S. Weil, op. cit., s. 247.

/7/ Jedno jest niewątpliwe: *ethos chrześcijański jest nieodłączny od religijności i poglądu chrześcijańskiego na świat i Boga. Bez nich nie ma sensu, a podjęte w najlepszej intencji próby, by całość tej nadszeregować również sens świecki, który dąży się oddzielić od sensu religijnego i odnaleźć w niej fundamentalną regułę jakiejś powszechnej moralności "ludzkiej" lub jakiejś moralności "bez założeń" religijnych - takie próby są z gruntu błędne...* Ogniwem pośrednim, które co najmniej łączy religie chrześcijańską z moralnością chrześcijańską jest przyjęcie jakiegos królestwa duchowego(...) - czyli przyjęcie tego, co Jezus nazwał "królestwem Bożym". *Kazak miłości odnosi się do człowieka (Jezus królestwo Boże - IK) jako niestety i w każdym razie pojmując je jako wartość szczytów bytu, w którym tkwią korzeniami wszystkie pozostałe szczyty egzystencji i dopiero na tym szczytlu człowiek odnajduje ostateczny sens i wartość swego istnienia.*

M. Scheler, *Resentiment a moralność*, Warszawa 1977, ss. 119-120.

/8/ W. Karpiński, *Strona Tocqueville'a*, w: *W Central Parku*, Pa-riż 1982, ss. 65-66.

/9/ I. Krzemiński, *Polska i "Solidarność" - sens ludzkiego doświadczenia*, "Przegląd Polityczny", nr 6.

/10/ I. Krzemiński i inni, *Polacy - Jesień '80*, op. cit. Przytaczamy tam fragmenty wywiadów z robotnikami na temat mszy odprawianych na terenie zakładów pracy w czasie sierpniowych strajków: *Była msza święta...* Różnie się zastanawiano, dlaczego była ta msza. Msza odbyta się z tego powodu, że dużo pracowników jest wierzących... (s. 159). *Wszyscy życzyli sobie tej mszy i wychodziło to od załogi jako olbrzymi nacisk, by zorganizować mszę...* Dlaczego takie zapotrzebowanie? Po pierwsze, jak wiadomo większość załóg. *Jak większość Polaków znakomita jest katolikami, po-za tym sytuacja - powiedzmy sobie - była dość niebezpieczna...* *Przecież poprzednie strajki...* były krwawo tłumione, więc na tej zasadzie ludzie bardziej sobie przypomnieli o tym, co dla nich najważniejsze. *No, a katolik każdy uważa, że najważniejsze to jest przede wszystkim zbliżenie do Boga...* (s. 160). *Cytaty te dobrze ukazują obecność religijnych odniesień w myśleniu i motywacjach ludzi.*

/11/ Zróżnicowanie to ujawniło się w badaniach, na które się powołujemy (*Polacy - Jesień '80*). Rozpatruję tam dwa ethosy religijne i dwa modele demokracji (ss. 187-191). *Por. również G. Batamze, ss. 286-327. We wspomnianym tekście Polska i "Solidarność" piszę: Identyfikacja z kościołem katolickim i religią przybierała bądź to formie bardziej uniwersalną, rzekłbym "europejską" i "chrześcijańską", bądź też bardziej partykularną, narodową. W tej perspektywie odwoływano się do kościoła jako korzenia i obronicy narodowej kultury. Uniwersalne wartości etyczne były tu związane z akcentowaniem własnej tożsamości, a wartość praw człowieka i godność osoby ludzkiej łączyły się z postawą "bycia sobą" jako "byciem Polakiem".*

/12/ Por. A. Touraine i inni, *Solidarité...*, op. cit.

/13/ A. de Tocqueville, *O demokracji w Ameryce*, roz. 2, Warszawa 1976. Autor ten pisze: *Przecież większość pojęta kolektywnie jest po prostu jednostką, która żywi odmienne przeświadczenie niż inna jednostka, nazywana przez nas mniejszością i ma najczęściej sprzeczne z nią interesy. Otóż jeśli uważamy, że człowiek posiadający władzę może jej nadużyć w stosunku do swych przeciwników, dlaczego nie odnosimy tego do większości? (...)* *Wszelka władza wydaje mi się rzeczą tą i niebezpieczną. Wszelkie władne panowanie przekracza, jak myślę, siły najwybitniejszego nawet człowieka i sądzę, że tylko Bóg może być wszechmocny* (s. 192) *I dalej: Król posiada aresztą jedynie władzę fizyczną, która wpływa na działanie ludzi, ale nie może osiągnąć ich woli, podczas gdy większość dysponuje siłą fizyczną i moralną narazem, która oddziałuje jednocześnie na wolę i czyny oraz staje na przeszkodzie zarówno działaniom, jak i chęci działania* (s. 194). Por. również tamże roz. *Jaki rodzaj despotyzmu zagraża demokratycznym narodom* (ss. 468-472).

/14/ Biorę to określenie w cudzysłów, bowiem samo pojęcie nie wydaje mi się całkiem jasne. Tym bardziej niejasne jest jego użycie do opisu społeczeństwa polskiego.

/15/ Wydaje mi się, że frakcja tzw. prawdziwych Polaków w Warszawie najbardziej zagrażała kształtującemu się consensusowi. Zagrożenie płynęło z postaw związanych z silnym nacjonalizmem. Jednakże wówczas - wydaje się - consensus nie był zerwany.

/16/ Model demokracji partycypacyjnej omawia np. P. Spiewak, *Demokracja*, "Powściągliwość i Praca", nr 5, 1984.

/17/ I. Krzemiński, *Jak powstał i działał Niezależny Samorządny Związek Zawodowy Pracowników Nauki, Techniki i Oświaty*, w: I. Krzemiński i inni, *Polacy - Jesień '80...*, op. cit.

/18/ S. Nowak, *Przekonania i odczucia współczesnych*, w: *Polaków próbnik własny*, Kraków 1979; także: S. Nowak, *System wartości społeczeństwa polskiego*, "Studia Socjologiczne", nr 4, 1979.

/19/ Pojęcie "anomii" rozwinął - w oparciu o teorię Durkheima - R.K. Merton. Zob. jego *Teoria socjologiczna i struktura społeczna*, Warszawa 1982, ss. 195-223, 224-254.

/20/ T. Szawiel, *Struktura społeczna i postawy a grupy etnoscowe*, "Studia Socjologiczne", nr 1-2, 1982.

/21/ W Warszawie robotnicy tworząc organizacje związkowe spontanicznie zwracali się o radę i pomoc do znanych sobie ze słyszenia bądź z oficjalnej prasy działaczy opozycji demokratycznej, jak też do różnych grup działaczy katolickich. Por. I. Krzemiński, *Proces formowania...*, op. cit.

/22/ O pojęciu pokolenia pisali u nas: M. Ossowska, *Koncepcja pokolenia*, "Studia Socjologiczne" nr 2, 1963; J. Mikułowski-Pomorski, *Pokolenie jako pojęcie socjologiczne*, "Studia Socjologiczne", nr 3-4, 1968; J. Garewicz, *Pokolenie jako kategoria socjologiczna*, "Studia Socjologiczne", nr 1, 1983.

/23/ Ruch społeczny formujący się wokół NSZZ "Solidarność" z punktu widzenia "uczestników" i "wizjów" analizowano w badaniach M. Marody i zespołu, *Polacy '80*, Instytut Socjologii UW, Warszawa 1981.

/24/ Pojęcie "stylu życia" wydaje mi się opisywać zjawisko - by tak rzec - "mniej zobowiązujące", mniej obligatoryjne dla jednos-

tki niż przepisy ethosu. Styl życia jest czymś słabiej określonym niż ethos. Oba pojęcia wiążą się ze sobą. Por. na temat ethosu: M. Ossowska, *Ethos rycerski i jego przemiany*, Warszawa 1978. Styl życia i problemy z tym związane omawia się w pracy: *Styl życia. Przemiany we współczesnej Polsce*, pr. pod. red. A. Sicińskiego, Warszawa 1978.

/25/ J. Garewicz, *Pokolenie...*, op. cit. Autor tak definiuje pojęcie pokolenia: "Pokoleniem" będę nazywał zespół ludzi, na których sposobie myślenia zaważyło decydująco to samo przeżycie, nazywane dalej przeżyciem pokoleniowym(...) Przejście pokoleniowe jest przyswajane i smacicie w zależności od indywidualnych właściwości oraz indywidualnych okoliczności(...) Ale dla wszystkich ludzi, którzy je przeżywają, jest to zdarzenie przełomowe w ich życiu, którego nie są w stanie wymazać z pamięci i przez pryzmat którego odtwarzają oni zdarzenia późniejsze (s.77).

/26/ Piszę o tym w: I. Krzemiński, *System społeczny "epoki gierkowskiej"*, w: S. Nowak i inni, *Spółczesność polskie...*, op. cit. Również: I. Krzemiński, *Proces formowania...*, op. cit., ss. 137-142.

/27/ S. Weil, *Wybór pism*, op. cit., s. 250.

/28/ Tamże, s. 247.

/29/ Tamże, s. 261.

/30/ Tamże, s. 234.

JEST REFORMA GOSPODARCZA, CZY JEJ NIE MA?

Rozmowa z JACKIEM MERKELEM

Tem porażki: gospodarki, a zwłaszcza kwestii reformy gospodarczej poronionej są na różne sposoby i z wielu punktów widzenia, zarówno na kartach oficjalnych, jak i w obiegach nieoficjalnych. Jedną z tych głosów, na ogół wyrażanych, niestety przez ogółek, siebie nie reprezentujących, było nie sformułowane, ale wytknięte przez kogoś, który chciałby zrobić sobie orientację w tym wszystkim. Dlatego - niezgodnie na porządku dziennym, syntetyczną wykładnię - zdecydowaliśmy się postawić uprzedzone pytanie: "jest reforma gospodarcza, czy jej nie ma?". Pytanie to postawiliśmy Jackowi Merkelowi - członkowi Prezydijskiej Komisji Krajowej NSZZ "Solidarność", odpowiedzialnemu za sprawy ekonomiczne, obecnie bliższemu współpracownikowi Lecha Wałęsy. Nazw różnoco wdziękając nam wywiady prosił o podkreślenie, że w wywiadzie tym wykorzystywać możliwie wszechstronnie opinie i analizy ekspertów, z którymi nieprzerwaną współpracę uważa za niezbędny warunek sensownego działania.

1. RZECZYWISTOŚĆ

Przegląd Polityczny: Podejmujemy się trudnego zadania - dyskusja o reformie staje się braniem dla ludzi coraz mniej strasną i zrozumiałą...

Jacke Merkel: Istotnie. Ale łatwo to wyjaśnić. Reforma gospodarcza i inne nasilo budzące żywe emocje w latach 1980/81, padły później ofiarą pewnej manipulacji, nazywanej "krańcowością myślową". Wskoczono je do urzędowego języka, tak zwanej "wznowy" która zamieniła żywe słowa w... głąbił ich pierwotne znaczenia. Błędnie "reformę", "odnowę", "przeobrażenie" i "przebudzenie narodowe" to także skrajnie błędny. Tyma jednak przynależność reformy gospodarczej nie była tym czasem najbardziej realnego w rzeczywistości. Tyle, że w polityce stała się propagandą, przegadana, zniekształcona z podwójnym celem - nie budzić politycznej skrajności.

NP: ...

... Właśnie, i jest konsekwentnym. Nie mówimy indyżonek przez siebie, patrząc, ale to, co następuje w Polsce od roku 1982 w sensie oczywisty do tej kategorii nie należy. Reforma gospodarcza jest Sierpniem Sierpnia, a Sierpień z kolei to grzesz tych wszystkich, są w całym narodzie. Nie chcieliśmy... powzięcia ni wadzenia w solidne upoki... W programie miały być... reformy...

symbolizowanych przez 21 postulatów gdańskiego MKS-u. Zasadniczą rolę odegrał tu zorganizowany nacisk społeczny i pewne pomysły, wypracowane przez niezależne środowiska inteligentkie jeszcze przed Sierpniem. Fejmant wewnątrzpartyjny był na tym tle czynnikiem istotnym, ale niewątpliwie wtórnym. Są na to dwa dowody. Po pierwsze, VIII Zjazd PZPR, swołany w przededniu Sierpnia, w obliczu rysującej się wyraźnie katastrofy gospodarczej, odbył się pod znakiem rozgrywek prasowanych, a nie reform. Po drugie, już po Sierpniu, w ekipie rządzącej, która podpisała zobowiązanie w sprawie reformy dominował jeszcze nurt zachowawczy i taktyka gry na zwłokę - czego wyrazem było oddanie sprawy reformy w ręce ociężałej, 500-osobowej Komisji Reformy Gospodarczej. Dopiero wielostronna krytyka dorobku tej Komisji oraz presja "Solidarności", dynamicznie rozwijającego się ruchu samorządowego i różnych środowisk opiniotwórczych zmusiła władzę do poważnego traktowania zobowiązań i wzmożniła to kręgi wewnątrz władzy, które uważały reformę za obiektywną konieczność, a nie wybieg taktyczny z 31 sierpnia 80r. Na tej fali przeformowano w lipcu 1981 roku "Kierunki reformy gospodarczej" - dokument, który możemy uznać za Świadectwo rzeczywistej woli reformatorskiej. Dowód nr 3 powstaje na naszych oczach, jako że po 13 grudnia 1981 r. potencjalne skrzydło reformatorskie wewnątrz władzy zostało osamotnione na placu boju.

PP: *Czy jednak władza i "Solidarność" mówią o reformie używając wspólnego języka?*

J.M.: W latach 1980/81 było kilka koncepcji reformy - jest to rzecz zrozumiała i naturalna. Tak samo oczywiście jest to, że władza podjęła reformę z innych powodów niż te, które uczyniły reformę programem "Solidarności". Z punktu widzenia władzy, reformy były logiczną konsekwencją decyzji o politycznym a nie siłowym rozwiązaniu konfliktu, tak dramatycznie ujawnionego w Sierpniu. Tradycyjny system gospodarowania, będący w drugiej połowie lat 70-tych w zupełnym rozkładzie, nie gwarantował stabilności politycznej kraju; rozumiano, że aby móc w przyszłości sprawować władzę bez niepokoju o kolejny "śmierśny protest klasy robotniczej" trzeba było istotnie zmienić sposób rządzenia i gospodarowania. Powstała zatem sytuacja, która obie strony Porozumienia Gdańskiego, mimo różnych motywacji, kierowała ku planowi Gdańskiemu, ku obszarowi zgody i współpracy. Obie strony chciały gospodarki racjonalniejszej i chronionej systemowo przed ponownymi kryzysami. Pomimo odległych punktów widzenia, jakie stanowią pierwsze rządowe projekty ustawy o przedsiębiorstwie i samorządzie oraz koncepcja przedsiębiorstwa społecznego, obie strony doszły do kompromisu - uwzględnionego w redakcji aktów prawnych otwierających proces reformy gospodarczej.

PP: *Nie było tak idealnie, jak to przedstawiasz. Osiągnięty kompromis wymiła raczej z szlacheckiego przetargu niżeli wymiary argumentów, wszelkie głębokie podziały w "Solidarności" i antychryli wielu działaczy burżuazyjnych...*

J.M.: Osiągnięcie czegośkolwiek, co wartościowe, wymaga trudu, cierpliwości i na swoją cenę - do czegoś to wartyckich sówber "Solidarności".

PP: *Co, oprócz tego doświadczenia, było najważniejszym składnikiem społecznego rozumienia reformy w latach 1980/81?*

J.M.: Fundamentem całego ruchu sierpniowego była świadomość, otąd niezbywalna, że chore i odpowiedzialne za kryzys są struktury i że wobec tego nie wystarczy wymiana ludzi w tych strukturach. Równie ważne było intuicyjne, silnie ugruntowane w czasie strajków na Wybrzeżu, połączenie naprawy gospodarczej z reformą polityczną, co wyrażał popularny slogan "nie ma chleba bez wolności". Stąd ówczesny nacisk na społeczno-polityczne gwarancje nieodwracalności reform. Co do reszty, my nie powinniśmy mieć złudzeń - rozumienie warstwy ekonomicznej reformy było płytkie. Ale 16 miesięcy dokonało w tym zakresie pewnego przełomu. Nastąpiło przecież stopniowe, obejmujące niektóre grupy społeczne, przejście od postawy roszczeniowej do postawy czynnej wobec kryzysu, co otwierało perspektywę głębszego zrozumienia pożądanego modelu gospodarczego. Zaś "Solidarność" poręczała swym autorytetem tam, gdzie rozumienie konieczności ekonomicznych było niewystarczające.

PP: *Co znaczyła dla procesu reformy data 15 grudnia 1981 roku?*

J.M.: Sądzę, że pełne konsekwencje wprowadzenia stanu wojennego wypłyną w dalszym ciągu rozmowy. Formalnie biorąc, reforma była kontynuowana, ale przestał to być żywy proces społeczny, którego kierunek negocjowano z zorganizowaną reprezentacją narodu. Rozpoczęta jako ważny czynnik demokratyzacji i racjonalizacji systemu, reforma stała się elementem socjotechniki, dawanym w ramach taktyki "normalizacji" i taktyki pozyskiwania opinii zagranicznej.

Teoretyczne pozytywne nowo powstałej sytuacji: większa swoboda manewru /m.in. cenowego/ oraz zdyscyplinowanie świata pracy - okazały się iluzoryczne, bądź też zostały zaprzepaszczone. Zaś negatywy wyszły na jaw szybko i z całą jaskrawością. Likwidacja społecznego zaplecza reformy osamotniła domniemany ośrodek reformatorski w obliczu konsolidującej się biurokracji.

2. REFORMA NA PAPIERZE

PP: *Intensywna "produkcja" nowego prawa gospodarczego stanowi w propagandzie rządowej koronny dowód na to, że reforma jest realizowana ...*

J.M.: Reforma i nowe przepisy to nie to samo. Ponadto, prawodawstwo miało wcielić w życie określoną koncepcję reformy, zapisaną w oficjalnych "kierunkach reformy gospodarczej". Dobrze są tylko te prawa, które przybliżają nas do modelu docelowego. Jeśli spojrzę z tego punktu widzenia, to okaże się, że pokażna ilość nowych przepisów nie przeszedł w jakość ...

PP: *Tak rozumiana jakość wymaga społecznej kontroli procesu ustawodawczego ...*

J.M. Jakość ustaw w sensie formalno-prawnym to odrębne zagadnienia /o czym później/, ale ich zgodność z założonym modelem reformy mogły wymusić jedynie zorganizowany nacisk społeczny. Nieprzypadkowo, najbliższe oczekiwaniom i ideał "reformy przełomowej" okazały się ustawy uchwalone we wrześniu 1981 roku, w warunkach wspomnianej presji publicznej, tak silnej, że z góra jedna trzecia psów uznała za właściwe bronić przyję-

...ale przez "Solidarność" kompromisu. Trudni kompromis w "kwestii dyrektorskiej" rowował drogę do usamodzielnienia przedsiębiorstw i rzeczywistego wpływu: całego na ich funkcjonowanie. Ale już do 15 grudnia 1981, w sferze prawodawstwa nie wydarzyło się nic tej miary, natomiast pojawiły się sygnały niepokojące, świadczące o dążeniu władzy do odroczenia reformy i omiowizorium systemowe na rok 1982/.

PP: *Od roku 1982 prawo reformy powstawało już w zasadniczo odmiennych warunkach ...*

J.M.: Oczywiście - władze uwolniły się od konieczności dogadywania się z "Solidarnością". Uznając ten stan rzeczy za sprzyjający, władza zmieniła taktykę i przyspieszyła proces ustawodawczy. W ciągu kilku miesięcy przybyło sporo nowych reguł formalnych, wśród których najważniejsze były ustawy przyjęte przez Sejm w lutym 1982 roku / o planowaniu, o cenach, o gospodarce finansowej, o podatkach i o prawie bankowym/. Następnym tak ważnym krokiem była dopiero ustawa płacowa ze stycznia 1984 roku, wprowadzająca zakładowe systemy wynagrodzeń. Ale już rok 1982 ujawnił specyficzną dla władzy taktykę reformowania i swoistą interpretację "Kierunków reformy gospodarczej". W całym okresie 1982-85 potwierdziły się następujące

- wybiórczość: względy polityczne określają tempo i kierunki regulacji /np. zwłoka z rozwiązaniami płacowymi/. W efekcie, po 4 latach istnieją poważne luki w regulacji i dziedzinie, do których reforma nie dotarła /handel wewnętrzny i zagraniczny, drobna wytwórczość/.
- zróżnicowany tryb: przewleka się "konsultacje" i "obróbkę" legislacyjną w sprawach drugorzędnych, zaskakując społeczeństwo, ciała doradcze, a nawet posłów treścią aktów prawnych o znaczeniu strategicznym /ustawa o związkach zawodowych/.
- ograniczanie pola zasad ogólnych na rzecz rozwiązań specjalnych: reforma omija liczne kategorie jednostek gospodarczych, które nowe przepisy oddalają od modelu "3 x S" /użyteczność publiczna, jednostki podległe resortom obrony narodowej, finansów i sprawiedliwości lub wykonujące zadania na rzecz obronności, PKP, Polska Poczta, Telegraf i Telefon, LOT oraz całe branże: energetyka, górnictwo węgla, cukrownictwo, jednostki budowlano-montażowe, przemysł mięsny i cmentowy/.
- stopniowe okaleczanie ustaw z roku 1981: podporządkowanie płacowe dyrektora organon założycielskim; ogólniej - zachwianie na niekorzyść samorządu kompromisowego podziału ról między dyrektorem, samorządem, związkami zawodowymi i organami założycielskimi.
- niestabilność /wynik podporządkowania prawa bieżącym interesom polityki gospodarczej/ oraz upodobanie przepisów przejściowych /stan wojenny, jego zawieszenie, okres przewyżczenia kryzysu/.

PP: *Mówisz o świadomej strategii legislacyjnej, tymczasem słyszy się coraz częściej o utracie kontroli nad tym procesem - o żywiołowości i braku koordynacji w tworzeniu prawa ...*

J.M.: Pewna linia, będąca zapewne serią przetargów między pragmatykami a dogmatykami, z udziałem branżowych grup interesu, przejawia się na poziomie aktów sejmowych czy rozporządzeń Rady Ministrów. Efekt żywiołowości powstaje na poziomie prze-

pisów niższego rzędu, które decydują o praktyce życia gospodarczego. W latach 1982-84 różne urzędy wydały grubo ponad 4 tysiące takich przepisów, poza tymi publikowanymi w Dzienniku Ustaw i Monitorze Polskim. Jeszcze raz "prawo powielączkowe" triumfuje, wypychając z praktycznego obiegu i z pola widzenia uczestników gry gospodarczej przepisy ustawowe.

Brak spójności i łańcuch jest w tych warunkach nieuchronny - skarży się na to już od grudnia 1982 r. szef zespołu odpowiedzialnego nominalnie za prawo reformy, profesor Bar. Zaś środowiska fachowe, alarmują, iż spada jakość roboty prawnej. Nowym aktem prawa gospodarczego trudno byłoby prorokować żywotność Kodeksu Handlowego z 1934 roku, użytecznego do dziś, stanowiącego wrót rzetelnej roboty i poczucia odpowiedzialności twórców prawa.

Paradoksy dzisiejszego stanu prawnego to z jednej strony, przeregulowanie, a z drugiej strony dokliwe luki w regulacji. Ponadto poczucie niestabilności, przy jednoczesnym braku wrażenia, iż posuwamy się w pożądanym kierunku.

PP: *Nowe prawo gospodarcze to zaledwie wycinek reformy prawa, zachodzącej w Polsce od roku 1980 ...*

J.M.: ... ale wycinek specjalny. We wszystkich innych sferach dorobek posierpniowego ruchu na rzecz naprawy państwa i instytucji publicznych poprzez ulepszanie prawa został zaprzepaszczony. Pod osłoną stanu wojennego rozpoczął się proces pedantycznej "legalizacji bezprawia" - dowolności władzy w postępowaniu z obywatelami /analizuje to raport "Polska 5 lat po Sierpniu"/. Na tle tego ogólnego regresu systemowego, nowy stan prawny w gospodarce, chociaż wielce niezadowolający, jest jednak postępem - ulepszeniem stanu poprzedniego.

3. REFORMA INSTYTUCYJ

PP: *Działania reformatorskie to - oprócz nowych reguł formalnych - zwłana układ organizacyjny gospodarki. Jak wygląda bilans dokonani w tym zakresie?*

J.M.: Warto przypomnieć oryginalne postulaty instytucjonalne z lat 1980/81, bowiem stanowiły one jądro uzgadnianej wtedy koncepcji reformy. Szły one w następujących kierunkach:

1. Likwidacja maszyny biurokratycznej /zapędlonej instytucjonalno-kadrowym zapleczem starego systemu /ministerstwa gależiowa, zjednoczenia i inne ogólna pośrednia/.
2. Reforma "centrum" stosownie do wymogów założonego modelu gospodarczego /zmiana roli Komisji Planowania, pozostałych ministerstw i NSP, komercjalizacja banków, uniemożliwienie organom administracji gospodarczej bezpośredniej ingerencji w decyzje przedsiębiorstw/.
3. Uspołecznienie planowania centralnego /druga Izba Sejmu/ i terytorialnego /samorząd terenowy/ oraz demokratyzacja stosunków w przedsiębiorstwie /samorząd pracowniczy/.
4. Zmniejszenie stopnia dyspozycyjności życia gospodarczego wobec ośrodka władzy politycznej /odpolitycznienie gospodarki/.
5. Wzbogacenie struktury podmiotowej gospodarki /większa różnorodność jednostek gospodarczych, pluralizm form dysponowania środkami produkcji/ oraz wykształcenie instytucji niezbędnych do obsługi rodzących się stosunków rynkowych.

4. Powołania organów społecznej kontroli nad producentami /organizacje konsumenckie i ekologiczne/ w miejsce fikcyjnego nadzoru administracyjnego.

Treść tych postulatów dyktowała doświadczenie wszystkich nieudanych reform w Europie Wschodniej. Odzwierciedlały one zarówno wymogi efektywności jak i realia polityczne dzisiejszej Polski. Nie były to pomysły "ekstremy" lecz niecałkowicie cytaty z "Kierunków reformy gospodarczej" - oficjalnego dokumentu rządowego. Dopiero narastanie kryzysu i świadomość paraliżu władzy zrodziły w połowie 1981 roku postulat dodatkowy: Społecznej Rady Gospodarki Narodowej, organu o nadzwyczajnych pełnomocnictwach, stosownych do powagi sytuacji w kraju.

PP: *Wzrost prasy jaki użył się uprawnia do oceny stopnia realizacji tych postulatów, będących w większości - jak mówisz - zobowiązaniami formalnie przyjętymi przez władze.*

J.M.: Bilans instytucjonalny wypada gorzej niż bilans reguł formalnych. Nawet te łatwiejsze postulaty, dotyczące warstwy czysto ekonomicznej nie zostały spełnione.

Batalia o ministerstwa gałęziowe przegrana została już w roku 1981, kiedy niedoszła ofiara, ubiegając reformę dokonała manewru samoograniczenia: w lipcu nastąpiła redukcja z 11 do 8 ministerstw gałęziowych i stan ten poddaje się kolejnej połowicznej modyfikacji dopiero dzisiaj. Porażki na pozostałych odcinkach frontu zmian instytucjonalnych relacjonuje dość otwarcie prasa /kiepska ustawa o Komisji Planowania z lipca 1984 r., półrządowy charakter banków, odrastanie struktur zjednoczeniowych pod szyldem zrzeszeń/. Po kilku latach jasne jest, że administracja w strukturach pośrednich wykazuje liczebnie dużą stabilność, a w dwóch resortach doszło do otwartej rehabilitacji tych struktur /gwarectwa w górnictwie i kombinaty w hutnictwie/.

Zwyciężyła nierealna koncepcja, w myśl której bez zmiany układu organów centralnych miałyby zmienić się ich funkcje.

PP: *Potoczna obserwacja wskazuje na wzbogacenie zbioru jednostek gospodarczych, współczesnych i nie współczesnych, działających na rynku ...*

J.M.: Jest to realne i korzystne zjawisko, ale zachodzące na marginesie naszej nieruchawej i niezwykle "sztywnej" organizacji gospodarki. Niektóre przewidywane formy nie rozwinęły się z powodu opóźnienia regulacji prawnej, natomiast te nie liczne przykłady wykorzystywania nowych możliwości prawnych, które znany /np. spółki/ obliczone są nie na lepsze efekty gospodarcze, a na ułatwienie sobie życia w niestabilnym otoczeniu.

Równouprawnienie formalne i fiskalne sektorów własności nie nastąpiło, a zatkanie związanych z tym potencjalnie kanałów aktywności gospodarczej rozdyma nielegalny "drugi obieg", począwszy od przysłowiowej fuchy, po wielkie przedsięwzięcia przemysłowe i spekulacyjne, a nawet produkcyjne.

PP: *Wróćmy do neutralnego styku gospodarki i polityki.*

J.M.: Zamach z 13 grudnia 1981 roku zamroził reformę w sferze zmian instytucjonalnych. Skradziono szyldy, obdarzając nimi parę karłowatych instytucji, będących zaledwie dalekim echem postulatów z 1981 roku. W miejsce drugiej izby, o kompetencjach stanowiących Sejm powołał w marcu 1982 roku organ opiniodawczy - Radę Społeczno-Gospodarczą, jak się wkrótce okazało, pomijaną lub ignorowaną w istotnych sprawach. Powstał też

organ "daremej perswazji" wobec rządu - Konsultacyjna Rada Gospodarcza. Namiastką uspołecznienia decyzji mają być tzw. "konsultacje" - nie tylko nie będące formą uczestnictwa w zarządzaniu, ale nawet nie ujawniające na użytek władzy rzeczywistego stanu opinii publicznej.

Tak więc najbardziej ambitny i obiecujący fragment reformy nie został zrealizowany. W tych warunkach pewne drugorzędne zmiany - jak np. kontrolowany ruch konsumencki, czy kandydacja do oddzielenia administracji państwowej od pionu politycznego PZPR, nie mają dla losów reformy większego znaczenia. Dotyczy to, niestety, także samorządu pracowniczego. Dziś jest to nadal wartościowe pole działalności publicznej, ale rady tracą zbyt wiele energii na obronę własnej niezależności i nie są w stanie odegrać tej roli, jaką zapowiadały czasy legajnej "Solidarności".

4. TAK ZWANE OGRANICZENIA

PP: *Propaganda uwypiekła obecny stan reformy wskazując na splot niekorzystnych warunków, zasłanych po rządach Gierka i pogłębionych w okresie "anarchii" ...*

J.M.: Paradoxs polega na tym, że pomiędzy kryzysami system kosztuje i nie ma bodźca do zmiany. Z kolei, kryzysy stwarzające taki bodziec utrudniają zadanie reformatorom. Współczesna lista utrudnień jest wyjątkowo długa. Otwiera ją zadłużenie, dalej brak równowagi we wszystkich rodzajach rynku wewnętrznego /konsumpcyjnym, inwestycyjnym, dewizowym/, inflacja, tzw. garb inwestycyjny i dysproporcje w majątku produkcyjnym.

Władza dorzuca chętnie do tych głównych ograniczeń restrykcje zachodnie /propagandowo wyolbrzymiane/ i "opory społeczne", które ja nazwałbym raczej przyzwyczajeniem nas wszystkich, jako pracowników i komentatorów do systemu tradycyjnego. Jest to oczywiście skaza obejmująca w jeszcze większym stopniu kadre dyrektorską i administracyjną.

W sumie jest to zespół realnych i poważnych ograniczeń, z którymi musiałby zmagać się każdy rząd w Polsce, niezależnie od jego politycznej bazy.

PP: *Jest jeszcze jeden argument, po który się ostatnio włódka /postawił się nim gen. Jaruzelski w wywiadzie dla tygodnika "Time"/ - przeszkodą we wdrażaniu "twardego" reformy rynkowego są rozległe socjalne zdobycze socjalizmu ...*

J.M.: Argument ten różni się od poprzednich tym, iż zderza reformę z pryncypiami socjalizmu, może więc być podnoszony w każdym warunkach - niekoniecznie kryzysowych. Dylemat: "rozwiązania socjalne albo rynek" jest jednak sztuczny. Czym bowiem są te rozległe świadczenia? Jakie jest bezpieczeństwo socjalne rencistów i emerytów? Jaka opieka nad rodzinami wielodzietnymi i samotnymi matkami? Jaka ochrona zdrowia i organizacja wypoczynku? Jakie zabezpieczenie przed niedostatkiem i wreszcie, jakie warunki i bezpieczeństwo pracy?

Są to wszystkie świadczenia na miarę naszej niesprawnej gospodarki, rosnącego ciężaru zbrojeń, utrzymania aparatu przymusu i administracji. Reforma rynkowa i autentyczna osłona socjalna nie są sobie przeciwne lecz idą w parze, dlatego, że tylko efektywna, rynkowa gospodarka zwiększa poziom i jakość życia pracujących i niepracujących.

Istnieje natomiast inny dylemat. Te same nieefektywne metody gospodarowania w realnym socjalizmie umożliwiają lojalnym obywatelom spełnienie takich "wartości" jak bezpieczeństwo etatu, familiarne stosunki w zakładzie, niskie wymagania i małe rozpiętości płacowe. Staje się to tym istotniejsze, im silniej odczuwane są ciężary i kłopoty dnia codziennego. Realnym problemem jest więc owa "zetatyzowana świadomość", dla której wdrożenie normalnych wymagań rynkowych oznaczałoby wstrząs.

PP: *Istnienie wszechstronnych realnych i wydumanych ograniczeń uszczelnione zostało w koncepcji etapowego wdrażania reformy. Czy okres przejściowy 1984-85 usunie część przeszkód na drodze do samoregulacji rynkowej?*

J.M.: Dylematy okresu przejściowego miały dwojakie rozwiązania: prorynkowe albo administracyjne. Rozwiązanie prorynkowe polegałoby na takim wytyczeniu "ścieżki dojścia" i stosowaniu takich metod polityki gospodarczej, które torowałyby drogę mechanizmom samoregulacji. Byłby to mozolny proces konstruowania rynku /którego w Polsce, poza peryferiami, nie ma/: dekoncentracja, demonopolizacja, cierpliwe rozszerzanie cen popytowo-podażowych. Spychałoby to państwo w sferze gospodarczej do roli organu kompensującego ujemne następstwa socjalne rodzącego się rynku /ruchy cen i kosztów utrzymania, upadłości przedsiębiorstw itp./ oraz wytyczającego ogólne kierunki rozwoju.

W latach 1982-85 górę wzięło jednak rozwiązanie administracyjne, upatrujące lekarstwa na kryzys - wbrew wszelkim doświadczeniom - w reglamentacji i ingerencji organów centralnych.

PP: *Publicznie prezentowano tezę o potrzebie podporządkowania mechanizmów ekonomicznych polityce gospodarczej ...*

J.M.: Nie byłoby w tym nic złego, gdyby chodziło o dalekowzroczną, długofalową politykę, w dodatku prorynkową. W realiach naszego kraju było to jednak wyznaczenie orientacji krótkookresowej - "operatywnego sterowania", które triumfowało w 1982 roku w miejsce strategii budowy rynku. Jego symbolem stał się system odpisów na PPEZ. Wynaleziony jako środek zaradczy na domniemne bezrobocie /1982/, przekształcony następnie w bodziec wzrostu produkcji za wszelką cenę /druga połowa 1982, 1983/, stał się w latach 1984-85 narzędziem antyinflacyjnym. Po drodze, PPEZ spowodował wiele nonsensów płacowo-zatrudnieniowych i zlikwidował dłuży horyzont decyzyjny w przedsiębiorstwach. W taki sposób meandry polityki bieżącej neutralizują mechanizmy wynikające z regulacji ustawowej - niespójność polityki gospodarczej i rozwiązań systemowych jest w Polsce faktem. Nie dziwi się, że aparat gospodarczy, poddany silnej presji władz politycznych, domagających się szybkich sukcesów, wraca do tradycyjnych metod, wspartych przez biurokratyczną rutynę.

PP: *Czy możesz dać przykłady administracyjnego, łamiącego logikę reformy stylu w rozwiązywaniu bieżących trudności gospodarczych?*

J.M.: Nie będę oryginalny, jeśli wskażę ceny, zaopatrzenie i zatrudnienie. Ustawa cenowa z roku 1982 jest już praktycznie martwa - następuje odwrót ku cenom administracyjnym - budowanym, jak dawniej, na "formule kosztowej". W sferze zaopatrzenia, w miejsce pozicji harmonizacji produkcji i rynkowego wymuszania priorytetów społecznych, szerzy się reglamentacja. W końcu 1984 r. doszło do tego, że niemal 100% podstawowych dóbr zaopatrzeniowych rozdziela się na zasadzie priorytetów

administracyjnych /zwanych programami operacyjnymi i zamówieniami rządowymi/, zaś ponad połowa surowców i materiałów poddana jest przymusowemu pośrednictwu w handlu. W sferze zatrudnienia, krokiem wstecz było wprowadzenie w 16 województwach tzw. obowiązkowego pośrednictwa pracy.

Co łączy politykę zaopatrzeniową i zatrudnieniową? Łączy to, że uwaga "centrum" koncentruje się nie tam, gdzie powinna. W sferze zatrudnienia - na szukaniu sposobów zwiększenia aktywności zawodowej i na usztywnieniu stosunku pracy, zamiast na problemie wzrostu wydajności pracy. W sferze zaopatrzenia - na rozdzieleniu, zamiast na stymulowaniu wzrostu produkcji dóbr zaopatrzeniowych i ich oszczędnym zużyciu. Łączy też niewątpliwa nieskuteczność tej polityki: wąskie gardła w zaopatrzeniu mnożą się, a bariera braku rąk do pracy rośnie /w regionach objętych pośrednictwem pracy wystąpiło zjawisko asekuracyjnego wzrostu zapotrzebowania na pracowników/.

A przecież tam, gdzie zdecydowano się na skromną choćby decentralizację, efekty były obiecujące. Dotyczy to na przykład wzrostu udziału inwestycji dokonywanych ze środków własnych przedsiębiorstw /ok. 32% ogólnych nakładów w gospodarce społecznej w r. 1984/. Wbrew obawom tylko 10-11% tych środków poszło na inwestycje uzupełniające i socjalne, natomiast szybko wzrosły inwestycje odtworzeniowo-modernizacyjne, służące naszym priorytetom gospodarczym: zahamowaniu dekapitalizacji oraz ograniczeniu inflacji.

Na przekór takim doświadczeniom, administrowanie bierze górę.

PP: *Czy nieczęście polega na tym, że administracyjna filozofia walki z kryzysem reanimowała struktury biurokratyczne, naruszone częściowo w latach 1980/81?*

J.M.: Tak, w ten sposób realne ograniczenia reformy i problemy z jakimi boryka się nasza gospodarka, zostały niejako "skonsolidowane" przez biurokrację, która odżyła w klimacie politycznym roku 1982.

Nieuniknione w kryzysie formy reglamentacji - zamiast ominąć - splotły się z hierarchiczną strukturą zarządzania, która miała być przeciwieństwem zlikwidowana. Ministerstwa gałęziowe /Min. Budownictwa i Przemysłu Materiałów Budowlanych, Komunikacji, Górnictwa i Energetyki, Rolnictwa i Gospodarki Żywnościowej/ oraz ogólna pośrednie /np. organizacje rozdzielnictwa i obrotu pozostawione w składzie tych resortów lub włączone do obligatoryjnych zrzeszeń producentów/ zżępały drugi odcinek.

W ten sposób "gospodarka braku", trwałość struktur biurokratycznych i administracyjne metody gospodarcze tworzą zespół zjawisk wzajemnie się wyjaśniających i wspomagających. Rozdzielnictwo materiałów deficytowych podtrzymuje struktury biurokratyczne. Stara organizacja negatywny rozdzielnictwa - pcha system zaopatrzenia i całą gospodarkę w stare tory nakazowo-rozdzielcze. Koło się zamyka. Reforma przecyrywa.

PP: *Jak wygląda po kilku latach sprawa ograniczeń niematerialnych - poziomu społecznych warunków i kompetencji kadry zarządzającej. Czy społeczeństwo dojrzało do nowego modelu gospodarczego?*

J.M.: Dla przeciętnego Polaka decydujące znaczenie miał wstrząs 13 grudnia 1981 roku - prosta logika tego faktu. Późniejsza lżenie autorytetów i całej organizacji, z którą identyfikują się miliony ludzi, tylko to ugruntowały. Powstała przepaść, którą wprawdzie wypełnia życie, ale zdeptane zostało kleikują-

ce w Sierpniu 1980 poczucie współuczestnictwa, zażądowania i odpowiedzialności za kraj. Gospodarka stała się znowu "ich gospodarzą", naprawa gospodarza "ich sprawą".

O pogłębienie tego stanu wyobcowania na terenie zakładu pracy stara się polityka kadrowa. Stosowane bez osłonek kryteria politycznej lojalności zamykają awans i szansę satysfakcji zawodowej dla milionów zdolnych ludzi. Nie ma to nic wspólnego z zasadami reformy. Jeszcze dwie skazy postaw zbiorowych idą w koszty "wojny", szkowząc reformie i naprawie gospodarczej. Korupcja, rozwinęta w latach 70-tych i chwilowo zakwestionowana po Sierpniu staje się znowu normą obyczajową. Wraz z upadkiem atryki zawodowej nastąpiło niesłychane spłoszenie motywacji pracowników. Zapewnienie jak z podręcznika psychologii, niemożliwość zaspokojenia potrzeb wyższego rzędu /współdecydowanie, uczestnictwo/ eksponuje motywację płacowo-materiałną. Objawia się to m.in. brakiem wiary w zakładem pracy i niespotykaną dotąd fluktuacją załóg.

Czy zaś sprzyja reformie treść propagandy? Przeciwnie - tak jak biurokracja "konsumuje" ograniczenia w sferze realnej, tak propaganda wykorzystuje 40-letnie spustoszenia w sferze świadomości, podsycając na co dzień obawy przed rynkiem.

PP: *Czy dotyczy to także kadry zarządzającej?*

J.M.: Problem kadr zarządzających skomentuję krótko: nie wystarczy bieżące szkolenie, co oznacza właściwie tylko zaznajamianie z meandrami reformy. Potrzebne jest dobre przygotowanie teoretyczne i brak utrwalonych nawyków. Czy w świetle tego kryterium weryfikacja kadr administracyjnych, przeprowadzona w roku 1982 oraz powrót tradycyjnego trybu obsadzania stanowisk dyrektorskich oznaczały selekcję pozytywną, czy raczej negatywną? Czy zdławienie autonomii szkół wyższych służy sprawie uwolnienia kształcenia ekonomicznego i naukowego rozpoznania nowych problemów? Stawiam te pytania, by przypomnieć banalną prawdę: reformy gospodarczej nie można oderwać od naprawy innych dziedzin życia publicznego w Polsce.

5. JAK GOSPODARKA FUNKCJONUJE ?

PP: *Wróćmy do głównego nurtu rozmowy i postawionego w tytule pytania. Gdzie należy szukać kryterium rozstrzygającego o tym, czy reforma jest, czy jej nie ma?*

J.M.: Zaryzykuję poważną definicję. Reforma gospodarcza to utrwalona prawnie i konstytucjonalnie zmiana reguł zachowania uczestników życia gospodarczego. Rozstrzygającego kryterium szukać zatem należy nie w sferze reguł formalnych, lecz w sferze rzeczywistego sposobu funkcjonowania podmiotów gry gospodarczej - pytając, czy zmienił się on w pożądanym kierunku.

PP: *Decydującym ogniwem gospodarki jest przedsiębiorstwo ...*

J.M.: Muszę się zastrzec, że będę mówił o tendencji dominującej, typowej, wylaniającej się z dużej różnorodności zachowań jednostek gospodarczych w poszczególnych sektorach własności, branżach, regionach, a nawet poziomach rentowności. Otóż przez kilka minionych lat, przedsiębiorstwa uczyły się na drodze prób i błędów, "grać" - osiągać swoje cele - w nowym układzie przepisów. To, czego się nauczyły, decyduje o obliczu naszej gospodarki.

Nie ma wątpliwości, że nie zmaterializował się artykuł 3 ustawy o gospodarce finansowej, ustanawiający zysk jako główny miernik oceny przedsiębiorstwa. W opisanym wcześniej systemie regulacji rynek nie mógł stać się celem głównym przedsiębiorstwa, co przy spełnieniu kilku dalszych wymogów regulacji rynkowej zbliżyłoby zachowanie przedsiębiorstwa do podręcznikowego ideału racjonalności ekonomicznej.

My zaś mamy system, który zniechęca do osiągnięcia nadwyżek finansowych. Przedsiębiorstwo nie może pochwalić się, że małym nakładem uzyskało duży efekt.

Powrót kosztowej formuły cen i kontrola cen w formie zakazu pobierania więcej niż "uczciwej" marży zysku, sprawia, że zysk występuje jako narzut na koszty, a nie jako maksymalizowana różnica między efektem a nakładem. Nowa regulacja utrwała pojmowanie cen i kosztów w sposób typowy dla systemu nakazowo-rozdzielczego.

PP: *Skoro nie zysk czy nadwyżka, to co jest celem przedsiębiorstwa?*

J.M.: Większość obserwatorów skłania się do twierdzenia, że liczą się głównie płace - "wynagrodzenie w ciężar celów". Przedsiębiorstwo realizuje oczywiście całą wiązkę celów, wśród których dużej wagi nabiera motyw zachowania ciągłości produkcji. Ale dochody pracownicze znajdują się w centrum uwagi kierownictwa. Pozostałe mierniki ustawia się na poziomie "bezpiecznym" względem fiskusa /rentowność/ i obciążeń PFAZ /produkcja netto/. Waga czynnika płacowego podkreślona jest przez rosnącą barierę braku rąk do pracy oraz wysoko od lat 70-tych rosnącą rangę nieformalnego kryterium "spokoju społecznego" w ocenie kadry kierowniczej.

W kontekście pytania o reformę zasadnicze znaczenie ma to, że przedsiębiorstwa szybko nauczyły się eliminować innowacje technologiczne i organizacyjne spośród sposobów osiągnięcia swoich celów - prostsze i łatwiejsze okazały się inne metody. Nie nastąpiła zmiana orientacji z pionowej na poziomą, rynkową. Jeśli rodzi się jakaś przedsiębiorczość, to właśnie na osi pionowej, w grze z "centrum".

Brak dyrektywnego planu wyeliminował niewątpliwie część nonsensu gospodarczego, typowego dla realnego socjalizmu, ale ciągle każdy z nas może wskazać, na własnym podwórku, mnóstwo zachowań sprzecznych z tzw. zdrowym rozsądkiem. Jeśli zasady cenotwórstwa zachęcają do powiększania kosztów i obligują do obniżki cen w zamian za innowację poprawiającą rentowność, jeśli rośnie zapotrzebowanie na pracowników i materiały przy stabilnej, a nawet spadającej produkcji, to są to objawy nieuleczalnej choroby gospodarki w jej podstawowym ogniwie - przedsiębiorstwie.

PP: *Czy znaczy to, że przedsiębiorstwo działa niewątpliwie?*

J.M.: Żeby nie gmatwać pojęć odpowiem następująco: przedsiębiorstwo dąży do możliwie korzystnej w danych warunkach relacji między nakładami a efektami i w tym sensie działa racjonalnie i zgodnie z własnym interesem. Jeśli można się samofinansować drogą pokrywania ceną każdego kosztów, to obniżenie nakładów i poprawa jakości byłyby sprzeczne z regułami prakseologii. Taktyka przedsiębiorstw jest więc zasadna w danych warunkach, a ich krótki horyzont decyzyjny w pełni zrozumiały wobec niestabilności formalnych reguł gry.

Zrozumiałe jest także, że kadra kierownicza przyjęła taktykę przetrzymania reformy, co ujawniają oficjalne badania ankietne

towe. Wyłania się z nich portret zbiorowy dyrektora, który traktuje reformę jako zaburzenie w otoczeniu (niejasność reguł gry i niepewność przyszłości), okres zmian prowadzących w nieznany kierunku, a na tyle szybkich, że przekraczających możliwości przystosowawcze przedsiębiorstw.

PD: *Oczekiwam, że zmieni się sposób funkcjonowania "centrum" bez zmiany układu instytucjonalnego i presji społecznej, uszaleń już wcześniej za nierealne ...*

J.M.: Pewne zmiany jednak są i trzeba je odnotować: większa jawność prac rządu i organów administracji, m.in. publikowanie danych dotyczących planu kredytowego, budżetu czy zadłużenia. Rozszerzył się margines swobodnej dyskusji ekonomicznej. W połączeniu z upodobaniem do "konsultacji" i zainteresowaniem tzw. sygnałami wczesnego ostrzegania, świadczy to o większej wrażliwości władzy na społeczny odbiór poczynań gospodarczych i większej skłonności do ewentualnej autokorekty.

Nie ma to jednak nic wspólnego ani z rozszerzeniem bazy rządzenia ani z dostosowaniem organów centralnych do logiki regulacji rynkowej. "Centrum" nie musi liczyć się z logiką rynku, bo samo tworzy reguły gry gospodarczej. Co gorsza, często ta reguły łamie. Brak konsekwencji i niespójność stają się zrozumiem, jeśli - zamiast wrzucać wszystko do jednego worka - spojrzymy na "centrum" jako na obszar nieustającej gry różnych grup interesu. Nie zdziwi nas wtedy, że decyzje rozwojowe w branżach o największej sile przebicia zapadają nie jako element spójnego planowania, lecz w trybie nadzwyczajnym - tak powstały programy rozwojowe hutnictwa, górnictwa i energetyki, przyjęte zanim uchwalono plan ogólnogospodarczy na lata 1986-90. Spektakularnym przejawem niezdolności organów centralnych, w ich obecnym układzie, do działania zgodnego z koncepcją reformy, jest fiasko tzw. twardego finansowania, tworzącego presję efektywnościową na przedsiębiorstwa.

Tak samo jak przedsiębiorstwa, "centrum" woli osiągać swoje cele prostszymi i znanymi sobie metodami: poprzez rozdzielnicwo środków rzeczowych i finansowych oraz przez nieformalne układy personalne.

PP: *Jak zdefiniować powstały mechanizm gospodarczy, mimo wszystko różny od tradycyjnego systemu, nazywanego systemem nakazowo-rozdzielczym?*

J.M.: Nie trzeba wymyślać nowych określeń, skoro trafne znajdują się już w obłegu: wytworzył się system uzaniowo-przetargowy. Przesadą byłoby jednak ostre kontrastowanie tego, co jest z tym, co było w latach 70-tych. Bowiem już gospodarzka okresu "otwartych planów" charakteryzowała się dużym stopniem uzaniowości i nasileniem przetargu między "centrum" a przedsiębiorstwami. Wyeleminowanie w latach 80-tych formalnych dyrektyw zmieniło po prostu obszar przetargu. Dawniej toczył się on o rozmiary i strukturę obligatoryjnych zadań produkcyjnych oraz środki ich realizacji /limity/. Istnieje to nadal w sferze zamówień rządowych i branż wyjętych z zasady "3 x S", ale zasadniczy przetarg toczy się obecnie o reguły gry: parametry i normy finansowe.

W wyniku tego przetargu instrumenty polityki fiskalnej i monetarnej przestają być ogólnymi normami efektywności, a stają się indywidualnym /adresowym/ wykładem obciążań, wytargowanym przez poszczególne przedsiębiorstwa. Obiektywny rachunek ekonomiczny nie jest możliwy, zarówno po stronie "centrum" jak i po stronie przedsiębiorstw, układ parametrow pozostałe sztucz-

ny. Działanie przedsiębiorstw nie jest weryfikowane przez kontrahentów i konsumentów. Ocena przedsiębiorstw przenosi się na organy administracyjne, które z kolei, pozbawione miar obiektywnych, przykładają do działalności ekonomicznej kryteria polityczne.

Przetarg jest oczywiście bronią silniejszych. Bronią słabszych firm w stosunkach z organem założycielskim i bankiem jest manipulacja - gra wskaźnikowa, której pożywką jest nieprzejrzyta sytuacja i przeregulowanie systemu ekonomiczno-finansowego. Tak przetarg, jak i manipulacja zmierzają ostacześnie do efektu płacowego, tyle, że w tym drugim przypadku droga wiedzie przez ruchy asortymentowe lub nawet zysowe księgowo.

Mamy więc w Polsce nową, charakterystyczną dla obecnej fazy realnego socjalizmu, odmianę "gospodarki braku" - hybrydę, której na pewno nie oczekiwali autorzy koncepcji reformy z lat 1980/81.

6. SFERA REALNA

FP: Skoro nie przemówiła na korzyść reformy nasza diagnoza sposobu funkcjonowania gospodarki, to wypracujmy inne kryterium: statystyki produkcji i dochodu narodowego.

J.M.: Przydatność tego kryterium w naszych warunkach jest niewielka. Nie sposób pozytywnych czy negatywnych skutków reformy udokumentować statystycznie, nie można bowiem oddzielić czynnika reformy od innych uwarunkowań wyznaczających procesy w sferze realnej. Na marginesie: rozpoznanie zjawisk w tej sferze zostało utrudnione odkąd GUS zwolnił w roku 1984 przedsiębiorstwa z obowiązku sprawozdawczości w wielkościach porównywalnych.

FP: Ale po roku 1982 nastąpiło odwrócenie tendencji spadkowych w produkcji i dochodzie narodowym.

J.M.: Tak i jest to osiągnięcie gospodarze rządu, tyle, że ilościowy wzrost produkcji był przede wszystkim następstwem poprawy zasilania przemysłu w energię, surowce i materiały - metodami niezwykle kosztownymi z punktu widzenia społecznego. Wzrost ilościowy produkcji nie był wcale podsytkowany zadaniami poprym, lecz raczej nie zamierzonym i nie pożądanym skutkiem różnorodnego rodzaju barier i "wąskich gardeł". Zahanowanie trendu wzrostowego w drugiej połowie 1984 roku powinno być dobrą nauką dla rządowych propagandzistów reformy, podważających swoje tezy krótkookresowymi sukcesami ilościowymi.

Jedną już szczytą w sferze realnej dowodów reformy, to poprawa się ona objawia w harmonizacji wewnętrznej tej sfery, polepszeniu jakości i relacji efektywnościowych, nade wszystko w dostosowaniu produkcji do potrzeb ludności.

Jedną z tych zjawisk nie wystąpiło. O pogorszeniu relacji efektywnościowych, świadczy duża rozpiętość posiedzący indeksami produkcji czystej i globalnej. Energochłonność produkcji w Polsce rośnie, wbrew tendencjom światowym, zaś transportochłonność jest już 4-krotnie wyższa niż w krajach zachodnich. Zamiast poprawy jakości doświadczamy stałej "bubelizacji" produkcji. Reforma nie oddziaływała na wzrost eksportu, tym bardziej na poprawę jego opłacalności. Takie wyliczenia mogłoby kontynuować

ciowych nie pozwala odnaleźć w sferze relacji skutków reformy.

EF: *"Kronos nie braki tych czy innych dóbr konsumpcyjnych dowodzą, że lata 80-te nie pracowały błędnie koła produkcji dla produkcji" ...*

J.M.: Jest to oczywiście temat debaty ekonomicznej w Polsce ożywił w latach 1980/81, ale jak dotąd rażąco. Wspominając o tym oddajemy się jednak od tematu naszej rozmowy, bowiem - jak już wspomnieliśmy - reforma nie dotarła do sfery decyzji rozwojowych. Mechanizm ekonomiczny nie został w tym zakresie wypracowany. Brak tzw. restrukturalizacji majątku i produkcji, braku strategii w tym zakresie naszej gospodarki, braku w całości koncepcji ręcznego sterowania gospodarką. Oznacza ono w tym czasie odrywanie się w kierunku będącym wypadkową nacisków branżowych, profesji politycznych, czy nawet animozji personalnych, środków politycznej angażowania się, jak dalszej, w realizacji takich momentalnych czy niekonomicznych "pędów socjalizmu", w których symbolem stała się Huta Kutowieca.

Ważniejszy bilans tego "ręcznego sterowania", które trwa już ówczasty rok, jest wysoce niepokojący. Wadliwa, brzemienne o kryzys, struktura majątku produkcyjnego, powielana przez wadliwe kierunki inwestycji, dekapitalizacja części majątku, nierównowaga rynkowa i rosnący nawis inflacyjny, rosnące zadłużenie, rażąca eksploatacja zasobów naturalnych i pracy ludzkiej, zniszczenie środowiska, zaniedbanie tzw. infrastruktury społecznej, kulturalnej i naukowej, wreszcie rosnąca luka technologiczna między nami a krajami rozwiniętymi.

Wcześniej mówiłem o tych zjawiskach jako o ograniczeniach reformy. Teraz wracam do nich, gdyż stanowią one, z drugiej strony biorąc, rodzaj wyzwania, któremu metody administracyjne nie mogą sprostać. Obecny kryzys stwarza imperatyw rynku. Bez urynkowania grozi nam wieloletnia stagnacja, jakowy bieg gospodarki pozerającej zasoby niewspółmierne do efektów - następne pokolenia staną przed groźniejszymi barierami niż dzisiaj si reformatorzy.

7. INTERPRETACJA TEORETYCZNA

EF: *Rozwój wydarzeń w Polsce nie wskazuje chyba na realizację, potwierdzenie części niektórych tezy na temat reformowalności gospodarki realnego socjalizmu ...*

J.M.: Teoretycy posługują się w badaniu rzeczywistości społeczeństwa idealizowanymi modelami wadliwymi. W naszym przypadku modelem systemu nakazowo-władztwczego i modelem regulacji rynkowej. Reformę uważają w Polsce niemal wien inteligentów dwójki jako: Po pierwsze, ocenili - jak czyri to Luczak Białocwłoz - czy i na ile udało się zrealizować podstawowe zasady systemu nakazowo-władztwczego: dyskrytywność, rozdzielność wdrożenia i realizacji, strukturalizację, koncentrację, nomenklaturę wieloetapową, centralizację decyzji, bez usunięcia tych fundamentów niemożliwe jest bowiem i rzadko wyeliminowanie cech podanych system, takich jak: planowo-różniący, braki rynku, władztwo państwa, jednolitość cen, monopolizacja, będnymi od czasu tego ekonomicznego niewiódł...

Alternatywna metoda polega na ocenie stopnia przybliżenia do modelu rynkowego, 3) niwelowanie naczu: bez względu na tych zmian: powiązania poziome, szerokość zakładowa firm, odpowiedzialność ekonomiczna za decyzje, swoboda kontraktowania, cen, mobilność zatrudnienia, funkcjonalność rynku kapitałowego.

finansowego, cenotwórcza rola kursu walutowego itp.

Jedno i drugie prowadzi do wspólnego wniosku: dokonane w Polsce zmiany nie osiągnęły "masy krytycznej" - mierzonej czy to oddaleniem od modelu tradycyjnego, czy też przybliżeniem do modelu docelowego - która gwarantowałaby nieodwracalność reformy i pożądaną zmianę sposobu gospodarowania. Dla teoretyka rozwój sytuacji nie mógł więc być zaskoczeniem. W realiach politycznych lat 1982-85 niepowodzenie reformy było samosprawdzającą się prognozą.

PP: *Potwierdzaś zatem dość rozpowszechnioną tezę, że o sukcesie lub porażce reformy decyduwał układ sił politycznych. Ale czy - niezależnie od blokady politycznej - nie zawiniły błędy wariantowe reformy?*

J.M.: Błędy były. Chyba najważniejszym było skupienie uwagi na statusie przedsiębiorstwa, przy zaniedbaniu mechanizmu regulacji rynkowej. Każdy mógł się przekonać, że osławione "3 x S", będące stanami formalnymi, same z siebie nie sprawiają cuda - nie są czynnikami presji na efektywność o ile nie łączą się z racjonalną weryfikacją /z upadłością włącznie/ nakładów i efektów pracy przedsiębiorstwa na rynku. Ale jeżeli zechcemy poszukać przyczyn tego "błędu warsztatowego" i wielu innych /np. system PFAE w 1982 roku/, to prędzej czy później natrafimy na czynniki polityczne.

PP: *Czy konsekwentna realizacja "Kierunków reformy gospodarczej" z roku 1981 gwarantowałaby osiągnięcie owej "masy krytycznej" zmian, o którą chodzi?*

J.M.: Jest to pytanie, którego nie dane nam było rozstrzygnąć w praktyce. Zresztą "Kierunki" nie były dokumentem dającym skończony projekt docelowy. Były pierwszym przybliżeniem, które w toku właściwej reformy, należałoby testować i korygować, usuwając wyraźne luki koncepcyjne /np. wyrównanie warunków startu przedsiębiorstw/. O ile tradycyjny model gospodarczy realnego socjalizmu wywodzący się z okresu stalinowskiego, został dobrze rozpoznany i sportretowany, to w kwestii modelu, który przewidywałby "gospodarkę braku" a jednocześnie nie był wykluczony politycznie, ideologicznie czy geopolitycznie, istnieje wielki znak zapytania. Cóż, że można założyć, iż musi to być model mieszany - czerpiący sprawdzone rozwiązania z różnych stron. Wiemy także, że wspólnym mianownikiem dotychczasowych reform w Europie Wschodniej była próba umocnienia roli pieniądza i że nigdy się to nie udało: zawsze pierdząc wracając do roli wtórnej - biernego rejestratora procesów rzeczowych. Wydaje mi się, że pożądaną przerwą efektywnościowy nie nastąpił, o ile nie rozwiąże się kwestii podstawowych: musi powstać integralny rynek to znaczy "system naczyń połączonych", złożony z rynku towarowego, kapitałowego i rynku pracy, natomiast środki produkcji muszą znajdować się w rękach realnego właściciela odpowiedzialnego ekonomicznie za swoje decyzje. Czy jest to w tej części Europy możliwe? Można się spierać - ale nie sądzę żeby wykluczyć, bo trzeba by wykluczyć takie "odstępstwa" od normy jak: 3/4 ziemi w rękach prywatnych, msza święta na antenie radiowej, powszechność niecenzurowanych druków itd.

8. CO DALEJ

PP: *Zbliżamy się do końca rozmowy. Pora na bilans reformy ...*

J.M.: Po stronie pozytywów mamy pierwszą w dziejach powojennych Polski, w miarę kompleksową, regulację ustawową, oznaczającą formalny kierunek planowania dyrektywnego i znaczne usamodzielnienie przedsiębiorstw. Taki zakres zmian, wprowadzony np. 10 lat temu, powitalibyśmy z uznaniem, byłby miłym zaskoczeniem. Mamy jednak koniec roku 1985, za sobą Sierpień roku 1980 - inny pułap oczekiwań i inny poziom wyzwania cywilizacyjnego. Dzisiaj to nie wystarcza.

Reforma zrodzona z Umowy Społecznej, jako proces demokratyzacji i racjonalizacji systemu, zamieniona została wraz ze stanem wojennym w zespół działań ujawniających w miarę upływu czasu coraz silniejsze podporządkowanie grze politycznej, a nie racjonalności ekonomicznej. Reforma formalnie niby jest, ale jej literę wykoślawiono, zaś ducha zgubiono.

PP: *Czy zmiany zapowiedziane na rok 1986 oznaczają jakiś przełom?*

J.M.: Scenariusz rzeczywistego urynkowania gospodarki, nakreślony np. w raporcie "Polska 5 lat po Sierpniu" jest w obecnych realiach politycznych pobożnym życzeniem, a tylko on oznaczałby przełom. Z oficjalnych zapowiedzi wynika, że władze się tego scenariusza wyrzekły. Kontynuowana będzie kaleka, ale wygodna dla biurokracji, manipulacyjna wersja "reformy". Jakże nieistotne jest na przykład uchwalenie ustawy antymonopolowej, wobec otwartej zapowiedzi tworzenia koncernów, kombinatów i innych form temu podobnych. Symbolem wracającego do starej normy układu naszego gospodarki jest twór o nazwie "Megat", istniejący od października br., likwidujący "3 x S" /a nawet osobowość prawną/ tak znanych firm jak "Zamech" czy "Dolmel".

Najbardziej prawdopodobnym kierunkiem rozmycia reformy w drugiej połowie lat 80-tych jest jej "poszatkowanie" i "ubranżowanie" - doprowadzenie do takiego stanu, w którym każda branża, ba każde przedsiębiorstwo, będzie funkcjonowało w odrębnym /zmiennym i nieprzejrzystym/ otoczeniu reguł formalnych i nieformalnych.

PP: *Czy istnieje niebezpieczeństwo otwartego odwrótu od reformy?*

J.M.: Teoretycznie takie niebezpieczeństwo istnieje, bo kręgi otwarcie wrogie wszelkim zmianom, przede wszystkim ograniczonej nawet samodzielności i samorządności przedsiębiorstw, dają znać o sobie -choćby w czasie tzw. "narały poznańskiej" zwołanej w maju 1985 r. i wielu innych narał "aktywu". Głosy domagające się przywrócenia "socjalistycznego" charakteru przedsiębiorstw znajdują wyraz w niektórych aktach prawnych /np. Uchwała Rady Ministrów z 19.03.1985 r w sprawie realizacji przez przedsiębiorstwa społecznych zadań na rzecz załóg/. Największym jednak zagrożeniem jest pogłębiająca się niewydolność gospodarki, która może skłonić rząd do sięgnięcia po paramilitarne metody działania.

Uważam jednak otwarty odwrót od "reformy" za mało prawdopodobny. Bardziej prawdopodobne i bardziej opłacalne dla władzy jest pozostawienie szyldu. Kryzys tradycyjnych fikcji /uspołecznienie, produkcja dla zaspokojenia potrzeb, racjonalne planowanie/ będzie "rozwiązywany" metodą mnożenia fikcji /"3xS", samorządność/.

PP: *Czy trwające w różnych formach oporu społeczeństwo może zwiększyć szanse autentycznej reformy gospodarczej?*

J.M.: Jest to problem na osobną rozmowę, którą może kiedyś odbędziemy. Dzisiaj - już na zakończenie, tylko parę zdań. Nie ulega dla mnie wątpliwości, że "przełomowa" reforma gospodarcza może udać się tylko jako dzieło wspólne. Nie jest w stanie tego dokonać osobno ani rząd ani też jakikolwiek ruch czy organizacja, działająca wbrew państwu. Warunkiem powodzenia reformy jest zgoda narodowa co do wizji docelowej i sposobu jej realizacji.

Wyrzekając się zasady "im gorzej tym lepiej" musimy uznać każdą dawkę zmian za stan korzystniejszy od systemu nakazowo-rozdzielczego. Nie stanowi to jednak dużego pocieszenia. Trzeba nadal rozwijać pracę koncepcyjną, edukacyjną, tworząc - choćby na zapas realne rozwiązania i społeczne zaplecze rynkowej reformy gospodarczej. W sferze działań gospodarczych nie mamy dziś dużych możliwości. Wypełniając owe stosunkowo niezależne pola działalności, które wskazał Lech Wałęsa w swym wystąpieniu z 7 marca 1984 roku /samorząd pracowniczy, spółdzielczość, rzemiosło, rolnictwo indywidualne/ robimy wiele, ale nie jesteśmy w stanie powstrzymać cywilizacyjnej degradacji kraju.

Musimy jednak pamiętać, że obowiązek działania dla Polski ciąży na każdym z nas. Pretensji o taki czy inny bieg minionych zdarzeń historycznych i tak nikt nie wysłucha, dlatego zamiast wyliczać trudności i przeszkody należy raczej "bez strachu ale z rozwagą" zmierzyć się z naszymi problemami i realizować nasze zamierzenia, bo nikt inny za nas tego nie zrobi.

EP: Dziękujemy za rozmowę.

Grudzień 1985

Andrzej Richert

PIERWSZY KRYZYS INTERWENCYJNY

Zakończenie pierwszego powstania od sierpnia 1980 r. kryzysu rewolucyjnego w Polsce zarejestrowaniem "Solidarności" w początkach listopada 1980 (tzw. kryzys rejestracyjny) niosło - wydawałoby się - nadzieję na okres spokojniejszy. Konflikty, głównie na tle prawnym, dotyczyły jedynie kilku grup zawodowych (m.in. kolejarzy i związków). Jednak okres erozyjnego spokoju nie trwał długo - wkrótce dokonał się wypadek, przegwałtał ponownie gwałtowne napięcia społeczne w Polsce.

20 listopada Służba Bezpieczeństwa przeprowadziła rewizję w siedzibie NNS "Mazowsze" i zakwestionowała powielany tam tajny dokument Prokuratury Generalnej *Uwagi o politycznym nasadach i planie restrukturyzacji nielegalnej działalności antysocjalistycznej do uszczelnienia wykorzystania w pracy politycznej i zawodowej* zawierający omówienie sposobów walki władz z organizacjami, ruchami społecznymi, środowiskami społecznymi, które miały swój udział w powstaniu NSZZ "Solidarność": Ksiądz KOR, Ruch Obrony Praw Człowieka i Obywatela, Konfederacja Polscy Niepodległej, Ruch Młodej Polski i inne. Następnego dnia aresztowano pracowników powielarni "Mazowsza", Jana Narocińskiego, co wywołało protest "Solidarności", która zażądała również wypuszczenia z aresztu Leszka Moczulskiego i innych działaczy KPN.

Innym powodem wzrostu napięcia było nasilenie się trwającego od wielu dni konfliktu kolejarzy z "Solidarności" z rządem, spowodowanego niedotrzymaniem przezeń porozumienia w sprawach płacowych. 20 listopada rozpoczęła się akcja protestacyjna, choć ruch pociągów na razie odbywał się bez zakłóceń. Wobec braku skuteczności akcji ostrzegawczej, 22 listopada Międzyokręgowa Komisja Porozumiewawcza Kolejarzy NSZZ "Solidarność" zapowiedziała - w wypadku niespełnienia przez rząd zobowiązań - przeprowadzenie 24 i 25 listopada drugiej fazy strajku ostrzegawczego: na dwie godziny stanąć miały koleje podmiejskie w Gdańsku i w Warszawie.

Tekst niniejszy jest fragmentem rozdziału pracy dotyczącej najnowszej historii Polski (1980-81) w aspekcie międzynarodowym. Wybraliśmy część opisującą sytuację wokół naszego kraju jesienią 1980 r., rezygnując z partii tekstu naświetlającej ogólnosiątkowe problemy polityczne tamtego czasu (m.in. kwestie afgańska, kampańska czy wojnę irańsko-iraacką) oraz ich związek ze sprawą polską. Za zgodą Autora zrezygnowaliśmy z przypisów.

W tym czasie gazety NRD i Czechosłowacji oceniały w obszernych materiałach - sytuację w Polsce coraz bardziej krytycznie. Prasa czechosłowacka rozpisywała się o nacisku ekonomicznym Zachodu na Polskę, o przyznaniu Polsce przez Stany Zjednoczone szczególnych przywilejów, co miało ją związać mocniej z Zachodem i doprowadzić do stopniowego osłabienia socjalizmu. Wspominała też o przestrodze Amerykanów że polityka represyjna władz PRL znajdzie podstawę współpracy z USA. "Neues Deutschland" atakował Lecha Wałęsę, stwierdzając, że jest nieodpowiedzialny, operuje frazesami, opiera się na fantazji, specjalizuje się w umiejętności wręczania wobec odprężenia, podziela poglądy Sołżenicyna i ma przyjaźnię m.in. we włoskiej partii neofaszystowskiej MSI; zresztą wszystko, co zrobił do tej pory, to dopiero początek - jego apetyty są o wiele większe.

24 listopada, po aresztowaniu Piotra Sapeły (pracownika Prokuratury Generalnej, który przekazał tajny dokument Związkiowi) i niespełnieniu żądań uwolnienia jego, Narodzińskiego oraz innych działaczy przetrzymywanych z przyczyn politycznych, wybuchły strajki w kilku ważnych zakładach przemysłowych regionu "Mazowsze". Wstrząsnęły wówczas zostali - zgodnie z zapowiedzią - ruch pociągów polsko-szkickich w Warszawie i Gdańsku. Do wzrostu napięcia przyczyniła się też wieść branżowych związków zawodowych w warszawskiej hali "Wardnia" odwołany pod hasłem "Nie chcemy być w ścianie wzniesienia i nacisku".

Też te konflikty miały się. Jednak reakcja władz radzieckich, 25 listopada przekażala prasa, była nieproporcjonalna do przyczyn i skutków. 24 listopada Moskwa stwierdziła, że w Polsce zaistniała groźba strajka powszechnego w transporcie, to zaś godzi w interesy narodowe, interesy bezpieczeństwa kraju, naruszyć może szlaki tranzytowe biegnące przez terytorium Polski. Było to najostreższe z dotychczasowych oświadczeń radzieckich dotyczących Polski od sierpnia '80. Niepokojąco brzmiały sformułowania: *interesy obronne, zagrożenie tranzytu*. Na Zachodzie ponownie wzrosło zaniepokojenie sytuacją w Polsce.

Konflikt władz z MKZ "Mazowsze" i całą "Solidarnością" szybko zanożował środki masowego przekazu krajów socjalistycznych. Rozwijali one kampanie wyrażać wznagającą zamieszanie wokół naszego kraju. I tak np. wschodnio-niemiecka "Die Weltweit" obarczała "Solidarność" zarzutem działalności kontrrewolucyjnej i nawoływała do postrośnienia Białzku. 30 listopada w dramy ycznym tonie o sytuacji w Polsce mówił Erich Honecker, podkajając znaczenia stabilizacji sytuacji w Polsce.

25 listopada szereg konfliktów powiększył się. W regionie warszawskim trwał stan niepokojów strajkowej, nadal strajkowały niektóre wydziały wielkich zakładów stolicy. Delegacja "Mazowsza" negocjowała z wicepremierem Miroszysławem Jacielisim, rozszerzając żądanie pakietu postulatów. Żądano już nie tylko uwolnienia aresztowanych, ale także ujawnienia i ukarania autorów dokumentu Prokuratury Generalnej, pilnego powołania komisji sejmowej, która zbadając "Solidarność" zbada praworządność funkcjonowania prokuratury, MO i SB, ujawnienia i osądzenia odpowiedzialnych za przestępstwa wobec robotników w czasie wydarzeń grudniowych i czerwcowych, ujawnienia materiałów tzw. komisji Szydłaka, ograniczenia budżetów i przeprowadzenia kontroli wydatków w MSW i Prokuraturze Generalnej. Jażkolwiek rząd podjął we Wrocławiu rozmowy z protestującymi kolejarzami, to jednak w innych branżach, i regionach napięcie wzrastało: strajkowały kopalnie na Górnym Ślą-

ku, "Solidarność" okupowała budynki starych związków w Radomiu, w Gdańsku protestowała spółdzielczość inwalidzka.

Opadająca 16 listopada w Gdańsku Krajowa Komisja Porozumiewawcza poparła region "Naszysz" stanczewo i jednoznacznie. Istniało niebezpieczeństwo, że w stolicy może rozpocząć się strajk powszechny. Jednak w nocy z 26 na 27 listopada zwolniono daleką poręczą Stafana Bratkowskiego Naroźniaka i Sapożkę. Mimo to "Warcstawa" kontynuowała strajk żądając rozmów na temat generalnych problemów praworządności w Polsce. Pod naciskiem przywódców związku, ogólnicy się do niebezpieczeństwa zewnętrznego, strajk zakończony 28 listopada 1980. Jedną z konfliktów zakończono, lecz polowały się następne. Osiągnięto porozumienie placowa z kolarzami "Solidarności" i drukarniami, trwały jednak protesty górników oraz studentów dobijających się o prawo do wykształcenia - w rejestracji PIS-u. Generalnie jednak, w ostatnich dniach listopada, napięcie opadło.

W tym wyjątkowym okresie doszło do szeregu kontaktów międzynarodowych na wysokim szczeblu. Do Polski przybył minister spraw zagranicznych Czechosłowacji Lubomír Chmielek. Przyjeździe został przez St. Kłosa i Marię Sachodnie doniesienia agencyjne spekulowały na temat domniemych ostrzeżeń kierowanych tą drogą do przywódców PZPR. Do Budapesztu wyjechał sekretarz KC Tadeusz Grabowski, który rozmawiał z sekretarzem KC WPK Nemethem oraz sekretarzem generalnym węgierskiej Krajowej Rady Związków Zawodowych Sandorem Gasparem.

Wokół Polski cały czas utrzymywała się napięta atmosfera. 28 listopada "Prawda" informowała o spotkaniu weteranów Wojska Polskiego i żołnierzy - Polaków służyących w Armii Czerwonej w okresie II wojny światowej. W relacji mowa była o potępieniu działalności antysocjalistycznej w Polsce, domaganiu sięapanowania anarchii, wyrażeniu gotowości podjęcia każdego działania w imię dobra socjalistycznej ojczyzny. Tego dnia krytykę "Prawdy" w demagogicznym podjęł Brian Francuskich komunistów "L'Humanite". 29 listopada ukazał się w "Rudym Pravie" artykuł - przedrukowany następnego dnia w "Prawdzie" - ostrzegający, że próby podważenia internacjonalistycznej solidarności wspólnoty socjalistycznej zakończą się niepowodzeniem. Zdaniem autora artykułu w Polsce powstał i umacnia się antysocjalistyczny i agresywny ruch związkowy, lecz należy mieć nadzieję, że siły socjalistyczne zrobią wszystko, aby uchronić 35-letni dorobek socjalizmu w Polsce. Rady komunistów z Czechosłowacji stawały się coraz bardziej natarczywe: bratysławskie "Prawda", solidaryzując się z wiecem w nali "Gwardii" stwierdzała, że PZPR znajdując się w stanie konfrontacji z przeciwnikami nie może zajmować stanowiska wycofującego i zbyt cierpliwego; należy przejść do ofensywy. W ostatnim dniu listopada do głosów tych przyłączyła się również kubańska agencja "Prensa Latina", powtarzając zarzuty sformułowane wcześniej przez komunistów radzieckich, czeskich, słowackich i niemieckich.

Tymczasem na Zachodzie rósł niepokój. Temat polski omawiano 20 i 21 listopada na posiedzeniu Zgromadzenia Atlantyckiego w Brukseli. Był on szeroko dyskutowany w Komisji Politycznej Zgromadzenia. 25 listopada kanclerz Helmut Schmidt w deklaracji rządowej, zawierającej wolę nieprzerwywania dialogu ze Wschodem, zażądał wycofania wojsk radzieckich z Afganistanu i zapowiedział, że odprężenie nie wytrzyma tego rodzaju ciosu, jakim byłaby interwencja w Polsce. Zapewnił równocześnie, że rząd RFN nie będzie ingerował w wewnętrzne sprawy Polski i nie chciałby, by jego pomoc dla naszego kraju była tak odbierana. W dwa dni później korespondent PAP-a

donosił z Waszyngtonu o panującej tam nerwowości w związku z sytuacją w Polsce, o zamieszaniu wokół konferencji prasowej w Departamencie Stanu dnia poprzedniego. Departament Stanu zaprzeczył później, jakoby wysłuchał ostre ostrzeżenia pod adresem "BRK", jednocześnie wyrażając pesymizm co do szybkiego rozwiązania polskich problemów. Deklarowano dalszą wstrzeźliwość w stosunku do wydarzeń w Polsce i wyrażano nadzieję, że inni postępować będą podobnie. Powracający z wizyty w Moskwie /26-28 listopada/ senator Charles Percy przestrzegał, że użycie siły w Polsce spowoduje wzrost wyścigu zbrojeń.

Na Zachodzie z uporem powtarzano żądanie nieingerencji w wewnętrzne sprawy Polski. Czynnikiem m.in. Klaus von Dohnanyi, minister stanu w rządzie RFN, który - powołując się na Akt Końcowy KBWE w Helsinkach - stwierdzał, że *wszelka ingerencja byłaby niedopuszczalna, niezależnie od kierunku jej pochodzenia.*

*

W ostatnich dniach listopada sytuacja w Polsce uspokaja się; duże zakłady Warszawy wracają do pracy. Pierwszy tydzień grudnia minął na arenie wewnętrznej bez specjalnych napięć, mimo że pozostał pakiet negocjacyjny, zawierający postulaty "Solidarności" w zakresie prowadzenia, gdyż kierownictwo Związku odstąpiło na razie od żądania pryncypialnego najbardziej drażliwych spraw "systemowych" oraz kwestii odpowiedzialności za wydarzenia kryzysowe ubiegłych lat. Wpływ na to z pewnością miała pogarszająca się sytuacja zewnętrzna kraju. 29 listopada MKZ "Mazowsze" apelował już o normalną pracę.

Mimo doraźnego załagodzenia konfliktu już po raz drugi - po sporze rejestracyjnym - "Solidarność" angażowała się w kwestie polityczne i ustrojowe.

W dniach 1-2 grudnia odbyło się VII plenum KC PZPR. Podczas jego obrad nowe kierownictwo wykazywało, że "linia odnowy" wcielana jest w życie; wyrażać się to miało choćby w dymisjach udzielanych wielu członkom aparatu partyjnego. Z drugiej strony KC podjęło krytykę "Solidarności" za organizację strajków o charakterze politycznym i wykraczanie w swej działalności poza określone w statucie ramy. Atakowano ostro "siły antysocjalistyczne" i "radykałów" Związku. Minister spraw wewnętrznych Mirosław Milewski sugerował, że władze nie są już w stanie kierować zakładami pracy, a kraj zalewa antypaństwowa propaganda. Odezwa KC do społeczeństwa oceniała sytuację w Polsce w dramatycznych słowach. *W ostatnim Biuletynie Politycznym zadania partii w interesie socjalistycznego charakteru i społecznego wyrażenia zrozumienia dla międzynarodowej troski i niepokojów, jakie w brzoźnie polskich warunków sytuacja w Polsce. Tak więc ton panujący na plenum nie powodował zaznaczający się od kilku dni spadku napięcia, a raczej współbrzmiał z oświadczeniami i relacjami podawanymi przez prasę bloku socjalistycznego.*

Pomimo względnego uspokojenia sytuacji w kraju, napięcie wynikające z zewnętrznego zagrożenia Polski wzrastało. 30 listopada amerykańska sieć telewizyjna CBS nadała półgodzinną dyskusję na temat sytuacji w Polsce. W związku z możliwością radzieckiej inwazji, senator Percy ostrzegł przed budzeniem w Polakach fałszywych nadziei. Uważał, że tak właśnie mogą być odbierane amerykańskie ostrzeżenia skierowane pod adresem Związku Radzieckiego, a dotyczące ewentualności interwencji w Polsce. Z punktu widzenia interesów USA sytuacja w Łotwie Perskiej jest ważniejsza od sytuacji w Polsce, w związku z którą Amerykanie na pewno nie podejmą żadnej lekkomyślnej

tezy. Połobne tezy wysuwała pras zachodnia: niemożliwa jest bezpośrednia reakcja militarna na wkroczenie wojsk radzieckich do Polski. Nie leży w interesie NATO obrona jednego członka Układu Warszawskiego przed drugim. Wyciuc można było zaniepokojenie polityką "Solidarność" zwiększającej - zdaniem tej prasy - ryzyko zakłamania się dotychczasowego układu sił. Stwierdzano, że "Solidarność" po ostatnich wydarzeniach w Warszawie przyjmuje rolę podmiotu politycznego. 30 listopada wypowiedział się na ten temat przedstawiciel nowej administracji amerykańskiej, doradca RONALDA REAGANA, EDWIN MESSE. Oświadczył on, że nowa administracja waszyngtońska będzie się konsultować z sojusznikami USA w sprawie potencjalnego zagrożenia dla pokoju, jakie stanowiłaby radziecka interwencja w Polsce.

Obawy Zachodu co do możliwości inwazji radzieckiej na Polskę nie malały. W środowisku rzecznik radzieckiego ministerstwa spraw zagranicznych komentował informację o rzekomej mobilizacji w strefach przygranicznych ZSRR, a szczególnie w pobliżu granicy z Polską. Armia Czerwona, oświadczyła, nie jest w stanie gotowości. Jednak tego samego dnia dowództwo wojsk radzieckich w NRD zakazało członkom zachodnich misji wojskowych wstępu na tereny NRD graniczące z Polską. Środki masowego przekazu w Europie Wschodniej donosiły o obradach VII plenum KC PZPR, eksponując sprawę "walki z przeciwnikiem politycznym" i obronę socjalizmu w Polsce jako najważniejszego zadania. Praski dziennik telewizyjny przyniósł komentarz na temat zachodniej ingerencji w wewnętrzne sprawy Polski m.in. poprzez wykorzystywanie braku doświadczenia ludności, nacjonalizmu i religijności Polaków.

Tworzonego w ten sposób stanu napięcia wokół Polski nie osłabiła informacja z 2 grudnia o przyznaniu przez Związek Radziecki Polsce kredytu w wysokości 1 miliarda dolarów, tym bardziej, że tego samego dnia TASS w niezwykle ostry sposób zaatakował Zbigniewa Brzezińskiego - osobistość numer jeden w administracji CARTERA, doradcę do spraw bezpieczeństwa państwa. Zarzucono mu, że wzywał polskie siły opozycyjne do stawiania zbrojnego oporu. Na spotkaniu, gdzie wg TASS-a miał sformułować to wezwanie, sprawę kredytów dla Polski miano wiązać z jej przystąpieniem do Międzynarodowego Funduszu Walutowego i ustanowieniem faktycznej kontroli Stanów Zjednoczonych nad polską gospodarką. Na amerykańskie dementi, 3 grudnia potwierdzono raz jeszcze te zarzuty: Brzeziński wezwał, aby polskie siły opozycyjne stawiały opór władzom. Stanowiło to, w radzieckiej opinii, akt bezpośredniej ingerencji Stanów Zjednoczonych w wewnętrzne sprawy Polski. Moskwa twierdziła, że istnieją dowody, które ujawni się, jeśli strona amerykańska będzie się tych faktów wypierała.

W dniach 1 i 2 grudnia obradowała Rada Europejska gromadząca przywódców dziewięciu państw EWG. Sprawa polska była jednym z najważniejszych punktów obrad. Komitet Wspólnoty Europejskiej otrzymał zalecenie pozytywnego ustosunkowania się do zgłoszonych przez Polskę próśb o kredyty żywnościowe. Nie ustalono co prawdy kwot kredytowych, chociaż rozważano możliwość sprzedaży Polsce mięsa i masła po cenach o trzydzieści procent niższych od cen eksportowych. Rozważano również kwestię ulg w spłacie przez Polskę jej zadłużenia. W deklaracji Rada wyrażała sympatię dla sprawy polskiej i zapowiadała przestrzeganie ze swej strony - w stosunkach z Polską - Karty Narodów Zjednoczonych i zasad Aktu Końcowego Konferencji Helsińskiej. Deklaracja przypominała, że jego sygnatariusze zobowiązali się respektować prawo każdego kraju do swobodnego wyboru systemu politycznego, gospodarczego, społecznego i uznali prawo

Breżniew nie odpowiedział na przesłanie Cartera. Był to pierwszy tego rodzaju wypadek. Amerykański prezydent zwrócił się również do Indii i Indonezji w sprawie sprawy polskiej; podczas zbliżającej się wizyty Breżniewa w Nowym Delhi.

W pierwszych dniach grudnia wypowiadali się w sprawie Polski przywódcy wielu państw i inni wybitni politycy, m.in. M. Thatcher, lord Carrington, J. Wilberforce, H. Beker, M. Mc Guigan. Wszyscy oni podkreślali prawo Polaków do samodzielnego rozwiązywania swych problemów oraz wyrażali zaniepokojenie międzynarodowymi skutkami ewentualnej inwazji Armii Czerwonej. Treść oświadczenia Cartera poparł następnego dnia doradca Ronalda Reagana, R. Allen. Henry Kissinger wypowiadając się 3 grudnia w sprawie Polski zauważył, że USA i Europa Zachodnia będą zjednoczone w swej reakcji na radziecką interwencję. Niemiecki ambasador w Waszyngtonie powiadomił Biały Dom, że RFN podejmie sankcje ekonomiczne wobec Związku Radzieckiego w przypadku jego interwencji w Polsce. Administracja USA oceniła ten fakt jako poważne wzmocnienie polityki odstraszania ZSRR, biorąc pod uwagę skalę dotychczasowych zachodniemieckich kredytów i handlu z Moskwą.

Oświadczenie Rady Wojskowej MON z 3 grudnia o zagrożeniu ładu społecznego, funkcjonowania państwa i jego obronności wznagało tylko napięcie i potęgowało atmosferę zagrożenia wiszącego nad Polską. 4 grudnia rzecznik prasowy KKP NSZZ "Solidarność", Karol Modzelewski wyjaśniał, że wbrew alarmistycznym ocenom VII plenum partii nie ma obecnie w Polsce żadnych strajków czy innych akcji protestacyjnych. Także kierownik Wydziału Ideologicznego KC PZPR Walery Namotkiewicz potwierdzał, że w kraju od kilku dni panuje spokój.

Wypowiedź Józefa Klasy, kierownika Wydziału Radia, Prasy i Telewizji KC po spotkaniu z dziennikarzami zagranicznymi zażądała jednak złowieszczo. PZPR nadal liczy na rozwiązanie kryzysu w Polsce bez ingerencji z zewnątrz - mówił Klasa. Ale w razie bezpośredniego zagrożenia socjalizmu, partia zastrzega sobie prawo zwrócenia się o pomoc do przyjaźni. Po raz pierwszy więc wysoki funkcjonariusz partyjny stwierdzał publicznie, że partia w ochronie swej władzy może poprosić inne państwo o pomoc.

4 grudnia Związek Radziecki ponownie zaprzeczył informację o koncentracji rezerwistów radzieckich na granicach polskich. Rzecznik radzieckiego MSZ stwierdził, że stacjonujące tam wojska wykonują "normalne czynności". Na przekór tym uspokajającym wypowiedziom w prasie radzieckiej nadal dominował alarmistyczny ton w prezentowaniu zagrożenia socjalizmu w Polsce. Korespondent "Izwestii" tego samego dnia donosił z Bonn, że środki masowego przekazu RFN próbują wpłynąć na wydarzenia w Polsce. Telewizja i część prasy nawołują do obalenia ustroju socjalistycznego w Polsce, zerwania sojuszu z ZSRR, wystąpienia z Układu Warszawskiego. Chodzi zatem o likwidację zdobytych socjalizmu. Towarzyszy temu aktywizacja rewizjonizmu niemieckiego, odwetowców. Żąda się zwrócenia Śląska i Prus Wschodnich. Powstał sojusz sił odwetowych w Niemczech Zachodnich z siłami antysocjalistycznymi w Polsce. Gazeta postuluje się przykładami: przedstawiła m.in. "program re-prezentacji Wolnego Miasta Gdańska".

4 grudnia Zbigniew Brzeziński mówił o interwencji radzieckiej jako sprawie możliwej, aczkolwiek nieprzesądzonej. Stronie radzieckiej na rękę może być przeciwdziałanie o możliwości interwencji wojskowej w Polsce; stwarza to bowiem nacisk psychologiczny i potęguje zastraszanie. 5 grudnia, kiedy napięcie osiągnęło swój zenit, kiedy wydawało się, że w każdej chwili może nastąpić inwazja,

Brzeziński wezwał polskich robotników, Kościół i władzę PRL do umiaru i nakłaniał do gotowości przyjęcia kompromisu. Wyrażał nadzieję, że Polska nie stanie się jednak obiektem radzieckiej interwencji.

5, 6 i 7 grudnia są krytycznymi dniami kryzysu interwencyjnego. W Polsce panował względny spokój. Kraj żył takimi sprawami, jak rozwiązanie CRZZ, przygotowania do reorganizacji żywności i zaopatrzenie na okres świąteczny, zakaz wyświetlania filmu "Robotnicy '80", przygotowania do odsłonięcia Pomnika Poległych Stoczniołców w Gdańsku.

5 grudnia wywiad amerykański przekazał do Biażego Domu informację o dużej ilości dywizji radzieckich, które przygotowują się do wkroczenia do Polski, prawdopodobnie - jak sugerowano - w poniedziałek, 8 grudnia.

W takiej atmosferze rozpoczynało się tego dnia na Kremlu spotkanie przywódców siedmiu państw-członków Układu Warszawskiego. Był to kulminacyjny punkt napięcia - być może właśnie to spotkanie zadecydowało o późniejszych losach sprawy polskiej. W obradach uczestniczyli również niektórzy funkcjonariusze odpowiedzialni za bezpieczeństwo państwowe w krajach socjalistycznych /Jurij Andropow, Mirosław Milewski, Erich Mielke/. Ważnym, być może najważniejszym problemem obrad była kwestia jedności współzawodowego, jak i rozwoju sytuacji w Polsce. Komunikat z obrad mówił, że przedstawiciele PZPR poinformowali uczestników spotkania o rozwoju sytuacji w Polsce i programie działania polskiej partii wynikającym z trzeciego VII plenum KC PZPR. W dokumencie wyrażano nadzieję, że przywódcy PRL przezwyciężą aktualne trudności i że Polska pozostanie państwem socjalistycznym związanym z całym blokiem. Uczestnicy spotkania zapewnili polskich komunistów o gotowości przysięcia im z pomocą. Wiadomo skądinąd, że strona radziecka /oraz prawdopodobnie inni przywódcy państw Układu Warszawskiego/ podkreślała swoje zaniepokojenie w związku z rozwojem "działalności kontrrewolucyjnej" w Polsce. Uwagi radzieckie dotyczyły potrzeby obrony pozycji partii, trudnej sytuacji masowego przekazu, osłabienia autorytetu organów ochrony porządku publicznego. To samo źródło podaje że polscy przywódcy zgadzali się z poglądami strony radzieckiej we "wszystkich podejmowanych kwestiach". Hipotetycznie można stwierdzić, że tematem rozmów mogły być i inne kwestie, znajdujące swoje odbicie w licznych enuncjacjach radzieckich na tematy polskie /np. charakter związków zawodowych, ocena siły pozycji politycznej, skala nastrojów antyradzieckich, sprawa polska na tle sytuacji międzynarodowej/.

O stanowisku przywódców radzieckich pośrednio świadczy stanowisko Karamii. Organ KC PZPR "Scintei" w swoim komentarzu poświęconym zarzuceniu szczytu moskiewskiego wiele miejsca poświęcił sprawie polskiej. W tekście wyrażono pełną solidarność z komunistami polskimi, kłopoty do ich woli i umiejętności działania, przede wszystkim zaś podkreślano suwerenność Polaków /komunistów polskich/ w rozwiązywaniu swych własnych problemów. Przedstawienie tego poglądu na łamach "Scintei" w kontekście wyników szczytu moskiewskiego sugerować może chęć zaznaczenia odrębności stanowiska partii rumuńskiej od stanowiska Moskwy.

Szczyt moskiewski był zatem krytycznym momentem kryzysu listopadowo-grudniowego. Interwencja nie nastąpiła - w świetle tego go wynik spotkania był dla sprawy polskiej niewątpliwie pozyty-

wny. Ostatecznie liczyło się dalsze zaufanie, jakim zostało oddane polskie kierownictwo "w dziedzinie obrony systemu socjalistycznego". Zaufanie to uzyskano dzięki osiągnięciu zgodności poglądów co do charakteru wydarzeń i złożenia obietnicy przez komunistów polskich przeprowadzenia niebezpieczeństwu.

W dniu, w którym ważyły się losy sprawy polskiej, Departament Stanu odrzucił radzieckie oskarżenia o wznowienie przez Stany Zjednoczone napięcia w Polsce /w związku z oświadczeniem Cartera z dnia 3 grudnia/. E.Muskie miał nawet wyrazić przypuszczenie, że Polacy będą stawać zdecydowany opór ewentualnej interwencji. Ministrowie spraw zagranicznych Japonii, RFN i Francji, a także Kurt Waldheim ponownie wyrażali swoje stanowiska. Polska ma prawo rozwiązywać swoje problemy samodzielnie, bez obcej ingerencji. Oświadczenie złożony także Santiago Carillo: inwazja na Polskę byłaby wielkim błędem Związku Radzieckiego, jest ona jednak mało prawdopodobna. Rzecznik jugosłowiańskiego MSZ podkreślił, że nic nie może zagrozić suwerennemu prawu narodu polskiego do rozwiązywania swoich problemów. Jugosłowiańskie środki masowego przekazu ostrzegały, że wszelka interwencja zewnętrzna może tylko pogorszyć sytuację w Polsce.

Jeszcze w sobotę, 6 grudnia, po południu na posiedzeniu SCC w Waszyngtonie Turner uprzedzał, że możliwe jest wkroczenie wojsk radzieckich do Polski w ciągu najbliższych 48 godzin. Amerykanie spodziewali się jednoczesnego zamachu władz polskich na "Solidarność". Wywierano nacisk na amerykańską ambasadę w Warszawie w celu uzyskania informacji o szerszym zakresie z Polski. Chodziło o takie informacje, które mogłyby potwierdzić możliwość ewentualnego przewrotu.

TASS posługiwał się nadal groźną retoryką. Masła się ingerencje amerykańskiej centrali związkowej AFL-CIO w sprawę polską. Dokonywało się nielegalnego przekazu pieniędzy dla sił antyrządowych i anarchizujących - twierdził TASS. Agencja podawała nawet kwoty wydawane na druki i kolportaż "dywersyjnej" literatury.

6 grudnia członek kierownictwa Włoskiej Partii Komunistycznej Paolo Buffalini w oświadczeniu opublikowanym w "Unita" stwierdził, że interwencję w Polsce jego partia uważałaby za akt najpoważniejszego, niemożliwego absolutnie do zaakceptowania. Poparł linię Stanisława Kani "odmowy bez anarchii". Walka o rozwiązanie polskiego kryzysu to sprawa polskiej klasy robotniczej, społeczeństwa polskiego i polskiej partii komunistycznej - oświadczył Buffalini. Wówczas belgijski minister spraw zagranicznych Charles-Ferdinand Nothomb, który 5 grudnia prowadził rozmowę w Warszawie, wypowiadając się następnego dnia, pogłoski o możliwości radzieckiej interwencji uznał za nieuzasadnione. Jego zdaniem Polska nie naruszyła zasad ustroju, czy sojuszy; proces demokratyzacji prowadził ją w kierunku specyficznej formy socjalizmu.

W niedzielę, 7 grudnia, o godzinie 9⁰⁰ zebrała się w sprawie polskiej Narodowa Rada Bezpieczeństwa /NSC/ Stanów Zjednoczonych. W posiedzeniu wziął udział prezydent. Wywiad amerykański wskazywał na możliwość wkroczenia wojsk radzieckich do Polski pod pozorem ćwiczeń pokojowych i przeprowadzenia równoległego, masowego uderzenia w "Solidarność". Carter postanowił wystosować przesłanie w sprawie Polski do rządów innych państw, nalegając na ich silniejsze publiczne i dyplomatyczne wystąpienie w celu odstraszenia Związku Radzieckiego. Poinformowano również czołowych kongresmanów o możliwym rozwoju sytuacji. Przede wszystkim prezydent postanowił zająć zdecydowane stanowisko w tej sprawie występując publi-

cznie. 7 grudnia ukazało się spektakularne oświadczenie Białego Domu dotyczące sytuacji wokół Polski, które lakonicznie informowało o zakończeniu przygotowań do radzieckiej interwencji. Ponawiało ostrzeżenia z 3 grudnia co do konsekwencji takiego aktu dla stosunków USA-ZSRR i wyrażało nadzieję, że do interwencji nie dojdzie. Brzeziński w czasie konferencji prasowej potwierdził jeszcze raz, że strona radziecka zakończyła przygotowania do interwencji.

Zbigniew Brzeziński informował również telefonicznie papieża Jana Pawła II o dramatycznej sytuacji wokół Polski. Doradca do spraw bezpieczeństwa prezydenta USA ostrzegł także przywódców "Solidarności" w Warszawie i zalecił im ostrożność wobec możliwości zatrzymania w ciągu nocy.

7 grudnia głos w sprawie polskiej zabrały również Chiny. Ukazał się komentarz agencji "Sinhua" podkreślający, że wszelkie wydarzenia w Polsce są jej wewnętrzną sprawą i powinny być rozwiązywane przez naród polski.

Mimo zaufania okazanego 5 grudnia na Kremlu kierownictwu polskiej partii, sytuacja wojskowa wokół Polski ciągle pozostawała niejasna, a charakter radzieckich doniesień powodował, że nadal liczyło się z możliwością inwazji. 8 grudnia TASS w korespondencji z Warszawy podał wiadomość /a za nim CzYK i ADN/ jakoby "grupy kontrrewolucyjne" działające pod przykrywką lokalnych oddziałów "Solidarności" przeszły do jawnej konfrontacji z PZPR i administracją państwową. Na przykład w kieleckiej "Iskrze" samowolnie utworzyło administrację i rozbrojono straż przemysłową. W komitetach "Solidarności" działacze związkowych zastępują osoby wypowiadające się z pozycji antyrządowych. Kontrrewolucja - zdaniem TASS-a - dały do zaoczenia walki politycznej. Tego dnia "Rude Prawo" pośrednio wskazywało na międzynarodowy charakter kryzysu polskiego, na niebezpieczeństwo rozbitcia wspólnoty socjalistycznej.

Po spotkaniu moskiewskim i po oświadczeniach Białego Domu napięcie związane z Polską utrzymywało się jeszcze przez jakiś czas. Poza tym wywiad amerykański donosił, że zakres radzieckiej interwencji może być nawet większy, niż przewidywano. Obserwowano kolejne dywizje postawione w stan gotowości oraz przygotowane zapasy paliwa, rozwinięte namioty szpitali polowych oraz przygotowania różnego rodzaju wyposażenia wojskowego. Brzeziński konferował z Lane Kirklandem w sprawie powszechnego bojkotu dostaw do ZSRR na wypadek inwazji. Administracja amerykańska rozważała, jaka broń mogłaby być wysłana do Chin.

Aż do połowy grudnia tematyka interwencyjna często gościła w wypowiedziach zachodnich polityków i zachodnich środków masowego przekazu. Administracja amerykańska konstatowała, że publiczny alarm USA zrodził wielki niepokój międzynarodowy o los *detente*.

10 grudnia Stany Zjednoczone zaskoczyły obserwatorów politycznych wypowiedzią swego sekretarza stanu. E. Muskie oświadczył, że nie można wykluczyć użycia siły przez NATO w przypadku radzieckiej interwencji w Polsce. Retoryka tej wypowiedzi wskazywała na znaczenie, jakie administracja przywiązuje do sprawy polskiej. Potwierdziła to korespondencja PAP-a z Waszyngtonu z następnego dnia: wydarzenia związane z Polską dominują nad procesem przygotowań do zmiany administracji. PAP twierdził, że polityka USA planuje się na najbliższe tygodnie zależnie od rozwoju wydarzeń w Polsce. Zdaniem tej agencji w Ameryce panuje pesymizm co do dalszego rozwoju wydarzeń.

W dniach 8-12 grudnia odbywały się obrady różnych gremiów Paktu Północnoatlantyckiego, "eurogrupy" NATO, Komitetu Planowania Obrony i Rady Atlantyckiej. Na spotkaniu Komitetu Planowania Obrony ujawniono, że postanowiono podjąć ograniczalne posunięcia wojskowe w celu zapobieżenia rozprzestrzenianiu się wydarzeń w Polsce na inne strefy. Wprowadzono w stan pogotowia atlantycką siłę morską NATO i sprowadzono do bazy w Ramstein /RPN/ cztery samoloty wczesnego ostrzegania i dowodzenia /AWACS/ dla obserwacji ruchów wojsk. Zapowiedziano jednak, że nie będzie się intensyfikować posunięć wojskowych, by nie wzmaczać napięcia. Komunikat wojskowy wyrażał zaniepokojenie sytuacją wokół Polski i powtarzał znane ostrzeżenia wobec ZSRR.

W czasie obrad Rady Atlantyckiej E. Muskie przedstawił propozycje sankcji wobec ZSRR na wypadek interwencji. Według prasy zachodniej miałyby one obejmować: zerwanie wszelkich rokowań /kontrola i ograniczenie zbrojeń, Madryt 80, rozmowy gospodarcze i handlowe/, cofnięcie NRD przywilejów w kontaktach z EWG, zerwanie kontaktów politycznych na wysokim szczeblu /odwołanie ambasadorów z Moskwy i zmniejszenie personelu misji dyplomatycznych/, zawieszenie wymiany kulturalnej, wstrzymanie kredytów dla ZSRR i Polski oraz wymiany technologii, rezygnację z projektu budowy gazociągu. Ministrowie spraw zagranicznych uczestniczący w obradach zlecieli Radzie Stałych Przedstawicieli śledzenie sprawy polskiej i przygotowanie opcji alternatywnych. Muskie na konferencji prasowej podkreślił jedność i zdecydowanie NATO w sprawie Polski. Powiedział, że radziecka inwazja zniszczy ostatecznie *detente*. Również lord Carrington podkreślał jedność sojuszników w kwestii polskiej /przeciwnie niż miało to miejsce w wypadku Afganistanu/. W podobnym duchu wypowiedzieli się pozostali ministrowie państw NATO.

12 grudnia opublikowany został Komunikat Rady Atlantyckiej, zawierający wspólne stanowisko w sprawie polskiej, na które często w późniejszym okresie Zachód się powoływał. Była w nim zawarta krytyka polityki radzieckiej i apel do ZSRR o poszanowanie Karty Narodów Zjednoczonych i Aktu Końcowego KBWE. Polska powinna mieć swobodę decydowania o własnej przyszłości. Wszelka interwencja w zasadniczy sposób zmieniałaby całą sytuację międzynarodową. Sojusz atlantycki zareagowałby ostro na taki krok ZSRR.

Reakcje radzieckie były bardzo krytyczne. Władimir Fallin w wywiadzie dla "Der Spiegel" zapewniał, że ZSRR nie będzie się mieszać w sprawę polską. TASS i prasa radziecka zarzucały wypowiedziom zachodnim podżeganie nastrojów antyradzieckich, dramatyzowanie sytuacji związanej z Polską, podsycanie hysterii antykomunistycznej dla usprawiedliwienia zbrojeń.

Dzień później Senat Stanów Zjednoczonych uchwalił rezolucję 562, w której domagał się od prezydenta Cartera wspólnego rozpatrzenia z sojusznikami konkretnych posunięć na wypadek radzieckiej interwencji w Polsce. Prasa zachodnia natomiast zastanawiała się, czy jest sens podnosić alarm. Jedni ostrzegali aby "nie wywoływać wilka z lasu", inni twierdzili, że metoda milczenia w przeszłości nie zdała egzaminu.

W końcu pierwszej i w drugiej dekadzie miesiąca blok wschodni kontynuował kampanię propagandową odnośnie Polski, choć nie miała ona już tak alarmistycznego tonu, jak poprzednio. Agencja ADN np. cytowała Lecha Wałęsę zapowiadającego dalsze akcje przeciwko władzom. Ponownie celem ataków radzieckich stała się osoba Zbigniewa Brzezińskiego. Oskarżano go o wzniecanie psychologicznej kampanii nacisku na Polskę i kraje socjalistyczne, udzielanie poparcia siłom

antysocjalistycznym i antynarodowym w Polsce i podważanie jedności ideologicznej narodu polskiego. Moskwa twierdziła, że sytuacja w Polsce jest obecnie mniejszym powodem do zmartwienia niż dążenia Zachodu do destabilizacji władz w Warszawie.

W dniach 12-14 grudnia w Budapeszcie odbywał się kongres węgierskiej Krajowej Rady Związków Zawodowych. Przemawiający Sándor Gaspar przeciwstawiał się opozycyjnemu charakterowi związków zawodowych w państwie socjalistycznym. Prezentowany przez niego model związków w naszym mie był podobny do tego, który realizowała "Solidarność".

Na tematy polskie wypowiedział się także przewodniczący Komunistycznej Partii Finlandii A. Saarinen. Powtórzył w zaplecie dążenia do demokratyzacji zagrożone nogą się stać podstawy systemu socjalistycznego. Celem krytyki Georges Marchais był Zachód i jego "poczciwa kampania" w sprawie groźby i dzieckiej interwencji. Wiktor Wallin zaś wrażał uwagę na różnice między Polską a RfN. Podkreślał, że ostatnimi ZSRR udzielił pomocy po trzynastu prośbach. Podobne prośby z Polski nie nadeszły. Mówiąc o niebezpieczeństwie kontrrewolucji powoływał się na wypowiedzi S. Kani.

*

W dniach 16 i 17 grudnia na Wybrzeżu odbyły się wielkie uroczystości odsłonięcia pomników ofiar wydarzeń granicznych 1970 r. Przewodniczący Komitetu Wybrzeża Bronisław Gajda w przemówieniu powiedział, że sytuacja w Polsce jest bardzo trudna, ale że rząd jest gotów do wszelkich ustępstw, które przyczynią się do osiągnięcia porozumienia i stabilizacji sytuacji międzynarodowej. Wskazywał na konieczność wycofania wojsk z Afganistanu i wycofania wojsk z Czechosłowacji. Wskazywał także na konieczność wycofania wojsk z Iranu i wycofania wojsk z Wietnamu.

Przemówienie Gajdy było bardzo dobrze przyjęte przez publiczność. Wskazywał na konieczność wycofania wojsk z Afganistanu i wycofania wojsk z Czechosłowacji. Wskazywał także na konieczność wycofania wojsk z Iranu i wycofania wojsk z Wietnamu.

Przemówienie Gajdy było bardzo dobrze przyjęte przez publiczność. Wskazywał na konieczność wycofania wojsk z Afganistanu i wycofania wojsk z Czechosłowacji. Wskazywał także na konieczność wycofania wojsk z Iranu i wycofania wojsk z Wietnamu.

Przemówienie Gajdy było bardzo dobrze przyjęte przez publiczność. Wskazywał na konieczność wycofania wojsk z Afganistanu i wycofania wojsk z Czechosłowacji. Wskazywał także na konieczność wycofania wojsk z Iranu i wycofania wojsk z Wietnamu.

Przemówienie Gajdy było bardzo dobrze przyjęte przez publiczność. Wskazywał na konieczność wycofania wojsk z Afganistanu i wycofania wojsk z Czechosłowacji. Wskazywał także na konieczność wycofania wojsk z Iranu i wycofania wojsk z Wietnamu.

Przemówienie Gajdy było bardzo dobrze przyjęte przez publiczność. Wskazywał na konieczność wycofania wojsk z Afganistanu i wycofania wojsk z Czechosłowacji. Wskazywał także na konieczność wycofania wojsk z Iranu i wycofania wojsk z Wietnamu.

Przemówienie Gajdy było bardzo dobrze przyjęte przez publiczność. Wskazywał na konieczność wycofania wojsk z Afganistanu i wycofania wojsk z Czechosłowacji. Wskazywał także na konieczność wycofania wojsk z Iranu i wycofania wojsk z Wietnamu.

Przemówienie Gajdy było bardzo dobrze przyjęte przez publiczność. Wskazywał na konieczność wycofania wojsk z Afganistanu i wycofania wojsk z Czechosłowacji. Wskazywał także na konieczność wycofania wojsk z Iranu i wycofania wojsk z Wietnamu.

Przemówienie Gajdy było bardzo dobrze przyjęte przez publiczność. Wskazywał na konieczność wycofania wojsk z Afganistanu i wycofania wojsk z Czechosłowacji. Wskazywał także na konieczność wycofania wojsk z Iranu i wycofania wojsk z Wietnamu.

W drugiej połowie grudnia sytuacja w Polsce była przedmiotem zainteresowania rządu komunistycznego. KP Kuwejtu, państwa, które przez wiele lat trudności wewnętrzną, zapoła się na swoim jedynym także wydarzeniem polskim. Fidel Castro mówił o niebezpieczeństwach dla państwa socjalistycznego do uratowania swej integralności i drugiej jednak strony powiśla o "swoją prawdę" bolszewickim komunistów do samodzielnego rozstrzygnięcia własnymi siłami wki i kontrrewolucję. 17 grudnia krakowskie "Prawda" doniosła o przekroczeniu przez Josefa Strauchera sum pieniężnych dla Polski.

Przed dniemka telewizyjny komentarz cele działania KSS KOR i jego wpływ na przywódcę "Solidarności". Niewątpliwie ważnym w tym przedmiotowym okresie był artykuł Aleksja Pietrowa w "Pravdzie". Stanowił on atak na ostatnie reakcje Zachodu, a przede wszystkim na wypowiedzi i deklaracje sesji różnych organów NATO.

Jakie odbyły się w pierwszej połowie miesiąca. Pietrow pisał, że na politykę radziecką rzucano oszczerstwa i konstruowano insynuacje. E. Muskie stwierdził niebezpieczeństwo praktyczności s. wyczerpane.

go kryzysu w Polsce i kryzys światowy. Na Zachodzie materiał ten odebrano jako najważniejsze radzieckie oświadczenie od 5 grudnia. W dwa dni później moskiewska "Prawda" obszernie przedstawiła wypowiedź S. Kani na posiedzeniu Komisji Zjazdowej, wypowiedź uznana za jedno z najostrzejszych jego wystąpień. W przeddzień Wigilii czasopismo "Trud" zajmowało się nadal ingerencją amerykańskiej centrali związkowej AFL-CIO w sprawy polskie.

Także i w Wigilię prasa czechosłowacka rozpisywała się o Polsce. Omawiano posiedzenie Biura Politycznego KC PZPR, sprawy gospodarcze, artykuł o KPN zamieszczony w "Trybunie Ludu". Posługując się tezami z "New Age" /organ KP Indii/ wskazywano na zakłócenia w funkcjonowaniu systemu podziału pracy w krajach RWPG. Pisano, że zmniejszenie dostaw towarów z Polski komplikuje sytuację gospodarczą CSRS i NRD.

Końcowym akordem stosunków polsko - radzieckich w upływającym roku była wizyta w Moskwie, w okresie Świąt Bożego Narodzenia /25-26 XII/ ministra spraw zagranicznych PRL, Józefa Czyrka. Został on przyjęty przez Breżniewa, rozmawiał z Gromyką, z którym wymieniał poglądy na temat stosunków dwustronnych PRL - ZSRR i sytuacji międzynarodowej. Wspólnie potępiono podczas tej wizyty zachodnią politykę wobec Polski, mieszanie się, jak to nazwano, w jej wewnętrzne sprawy i jej stosunki sojusznicze. Breżniew raz jeszcze wyraził przekonanie, że PZPR przezwycięży trudności piętrzące się przed Polską. Komunikat opublikowany po wizycie podkreślał całkowitą jedność poglądów w omawianych sprawach. 31 grudnia ukazał się w polskiej prasie wywiad z Czyrkiem poświęcony tej wizycie. W trzy dni po powrocie Czyrka z Moskwy doszło do jego spotkania z Lechem Wałęsą. Miało to miejsce na kilka dni przed wyjazdem przewodniczącego KKP do Rzymu.

ANDRZEJ RICHERT

TADEUSZ DONECKI

CHWAŁĘ PARYŻ

Napisać po kilkutygodniowym pobycie w Paryżu polityczny reportaż dotyczący polskiego i francuskiego życia politycznego w tym mieście zdawałoby się sprawą nienajtrudniejszą. Same wędrówki po ulicach deptanych kiedyś tam i całkiem niedawno przez Tocqueville'a i Rousseau, Camusa i Simone Weil, Arona i Sartre'a natchnąć - wejść do polskiej księgarni "Libella" na wyspie św. Ludwika, mając za plecami hotel Lambert, a obok Bibliotekę Polską, by nieźy artykuł sam spłynął z niewprawnego nawet pióra. Nic z tego. Mimo szlachetnych zamierzeń i gorących postanowień, po przestrzeżeniu tak mocne do tej chwili poczucie wspólnoty z europejską kulturą i z Paryżem w szczególności, ulatnia się podniecenie obietnicą bliskiego kontaktu z ukochanymi myślicielami i ideami, a na ich miejsce wlewa się potężną strugą uczucie znane tylko gościom z prowincjonalnego, komunistycznego kraju: mieszanika oszupienia, zagubienia, zazdrości i poczucia krzywdy. Szkoda zresztą papieru na mnożenie określników; każdy, kto pierwszy raz przekraczał szlabany i zasieki "obozu", coś podobnego przeżył musiał.

Jeśli więc chciałbym w tekście o Paryżu dać wyraz swym niechęciom i sympatiom politycznym, mógłbym właściwie poprzestać na dokładnym opisie codziennego życia, wyglądu sklepów, wysokości zarobków i cen, działania policji, poziomu komputeryzacji i motoryzacji, praw i obowiązków obywateli, ubiorów i architektury, etc., etc... Mógłbym też pokusić się o oddanie tego nieuchwytnego uczucia wolności, które ogarnęło mnie już pierwszego dnia - najprościej, choć niedoskonale, określić je można jako brak lęku, tego niekonkretnego strachu przed wszystkim i niczym, który nieustannie towarzyszy mieszkańcom państwa realnego socjalizmu. A pointą najdosadniejszą tego opisu byłoby odwołanie beznadziejnego smutku na widok Pałacu Kultury z samolotu zniżającego swój lot nad płytą Okęcia.

Myślę zatem, i nie jestem chyba tu oryginalny, że nawet ten zewnętrzny, powierzchowny ogląd powinien z każdego powracającego uczynić przysięgłego zwolennika wolnego rynku, konkurencji, demokracji parlamentarnej. Dla czytelników niezależnych pism ta konkluzja może wydać się jednak banalna, tym bardziej, że Paryż to - dla Polaków w szczególności - coś więcej niż tylko przykład wyższości kapitalizmu nad komunizmem. Spójrzmy więc nań z innej trochę perspektywy.

*

Niełatwo dostrzec, spacerując pięknym bulwarem Saint Germain,

skromną witrynę Księgarni Polskiej. Bez krzykliwej reklamy, ze skromną nalepką z napisem "Solidarność", jest jednak dla wielu Polaków miejscem w tej części Paryża najistotniejszym. Nic zatem dziwnego, że w środku zawsze sporo klientów, głównie z kra-ju. Niektórzy trochę przestraszeni widokiem książek, za posiadanie których w Polsce można mieć kłopoty, inni z wypiekami na twarzy buszują wśród półek pełnych tytułów. Pani Jacqueline, wy-jaś, pełna elegancji gospodyni księgarni, tłumaczy te i tam kwestie prawda wszystkim kupującym ("Witam pani, pani chyba już była tu? Nie, w takim temacie? No właśnie!"). Sklepowie pomaga w wyborze książek typ, którzy wracają do kraju. Dzieło reżyserskie jest, jakbyś wolił, może liczyć też na upominek, a książki ze Francji, jak na polską księgarnię, są piekielnie drogie. Niemniej, w powojennym czasie się Mit-ów, Gombrowicz,aczywiście "Kul-tura", wiele pyta o Barabara i Jean, ożenowej piosenki. Marksiści-ści, Wybór jest zresztą spory, z nowości: *Żołnierze honoru o Pol-sce* Mit-ów, *Konspiracja* Barabara i *Weterani* z *Wąpiti*.

Polskie jest w "Libelli", drugiej placówce tego typu. O pol-ską książkę jest w Paryżu łatwo; funkcjonuje spory antykwariat polski, zaś w księgarniach francuskich jest trochę przekładów z naszej literatury - najwięcej ze wschodnich krajów komunistyczn-ych. Wylatujemy książkę czy raczej rosyjskich pisarzy, choć mniej niż by to mogło wynikać z ciągle dużego zainteresowania Francu-zów Polską. Sporo polskich nazwisk widać nie tylko na półkach księgarni, ale także w gazetach i pismach francuskich, choć nie ma wątpliwości, że najmłodszym ze wschodnioeuropejskich pisa-ry jest dziś Milan Kundera.

Nie ma w Paryżu polskiej dzielnicy, ale są miejsca i sytuacje, gdzie Polska jest prawdziwsza niż nad Wisłą. Szczególnie od czasa grudniowej wojny. Czuje się to z wyjątkową intensywnością wła-śnie w polskich księgarniach, w Maisons Laffitte, w Bibliotece Polskiej. Ważne i podniosłe musiało być to przeżycie Polski mie-kiewiczowskiej i solidarnościowej zarazem dla tych wszystkich, których stan wojenny zastał i osadził na dłuższą nad Sekwaną. *Tego dnia - pisał w pierwszej rocznicę Grudnia 81 Wojciech Karpiński - polskie cienie w Paryżu znów narumcały się z nadzwyczajną inten-sywnością. Paryż nie wydawał mi się umarły, choć żywy puls mia-ła w pierwszej rocznicę zduszenia "Solidarności" nie przynosił uspokojenia. Paryż - po raz już który - stawał się duchową sto-licą Polski. W starym gmachu na Quai d'Orléans odbywała się ses-ja o "Solidarności", jej rodowódzie, znaczeniu, perspektywach. Nad stołem prezydenalnym wisiał portret patrona spotkania i scii, księcia Adama Czartoryskiego.*

Przy niewątpliwym znaczeniu ludzi emigracji paryskiej i ich pracy trudno o jednoznaczną ich ocenę. Obecnie mieszka w Paryżu ponad sto tysięcy Polaków, a pismo "Kontakt" prowadzone przez Bronisława Widsteina na kilkuset prenumeratorów i siłą rzeczy jest przedsięwzięciem deficytowym. Paryska polonia nie jest zint-egrowana, choć płaszczyzn tej integracji sprzyjających jest wiele, zarówno instytucjonalnych, jak i psychologicznych. W porównaniu z innymi emigracjami z krajów Europy Wschodniej, ta na-sza jest najliczniejsza, chyba najmniej solidarna, najbardziej zhi-erarchizowana i niejednorodna, o najliczniejszej i może naj-wybitniejszej elicie, której twórczość w w stałym jednak stopniu trafia do "mas" emigracyjnych. Ta grupa ludzi, nazwana przeze mnie elitą, też jest zresztą podzielona i na różnych poziomach działająca.

Rozmawiałem z wielu jej przedstawicielami, ale spotkanie z Jerzym Giedroyciem miało dla mnie znaczenie wyjątkowe - że tak będzie, domyślałem się tego jeszcze w Polsce. Zupełnie przypadkowo, w przeddzień wizyty w Maisons Laffitte, obejrzałem video-film o "Kulturze" i Instytucie Literackim, zrealizowany przez "Video-Kontakt", firmę pracującą głównie na użytek Kraju (nagrywanie, powielanie i wysyłka videokaset). Wydawało mi się, że już przed wyjazdem do Paryża dostatecznie zdawałem sobie sprawę ze znaczenia dla polskiej kultury tego, co od ponad trzydziestu lat robi Giedroyc z grupą swych przyjaciół i z ogromu jego pracy. Jednak dopiero projekcja tego skromnego w formie filmu w uświadomiła mi w pełni, z kim następnego dnia będę rozmawiał. Kilkaś "Kultura" - tygodnik regularnie przez trzydzieści lat na niesamowicie wysokim poziomie. "Zeszyty Historyczne", ponad trzydziestą laty tytułowy "Kultur", których łączny nakład przekroczył siedem milionów egzemplarzy, a wśród nich pozycje tak ważne w polskiej literaturze jak choćby Gombrowicz czy Miłosz. I to wszystko jest owocem pracy zespołu kilku osób. Wartość jej dostrzegają zresztą nie tylko Polacy. *Można sobie tylko żyć* - pisał ostatnio w "Encounterze" Francois Bondy - żeby "Kultura" miała taki wpływ na opinię w Europie Zachodniej, jaki ma w Europie Wschodniej, gdzie uznawana jest za istotną siłę kreującą w sferze kultury i polityki nie tylko podziemnej. Pokazuje ona, jak wiele możemy nauczyć się od Polaków.

Wobec polskiego księgarza (nie jest to polski księgarz) - który, jak pisał w "Encounterze" Francois Bondy - "można sobie tylko żyć" - pisał ostatnio w "Encounterze" Francois Bondy - żeby "Kultura" miała taki wpływ na opinię w Europie Zachodniej, jaki ma w Europie Wschodniej, gdzie uznawana jest za istotną siłę kreującą w sferze kultury i polityki nie tylko podziemnej. Pokazuje ona, jak wiele możemy nauczyć się od Polaków.

"Jak pan ocenia sytuację polityczną w Polsce?" - to pierwsze pytanie Jerzego Giedroycia po przywitaniu. Gospodarz jak zwykle elegancki, z lekką arystokratyzacją, choć przy tym ujmujący skromny. Świetna orientacja polityczna, jasność umysłu, łaska wypowiedzi, to wszystko robi duże wrażenie. Wszędzie książki, na blurku ostatni bestseller wydawniczy "Przedświtu" - zbiór wywiadów Teresy Torńskiej *Oni*. Rozmowa toczy się wokół bliskich wyborów do sejmu, stosunku do nich poszczególnych środowisk opozycyjnych, a szczególnie zamieszania związanego z donniemanym kandydowaniem na posłów niektórych luminarzy opozycji. Giedroyc przekonany jest o konieczności maksymalnej mobilizacji podziemia i wszelkich grup niezależnych w okresie przedwyborczym, widząc w 13 października dzień niezwykle ważny politycznie, z czym trudno mi się zgodzić. Interesuje go przebieg dotychczasowej akcji propagandowej podziemia i nastroje społeczne. Zirytowany jest trochę moimi pesymistycznymi odpowiedziami i przewidywaniami.

Rozmowa trwa ponad godzinę; dla niego być może pożyteczna, dla mnie poostanie najważniejszą ze wszystkich odbytych w Paryżu.

Giedroyc nie jest jedynym autorytetem emigracyjnym w Paryżu. Mirela sprawnego i niezwykle skutecznego organizatora cieszy się

wyobraźnia polityczna sprowadzała się do hasła, wypisywanego zresztą na murach i ścianach domów: "Sexism et rasism". Ich jedynym problemem politycznym jest "inwazja czarnych" i innych imigrantów. Nastroje antyimigracyjne, obecne głównie wśród zwolenników Le Pena, nie dotyczą dwóch grup: Żydów i Polaków. Front Narodowy, krzykliwie i dość dynamicznie ugrupowanie Le Pena, szukał podobno w celach reklamowych (!) Polaka na swą listę wyborczą; nie znalazłszy, wystawił Rumuna, którego przedstawiano w trakcie kampanii wyborczej jako naszego rodaka. Równocześnie w Paryżu działa kilkadziesiąt organizacji i grup wspomagających rozmaitymi metodami pokrzywdzonych na całym świecie. Wiele z nich to nowe i uznane inicjatywy. "Lekarze świata", "Medycyna bez granic" "Solidarność z Soli granada", organizacje wspomagające afgański ruch oporu, czy ostatnia wielka akcja pomocy głodującym w Etiopii, część w tych inicjatywach op. z koniunktury, wraz z upływem czasu ich rozmach i zainteresowania nimi waleją wyrażnie, co jednak nie dyskredytuje ich wartości i znaczenia.

Szczególnie interesowały mnie te które wspierały ludzi i ruchy ze strefy sowieckiej. O głośnej akcji pomocy tak zwanym *boob peorze*, czyli wietnamskim uciekinierom, pisała już krajowa "Karta"; Afgańczycy obrali sobie Paryż za europejską stolicę ruchu mujeddinów. Dla Polaków rola Paryża nie zmienia się od dwóch wieków (choć oficjalnie siedziąca władza "Solidarności" na wybrzeżu jest przecież Bruksela). Wynika to m.in. właśnie ze stosunku Francuzów do naszej ojczyzny.

Relacje francusko-polskie na płaszczyźnie oficjalnej dla nikogo nie stanowiły spornego i kłopotliwego, a ewentualnie obciążającego reakcją jednej czy drugiej strony rzadko bywało zaskakujące. Niekwestionowane widać było spojrzenie Francuzów "nieoptymalnych" na "Solidarności". Prawdziwe niespodzianki były dla mnie zarówno ilość francuskiej sympatyków "Solidarności" jak i poziom ich zaangażowania w pomoc polskiemu ruchowi związkowemu. Spotkałem m.in. Jacques'a Chalona, który swego czasu został zatrzymany na granicy polsko-niemieckiej w trakcie przewożenia dla "Solidarności" sprzętu poligraficznego. Odsiedział w polskim więzieniu parę miesięcy. Takie doświadczenie niejednemu Polakowi zniechęca do dalszej działalności, ale nie Jacques'a. Niepozorny, w podniszczonej kurtce jeansowej, całą swoją aktywność nadal poświęca pomocy "Solidarności".

Tuż po wybuchu wojny grudniowej zawiązało się we Francji spontanicznie wiele grup, które postawiły sobie za cel zebranie dla Polaków maksymalnych ilości pieniędzy, lekarstw, żywności, odzieży, a także sprzętu technicznego i książek. Rozmawiałem z młodym socjalistą, który z grupą przyjaciół organizował zbiórkę pieniędzy w małym mieście podparyskim i w przeciągu kilku dni zebrał blisko 50 tysięcy franków!. Rzecz jasna, wraz z upływem czasu ofiarność dawców i energia organizatorów malały, choć do dziś jest to nadal jeden z obfitszych strumieni pomocy zachodniej dla Kraju. Przeprowadzono też wiele akcji nakierowanych propagandowo na Francuzów. Parę z nich odbiło się we Francji szerokim echem. Jest w Paryżu stacja metra "Stalingrad". Kiedy nad Sekwanę dotarły pierwsze informacje o stanie wojennym, tablice informacyjne na tej stacji zostały zakryte przez "nieznanych sprawców" tablicami z napisem "Gdańsk". Służby porządkowe przez wiele dni "nie dostrzegają" tej niespodziewanej zmiany nazwy, mimo że wszystkie paryskie gazety opublikowały zdjęcia nowych tablic. Spotkałem jednego z uczestników tej akcji; jak się okazało, to właśnie on ze swymi kolegami w czasie mistrzostw świata w piłce nożnej w Hiszpanii napsuł tyle krwi realizatorom polskiej telewizji transmi-

tującej mecze z udziałem naszej drużyny, wywieszając na trybunach olbrzymie transparenty z napisem "Solidarność". *Nota bene*, przesiedział za to kilkadziesiąt godzin w hiszpańskim areszcie. On też sprawił, że przez jakiś czas "Solidarność" górowała nad całą Europą..., kiedy zatknął sztandar naszego ruchu na szczycie Mont Blanc.

Anegdotyczne to zdarzenia, nie oddające w pełni charakteru i rozmiaru francuskiej dla nas pomocy. Paryskie życie polityczne nie kręci się jednak wokół polskich spraw; jest bogate własnymi problemami i przemianami, którym na pewno warto przyjrzeć się bliżej.

*

Pierwszy polityczny napis na murze, jaki zobaczyłem w Paryżu (jest to tam bardzo popularna forma walki politycznej), brzmiał *MORT LES ROUGES*. Po kilku dniach mogłem stwierdzić, że właśnie antykomunistycznych napisów jest najwięcej, a prawie każda rozmowa utwierdzała mnie w przekonaniu, że "kokosy" (pogardliwa nazwa komunistów) mają wśród ogółu Francuzów coraz gorszą opinię. Potwierdzają to zresztą badania opinii publicznej, ankiety różnego rodzaju i wybory do władz lokalnych, w których komuniści przegrywają już nie tylko z liberalnym sojuszem partii umiarkowane prawicowych i socjalistami, ale także z ultrapravicowym, populistycznym, jak chcą niektórzy "faszystowskim" Frontem Narodowym Le Pena (nowi członkowie Frontu to bardzo często niedawni komuniści). Jest to tylko jeden z sygnałów przemiany politycznej Francuzów, o której więcej za chwilę; sami komuniści przestają być powoli istotną siłą również dlatego, że - jak to określili mój paryski gospodarz - zbyt wyraźnie przypominają swych sowieckich promotorów, a reputacja tychże - mimo tradycyjnego sentymentu Francuzów do Rosjan - jest nędzna jak nigdy dotąd po drugiej wojnie. Wspominano mi o audycji telewizyjnej, w której wystąpił Georges Marchais. Na pytanie prowadzącego program, czy komuniści po dojściu do władzy zezwalaliby na wydawanie *Sołżenicyna*, odpowiedział, że zezwoliłby zezwoliłiby, gdyby znalazło się wydawnictwo *ch c a c e* go wydać. Marchais wie, że w komunistycznej Francji nie byłoby miejsca dla takiego wydawnictwa.

Komuniści, choć ich pozycja słabnie, stanowią nadal grupę zwartą i solidarną, działającą metodami często do złudzenia przypominającymi te sprawdzone na Wschodzie. (Znamienne, że z burżuazyjnych swobód korzystają bez specjalnego skrzepowania, o-choćco konsumują efekty działania złowieszczonego rynku i wolnej konkurencji, zdają też sobie dokładnie sprawę z sowieckiego zagrożenia - największym budynkiem w architektonicznym kompleksie ich Komitetu Centralnego jest schron przeciwatomowy, mający chronić elitę FPK bynajmniej nie przed pershingami). Ich głównym oparciem jest CGT - komunistyczna centrala związkowa, bardzo silna w niektórych branżach i zakładach (drukarnie, metro, kolej). Właśnie w miejscu pracy ich metody można odczuć w przykry sposób. Świetnym przykładem jest konflikt komunistów z sympatykami "Solidarności". Rozmawiałem z Francuzem, który pracował w przetwórnictwie rybnej, gdzie CGT była bardzo silna. Dość szybko awansował, zaistniała właśnie szansa na jeszcze lepsze stanowisko, ale pewnego dnia przyszedł do pracy ze znaczkami "Solidarności". Już po kilku dniach zwolnił się na własną prośbę - niedawni koledzy stworzyli wokół niego atmosferę nie do zniesienia. Jest niemal regułą, że kto trafi do przedsiębiorstwa, gdzie komuniści są w wyraźnej przewadze, jest zmuszony wstąpić do CGT, gdyż inaczej

grozi mu bojkot i zorganizowana nagonka. Słyszałem o lekarce, Polce żyjącej we Francji już kilkanaście lat, która w swoim szpitalu boi się rozmawiać o polityce, a "Solidarność" szczególnie, bo mimo długiego stażu i świetnej opinii mogłaby stracić pracę; większość jej współpracowników należy do CGT...

Nie sądzę, by we Francji szalał utajony czerwonony terror, jak mogłoby to wynikać z przytoczonych zdarzeń. Istotne, że takie właśnie doświadczenia - choć należy przypuszczać, że jest to margines francuskiego życia - utwierdzają Francuzów w przeświadczeniu, które nam dane jest od lat: gdzie pojawiają się komuniści, powstaje atmosfera fałszu i zastraszenia.

Komunistów widać we Francji nie tylko poprzez napisy malowane na murach przez ich przeciwników. Popiera ich ok. osiem procent wyborców, mają swych merów, organizują też częste, niezbyt imponujące liczebnie uczestników, za to niezwykle agresywne demonstracje. Nie oni jednak uczestniczą w przewrocie - jak nazywają to sami Francuzi - umyślowym i politycznym, jaki dokonuje się od kilku lat nad Sekwaną, a który jest częścią zjawiska szerszego, ogarniającego prawie cały zachodni świat i dostrzegalnego także u nas. Renesans prawicy - z takim jego określeniem spotykamy się najczęściej.

Nad francuską polityką od dwóch - z przerwami - wieków ciąży lewicowy ethos Wielkiej Rewolucji. *Liberté, égalité, fraternité* - te hasła wręcz immanentnie związane są z francuskim pojmowaniem polityki i do dnia dzisiejszego niewielu jest polityków, którzy odważyliby się ten związek naruszyć. Równość i Rewolucja to wciąż dla przeciętnego Francuza święte słowa - nieprzypadkowo socjalistom rządzą już cztery lata, a ich partia jest ciągle największym ugrupowaniem politycznym (przewaga prawicy i jej wielce prawdopodobne zwycięstwo w zbliżających się wyborach wynika z sojuszu trzech centroprawicowych partii). Hymnem Francji jest wciąż "Marsylianka", świętem narodowym rocznica Rewolucji, zaś każdy - polityk, historyk czy twórca - próbujący zrewidować apologetyczne jak dotychczas wadzenie rewolucji, naraża się na powszechną krytykę i niechęć. Wspomnieć wystarczy choćby wzburzenie, jakie wywołał u wielu Wajdowski "Danton". Zmiany wchodzi jednak coraz szybciej.

Wiele jest przyczyn odrodzenia prawicy we Francji - mamy i my w tym swój udział, choć "Solidarność" była skontrowana politycznie głównie przez socjalistów. Niewątpliwie jednak takie wydarzenia jak agresja na Afganistan, ludobójstwo w Kamboży, okrucieństwa Wietnamczyków po zakończeniu wojny, coraz powszechniejsza znajomość literatury Zagiernej (jednym z autentycznych szlagierów na paryskim rynku wydawniczym w ostatnich miesiącach było pierwsze francuskie wydanie *Innego świata* Herlinga-Grudzińskiego) i tyżacej ZSRR w ogóle, rozbitcie "Solidarność" miały nie mniejsze znaczenie niż kryzys ekonomiczny i społeczny narastający za rządów lewicy czy działalność na rzecz rozsądku i naturalnego porządku takich wybitnych indywidualności jak Raymond Aron, którego Francuzi pod koniec jego życia wreszcie docenili. Poszukiwanie i określenie wszystkich źródeł zwrotu na prawo przekracza znacznie ambicje tego tekstu; poprzestaną więc na ilustracji zjawiska.

Określenie prawica jest - truizm - mało precyzyjne i bardzo pojemne. Mówiąc o awansie formacji tym mianem określanej, mam na myśli dwa jej nurty, zresztą niesymetryczne oraz w zasadzie i wszędzie objawiające się w odrębnych instytucjach czy organizacjach.

cjach; przepłatają się one i wzajemnie przenikają, wyrażają często na innych płaszczyznach społecznego oddziaływania. Upięrajac się można jednak dostrzec układ dychotomiczny: nowa prawiwa i c a , przez niektórych nazywana neokonserwatyzmem, raczej ruch intelektualny i kulturowy niż polityczny i organizacyjny, o dużych wpływach w elitach intelektualnych, uniwersytetach i redakcjach najważniejszych pism, oraz neo i b e r a l i z m wyznawany przez najsilniejszą formację polityczną, która prawdopodobnie obejmie po najbliższych wyborach władzę, opisywany i rozpowszechniany przez najpopularniejszych publicystów i pisarzy politycznych (np. Sorban, Revel, Lepage), którym patronuje największy autorytet intelektualny Francuzów - zmarły niedawno Raymond Aron. Przyglądamy się bliżej tym dwóm nurtom.

W przedmowie do książki *Vu de Droit* Alain de Benoist, francuski neokonserwatysta, stawiając tezę o chorobie prawicy, głosi, że nastał czas, aby sobie przypomnieć, że być na prawicy oznacza przede wszystkim brać pod uwagę różnorodność świata, a w konsekwencji i względną nierówność będącą nieuchronnie jej wytworem - i uznać ją za rzecz korzystną i pożyteczną, zaś ujednolicanie świata, wieszczony i realizowane przez egalitarne ideologie od dwu tysięcy lat - za zło. Świat zachodni, zdeprawowany przez kosmopolityzm z jego żydowsko-chrześcijańskimi - a więc obcymi Europie - mitami zapomnieli o swych celtyckich i germańskich korzeniach, stanowiących jego prawdziwą naturę.

Światu zachodniemu brak ludzi czynu i prawdziwych przywódców. Stało się konieczne kształtowanie nowych elit, które swą energią będą czerpały z vitalności barbarzyńskiej Europy z jej etnicznymi odrębnościami i prastarymi obrzędami; energia naszych przodków tkwi potencjalnie w nas. Elity są naturalna i pożądana konsekwencją nierówności - ich brak jest więc gwałtem na naturze. Nowa prawica jest właśnie taką elitą, przynajmniej w mniemaniu de Benoista i jego przyjaciół. To przekonanie daje im poczucie życia w prawdzie i świetle - wartościach niedostępnych dla mas ludzi nieprzygotowanych, głupszych i słabszych. Celem działania tych elit ma być ustanowienie nowego (a raczej na nowo) naturalnego porządku rzeczy, harmonijnego ładu wynikającego z hierarchiczności społeczeństwa. W ten sposób, na przekór "demokratycznej demagogii", wrzaskowi zazdrośników i lewicowych miernot narodzi się społeczeństwo, w którym rzeczywista wartość nie będzie musiała już dłużej pozostać w ukryciu, a prawo podejmowania decyzji przez najlepszych zostanie ustanowione. To, co opóźnia tak działalność nową społeczeństwa - demokratyczno-liberalne i żydowo-chrześcijańskie superego - zostanie przeżmiane i in. dzięki postawieniu się mądrym na prawicy: filologia, socjologia, filozofia, filistyka i skolejnia przez dzięki awansowi problemów zwiazanych z narodowosciami i zjawiskami w srodowisku narodotworow i srodowiskach do lokalnych autonomii.

Mojiliści i liberalni, a nie zdecydowana większość polityczna Francji, patrzy na nową prawicę niechętnie i sceptycznie, choć nie da się ukryć, że intelektualnie wpływa ona również na część liderów partii liberalnych. Odbiorca jej poglądów - ale także w szarym zwierzciwie - jest także program i ideologia Frontu Narodowego Le Pen; samo nowa prawica partii nie stworzyła.

Dla dyskusji tych nie od francuskiego neokonserwatyza obywateli, jego filozofia polityczna ma niekorzystnie wiele podobieństw z nacjonalizmem (i to w dość ponurej postaci) a nawet rasizmem. Staje się bowiem filozofia, która już nie konstataje nie-

równości ludzi, ale uprawia jej apologię. Ideał, do którego się odwołuje, to powrót do *ethnè* w jej pierwotnej indoeuropejskiej czystości z czasów przedchrześcijańskich, w których przewaga silnych sankcjonowana była hierarchią wynikającą z naturalnej nierówności. Powrót ten oznacza odrzucenie z jednej strony marksistowskiej antropologii i wizji przyszłości oraz wszelkich idei egalitarnych i planujących, ale z drugiej także "zdegenerowanej" cywilizacji amerykańskiej, dzięki czemu ujawniony ma zostać "geniusz praeuropejskiego ludu" i pojawi się szansa przywrócenia Europie choćby względnej autochtonii.

W społeczeństwach naturalnych w walce o życie przetrwać mogą jedynie najlepsi. Efektem jest podporządkowanie słabych i wzbicie silnych, zaś konsekwencją tego jest hierarchiczna organizacja różnic, nie tylko wewnątrz konkretnej społeczności, ale również w planie międzyetnicznym. Wśród ludzi nowej prawicy powszechne jest przekonanie, że tak jak ludzie rodzą się nierówni, tak niektóre rasy i grupy etniczne są genetycznie wyższe od innych, jeśli jako kryterium wyższości przyjmą zdolność do tworzenia cywilizacji i wydawania ze swego łona większej liczby jednostek wyżej uzdolnionych. W głośnej zbiorowej książce *Race and intelligence* (Rasa i inteligencja), jednej z ulubionych lektur neokonserwatystów, lansuje się m.in. tezę, w myśl której patrymonium genetyczne niektórych populacji murzyńskich miałoby warunkować ich niższość intelektualną w porównaniu z białymi. Alain de Benoist, tak jak większość jego współpracowników, dyskutuje się od basisu, co nie przeszkadza, by niektórzy z nich pozwalali sobie na wykładanie kwestii wprost. Na przykład pismo francuskiej nowej prawicy "Nouvelles études" poświęciło sporo cennych słów Amerykaninowi Revilo Oliverowi, który został wykluczony z prestiżowego stowarzyszenia "John Birch Society" za stwierdzenie, że w świecie działań się lepiej, gdyby wszystkich ludzi, jutro o świcie, zwyciężają zagazowano.

Ideologia odrębnych i shierarchizowanych tożsamości grupowych powoduje, że przedstawiciele nowej prawicy występują z reguły jako gorący rzecznicy odrębności etnicznych i powrotu do korzeni. *Najodleglejsza przeszłość stanowi najpotężniejszą siłę inspirującą przyszłość* - pisze de Benoist w *Renaissance de l'Occident* (tytuł jest oczywiście aluzją do *Zmierzchu Zachodu* Spenglera). *Jeśliby należało szukać idei nowej, powinno się zwrócić uwagę nie w stronę wielkości, lecz w stronę mniejszości, która pozostaje pośród nas zapomnianymi świadkami autochtonicznej antycznej cywilizacji*.

Dbłość o czysto etniczną i kulturowo tożsamość europejską jest centralnym problemem badawczym i politycznym tej formacji. Symptomatyczny jest temat piętnastego spotkania GRECE (*Groupe pour l'étude de recherches et des études pour la civilisation européenne* - klub pol. tyżony, który stał się sekcją francuskiej nowej prawicy) zorganizowanego w 1981 r.: "Wojna kulturalna przebieg cywilizacji amerykańsko-zachodniej". (De Benoist powiedział między innymi, że gdyby miał wybierać, to wolałby nosić czapkę szwedzką niż być z Hamburgery w Brooklynie!). Stwierdzono tam m.in., że rewolucja 1789 r. chciała podstępnie przywileje związane z uprzedzeniem lub uzyskane od państwa, uważane za odróżniające z mocy samej swej definicji, w konsekwencji zatrzeć wszelkie różnice, a w szczególności te, które wynikały z faktu istnienia różnych ludów, jakie żyły na obszarze królestwa Francji. Dzięki wysiłkowi *de Benoist* partyo o wiele dalej, dokonując się głównie w sferze, przystępując w świecie i w sferze religii. Sekretarz GRSE F.

Guillaume Faye oświadczył w konkluzji spotkania: zrywając z racjonalizmem racjonalizmu indywidualnego, aby stanąć po stronie ludów, toh wołi afirmacji odrębności i własnych przeznaczeń, pragnięmy stworzyć prawdziwą alternatywę...

Neokonserwatyzm nie jest zjawiskiem specyficznie francuskim; problematyka, którą podejmuje, cieszy się na całym świecie coraz większym zainteresowaniem, choć niewątpliwie jej ujęcie budzi - delikatnie mówiąc - kontrowersje. Ci Francuzi, którzy niechętni są nowej prawicy, z satysfakcją pokazywali mi materiały wyszukiwane w prawniczych periodykach i niesygnowanych publikacjach rzeczytanych do różnych osóbistości mających wpływ na opinię publiczną (jest to coraz powszechniejszy sposób działania politycznego), które wskazują na obecność skrajnych poglądów w tym nurcie prawicy. Przeczytać tam można było m.in. takie słowa: *Jeśli chodzi o nas, nie zawahamy się przed wywołaniem skandalu powtarzając, iż naszymi braci są Bretończycy, a nie jakies ludy na drugim końcu świata. Te są ludźmi jak i my, co znaczy tyle, że przynależą do pewnego gatunku ssaków. I to jest całe nasze pokrewieństwo z prześwietnym Mahometem ben Mahometem, który na południe od nas popychał łazaki lub obija bruki, czy też z dzielnym Kalfidżykiem, który nieco dalej jeszcze grabie w śmietniku...* Inny cytat: *Owa rewolucja, która przyczyniła i przyczynia tyle zła rase aryjskiej, została zadecydowana przez żydowskich obywateli świata po pogromie w Kiszyniowie w 1897 r. Celem rewolucji było z jednej strony obalenie reżimu carskiego, a drugiej zaś stworzenie rządu światowego kierowanego przez żydów. Zasadniczym celem tego pseudorządu było z jednej strony połączenie ras, tj. szkieletu białej rasy aryjskiej drogą przemieszczenia jej z murzyńską, łóżta twarda itd., a z drugiej strony stworzenie zjednoczonej religii na żydowskich podstawach. Jak się wydaje, cel ten nie został po dziś dzień poniechany przez światowców...*

Trudno mi określić rzeczywisty wpływ tego typu idei i poglądów na współczesnych Francuzów. Jedno jest pewne: nie ten kierunek myśli prawniczej jest decydujący w tym ogólnym francuskim zwrocie na prawo. Paryż wraca do idei, której w pewnym sensie jest prekursorem - do liberalizmu.

Myśl neoliberalna święci swe tryumfy głównie w sferze ekonomicznej. Stanowi najistotniejszą obecnie inspirację większości znanych ekonomistów i polityków, stając się równocześnie wspólnym punktem odniesienia dla najróżniejszych prądów opozycji (gdy czytelnik będzie czytał powyższe słowa, opozycja ta będzie już prawdopodobnie obozem rządzącym). Nieprzypadkowo *La solution liberale* Guy Sorman'a, książka stanowiąca błyskotliwą i głęboko uargumentowaną pochwałę liberalizmu, stała się niekwestionowanym sukcesem wydawniczym.

Współczesny liberalizm w sposób kategoryczny odrzuca jakiegokolwiek formy interwencji państwa opartą za rynkiem, konkurencją i wolną inicjatywą jako jedynymi sposobami organizacji gospodarki. Dlatego też Francuzi wolą używać nazwy "ultraliberalizm" dla odróżnienia tego kierunku myśli od tych wszystkich, które zgadzają się na pewne współistnienie własności społecznej i prywatnej oraz rynku i interwencji. Jest on wrogi jakiegokolwiek reglamentacji ekonomicznej wynikającej z uspołecznienia gospodarki, eta-

* Książka tegoż autora pod tytułem *Revolucja konserwatywna w Ameryce* wyszła w Polsce nakładem niezależnego wydawnictwa "Kurs" w 1985 roku.

tyzacji i centralnego planowania. Obecny kryzys według ultraliberałów to skutek wzrostu państwa jako podmiotu polityki społecznej (służba zdrowia, emerytury), jako organizatora praw socjalnych (np. pensja minimalna czy roglamentacja zwolnień z pracy) i wreszcie jako poborca podatków czy zatrudniającego.

Remedium na kryzys to wycofanie państwa ze sfery ekonomiczno-publicznej i spowodzenie jego aktywności do działań czysto politycznych i zabezpieczających porządek prawny. Jest to w jakimś sensie propozycja powrotu do koncepcji "państwa-stróża nocnego".

Paryżanie nie będącymi przypominają, że antyetatyzm jest bardzo starą tradycją francuską, choć świat odbiera ją jako głównie anglosaską, co w jakiejś mierze wynika z nowatorskiej interpretacji klasycznej myśli liberalnej w Stanach Zjednoczonych Reagana czy w Zjednoczonym Królestwie pani Thatcher. We Francji szesnastowiecznej hasłem powstań ludowych było zawołanie: "Niech żyje król bez podatków!", a historycy francuscy podkreślają, że wszystkie rewolucje francuskie miały swój wymiar fiskalny. Nic dziwnego zatem, że nawet Wielka Rewolucja Francuska dla takich klasyków leseferyzmu jak Priestley czy Condorcet była w swej społecznej i ekonomicznej treści rewolucją liberalną.

Ultraliberalizm ze swoim totalnym odrzuceniem interwencjonizmu usystematyzował się w XIX w. dzięki dokonaniom francuską szkołą liberalnej, niewątpliwie bardziej dogmatycznej niż jej brytyjski odpowiednik. Właśnie nad Sekwaną powstał termin "państwo-wróżd" (Jean-Baptiste Say), a ekonomiści ze wspomnianą szkołą paryskiej sformułowali teorię "systematycznego powstawania państwa", które ograniczyć do utrzymania i obrony możliwie dużego obszaru wolności. Po 1945 r. liberalizm we Francji tracił na znaczeniu, choć nie brakowało zdolnych ekonomistów przezeń inspirowanych, jak np. Jacques Rueff (*brzydota jest nierozdzielnie związana z planowaniem*); warto jednak pamiętać, że to, co przybywa dziś do Europy z USA jest w dużej mierze reeksportem idei francuskich z XIX w.

Liberalizm francuski zaczyna wracać na swe miejsce w połowie lat 60-tych, kiedy to partia CNPF w swej "Karcie liberalnej" ogłoszonej w 1965 r. wysuwa dobitne oskarżenia wobec ingerencji państwa w sprawy cen; w latach 70-tych liberałowie rozpoczynają zdecydowaną kampanię przeciw lewicowemu programowi nacjonalizacji. Jednym z czołowych popularyzatorów anglosaskich propozycji w tej dziedzinie staje się Henri Lepage, dziś autorytet w skali międzynarodowej.

Wzrost znaczenia idei liberalnej znajduje swój wyraz w programach politycznych partii prawicowych. Domagają się one całkowitej denacjonalizacji, zniesienia podatku progresywnego, powrotu do ubezpieczeń prywatnych, reprivatyzacji systemu nauczania, rewizji systemu ubezpieczeń społecznych, reprivatyzacji służby zdrowia itp. Wszystkie te propozycje składają się na program bardziej liberalny niż te realizowane przez Reagana czy Margaret Thatcher, program zaskakujący swą kategorycznością i skrajnością nawet niektórych ludzi prawicy. Jest to jednak być może tylko kwestia przyzwyczajenia. Jacques Chirac jeszcze w 1979 r. twierdził, że *wiara w państwo-observatora i w spontanną grę sił gospodarczych jest koncepcją archaicznego liberalizmu, a sam liberalizm nie jest odpowiedzią na problemy współczesnej ekonomii, zaś dziś oświadcza, że liberalizm narzuca się nie jako wybór, lecz jako konieczność i że w tym, co dotyczy produkcji, państwo powinno być nieobecne całkowicie lub tak, jak to tylko jest możliwe.*

państwa na szerokiej płaszczyźnie, ale interwencjonizm należy do orientowanego, liberalizm głoszący hasła równych szans dla obywatela, zasadę równych punktów wyjścia. Jest to liberalizm domagający się nie tylko wolnej gry sił, ale utworzenia warunków dla tej wolnej gry" w strukturze społeczno-gospodarczej - przez dążenie do bardziej wyrównanego ustroju własności zarówno w rolnictwie, jak i w przemyśle, przez ochronę pracy, przez oświatę i kulturę ludu.

Nasilenie pierwiastka socjalnego przypomina stanowisko Waltera Lippmanna i niemieckich Ordoliberalistów, natomiast spośród klasyków jest w tym świadome nawiązanie do Johna Stuarta Milla. Tak jak Mill, Zweig akcentuje e t y c z n e nacylenie swej doktryny: *W neoliberalizmie pierwszą wartością jest nie sysek, ale wolny, nowy człowiek odrodzony w prawdziwym humanizmie, który rozwijać się może tylko i wyłącznie w atmosferze wolności.*

Pomimo swoistego brzmienia, głos Ferdynanda Zweiga nie wznosił się z ostrzegawczego chóru neoliberalnego lat 30-tych, zwracającego opinii publicznej uwagę na śmiertelne zagrożenie demokracji zachodnich. Przypomnę, że główne dzieło Zweiga *Emierzak czy odrodzenie liberalizmu* wyszło w roku 1938, kiedy zagrożenia te były już widoczne gołym okiem. Ziemach Zachodu - pisał Zweig - to przede wszystkim proces rozkładu wspólnoty kulturowej i gospodarczej świata euro-amerykańskiego. Spokojna ewolucja form ustrojowych została przerwana w ogniu wojny światowej 1914-1917. Nadeszła epoka wycięska dla kombinacji nacjonalizmu i socjalizmu, dwóch sił, które wyzwoliły ogrom kinetycznej energii. Skazało się przy tym, że siły te wzmacniały się wzajemnie, zamiast się - jakby się pozornie zdawało - wykluczać. *Socjalizm jest najkonsekwentniejszym nacjonalizmem, gloryfikującym państwo i wszystko oddającym temu państwu. Nacjonalizm, gloryfikujący naród i wszystko temu narodowi oddający w istocie prowadzi do tego samego. I wszędzie nacjonalizm wzmacnia socjalizm, a socjalizm wzmacnia nacjonalizm.* Zwycięstwo obu sił przyniosło nie tylko kres wewnętrznych wolności obywatelskich w szeregu krajów, spowodowało też chroniczny kryzys całej sfery stosunków międzynarodowych. *Cały dorobek humanizmu europejskiego rozpada się przed nami. /.../ Istnieje jeszcze w Europie wspólnota cywilizacji technicznej świadomie kontynuowana i rozwijana, ale wspólnoty kulturowej jest coraz mniej.* Zweig miał przed oczami narodowy socjalizm Niemiec i komunistyczną ekspansję Rosji. Jawił mu się - i nie tylko jemu - obraz chaosu, który bynajmniej nie był żywiołem twórczym, zapowiadającym wykryształizowanie się nowego ładu o trwałych wartościach kulturowych.

Kreśląc w czarnych barwach przyszłość Europy, Zweig nie traktował swej wizji w kategoriach fatalistycznego przeznaczenia - niepomysłny trend uważał za odwracalny. Polski liberał należał do tych, którzy najmocniej wierzyli, że idea wolności nie jest martwa, że przyjęcie zmodyfikowanego programu liberalnego będzie jedynym wyjściem z tego, jak to nazywał *stek sprzeczności i bezsensów*, w jakie wplatała się ludzkość. Niezbędna była jednak po temu wycięzona praca myślowa, uprzedzająca proces historyczny, ucząca ludzi widzieć stare prawdy liberalne w nowym świetle - tak też pojmował swoją misję życiową. *Jeśli w nowym człowieku obudzi my głód i umiłowanie wolności, stworzy on nową skalę wartości dynamicznych, nowy układ i treść elementów potrzebnych*

dla gry liberalizmu, a zniszczy inn. elementy dziś grę liberalizmu wykluczając. W całym kręgu neoliberalnym, stawiającym sobie za cel rewitalizację tradycyjnego systemu wartości, Zwęig wyróżniał się optymizmem; wierzył, że liberalizm może stać się swego rodzaju *utopia przysziłości*. Aby jednak odnaleźć drogę do masowej wyobraźni, nawiązać ponownie kontakt z dążeniami szerokiej rzeszy ludzkich, program liberalny musiał być pozbawiony swego "ultraracjonalizmu" - musiał odzyskać zdolność wzbudzania emocjonalnych reakcji społecznych.

Na czym opierał swój optymizm krakowski uczyony, piszący w epoce zwycięskiego pochodu faszyzmu i narastającego stalinizmu? Analizując pod tym kątem jego prace wydane w Polsce, można doszukać się czterech powodów. Pierwszy z nich, to przedwcześnie ogłoszony przez Zwęiga kryzys mitu socjalistycznego i rozważowanie co do reform dokonywanych pod wpływem marksistowskiego wariantu tej ideologii. Za szczególnie fałszywy i destrukcyjny element marksizmu uważał Zwęig ideę walki klasowej, czyli sztuczne zamykanie społeczeństwa w dwa obozy, tworzone pod hasłem nienawiści i walki. Jest to bowiem tworzenie warunków dla stałej, ciągle grożącej wojny domowej, wojny dwóch klas, nastawionych na wzajemne wyniszczenie i użyczenie. Zwęig przewidywał, że system totalny, wyłaniający się z tej wojny, będzie systemem deprawowania charakterów. *Ustrój ten - pisał - nigdzie, na żadnym polu nie wykazuje tak fatalnych rezultatów, jak na polu moralnym. Tu spustoszenia są największe i najgroźniejsze ...* Twierdził jednak, że ... *emocjonalnie ten typ socjalizmu nie może wywoływać już dziś głębszych ruchów i silniejszej ideowej dynamiki.* Socjalizm, by mógł powstać z klęski, musiałby zanegować marksistowską ślepa uliczkę i wrócić do swych źródeł w socjalizmie utopijnym, to znaczy odrodzić się w kombinacji z żywotnymi i niewygasłymi siłami liberalizmu. Zwęig nie przewidywał, iż kryzys ideologii nie zahamuje ekspansji komunizmu, wzrosnie jedynie cena militarna kolejnych podbojów i nie zmaleje dawka przymusu potrzebna dla utrzymania dotychczasowych zdobyczy.

Drugą przesłanką optymizmu Zwęiga było przekonanie, że w końcu szeregi zwolenników liberalnych wolności zasila robotnicy, dojrzewając do tego szybko, gdy tylko znajdą się w szponach biurokratycznego aparatu państwa totalitarnego, zmuszeni przyjąć narzucone ogólnie warunki pracy i płacy, pozbawieni prawa do strajku i protestu, słowem zdegradowani do roli współczesnych niewolników. Nasytzenie protestów robotniczych w powojennej Europie Wschodniej hasłami wolnościowymi potwierdziłoby częściowo przepowiednię Zwęiga, z drugiej strony jednak warto pamiętać o rozdziewku między hasłami a faktycznymi postawami, nasiąkniętymi bezsprzecznie wielopokoleniowymi wpływami totalitaryzmu - reprodukującymi, jak powiedziałyby Jadwiga Staniszkis, istniejący system. Ponadto, o ile w jakimś stopniu druga przesłanka optymizmu Zwęiga znajduje potwierdzenie na Wschodzie, to równolegle w bogatych społeczeństwach Zachodu nic nie wskazuje na to, by wolność mogła zdystansować bezpieczeństwo socjalne w hierarchii potrzeb masowych.

Trzecim czynnikiem zwiększającym szanse rozwiązania liberalnego była, zdaniem Zwęiga, zmiana charakteru postępu technicznego. Wzorem innych neoliberalistów przeciwstawiał się on tezie, że

postęp techniczny musi koniecznie iść w kierunku koncentracji produkcji i kapitału, monopolizacji i przez to eliminacji gry wolnorynkowej. Monopole, trusty i kartelle to oczywiście tylko formy nowoczesnej techniki przemysłowej. Wzrastała ona dla swego istnienia ochoty prawnej i "pożyty" protekcyjnalistycznej-stały się one "związkami jednolitymi" przykładem postępu technicznego typu "e t c r n o e n t r a c y j n e g o", widząc w nich dowód odwracającego się trendu. Analogicznym uwarunkowaniem szansa liberalnych była konieczność w sferze uwarstwienia społecznego - ostatni powód ogólnymu //1/. Ewolucja ta polegała na stopniowym zmniejszaniu się w regow proletariatu i odradzaniu się "stanu średniego", będącego naturalnym nosnikiem etosu liberalnego. Gdy rozpatrujemy los liberalizm w przyszłość" pisał Zweig, musimy też uwzględnić szansę restytucji stanu średniego.

Resztkie to naturalne procesy sprzyjające liberalizmowi, należy do czyniło świadomie wspomagane. zasadniczym atutem marksistowskim straciłoby program liberalnego powina być, według Zweiga, zgodna z logiką tego programu założona własność - uwłaszczenie mas poprzez zapotrzebowanie ich w jakimś minimalnej własności, zaspokajające im potrzeby materialne i niezależności, wydobywające szeroko masę ludzką z "stanu społecztarzystowania i alienacji". Oto sedno programu Ferdynanda Zweiga - jego cel liberalizm był programem "demokratyzacji i akcji własności" przy wdrażaniu. Była to promocja uspołecznienia, przywrócenie całej ludzkości do własności, ale nie na drodze nacjonalizacji, w której nieuczestniczą imi liberalni totaliści. Jednym z celów było wywołanie nowych postępujących form produkcji, klasyczny liberalizm uważał własność za wolność, została więc podzieleny - własność prywatna namus Zweig straszył nacjonalizacji. Kto odwrócił w obszarze liberalizmu, ten musi walczyć o oddzielenie mas własnością, dając im materialny fundament niezależności. I podobnie konsekwencją straszył ten totalitarizm jedynie na drodze "kolibralizacji". Oni też chcieli zamienić system akcyjny, przesłajony dotąd na rzecz koncentracji przemysłowej, w instrument decentralizacji własności. Zweig uważał, że mogłoby to nastąpić na drodze zapewnienia akcji, jako ... instrumentowi oszczędności ludowej, skutecznej ochrony przed zwolnieniem i ulgi państwowe dla walczących dochodów płynących z akcji, przez usprawnienie gospodarki akcyjnej jej rygorystyczną kontrolę bilansową i prawną, przez usprawnienie akcjonariatu bezpośredniego prawa do dysku przedsiębiorstwa akcyjnego itp.

Chyba to rzeczywiście najbardziej fragment reformy zdolnej zjednać liberalizmowi masowe poparcie. W tym celu Zweig zażądał radykalnej podziału własności społecznej, poprzez "spółkę ludzką", hasła i spółdzielni, krajów potencjalny, aktywne poparcie rzeczywistości, małych i średniego przemysłu oraz rozwój szkolnictwa zawodowego. W ramach programu ten uznawano byłoby wolność w zarządzaniu dóbr, kapitałów i wolność w obrotach międzynarodowych. Pokazanie wzajemnych zależności między wewnętrzną i zewnętrzną częścią programu liberalnego to jeden z najmocniejszych punktów w dorobku Ferdynarda Zweiga. W *Wskazówkach Zwierzeń omy odrodzenie liberalizmu oraz history systemy ekonomii* dał on uwarunkowanie trafną i aktualną do dziś analizę związków autarkii z etatyzmem i militarystycznym oraz charakterystykę koniecznych międzynarodowych uwarunkowań gospodarki rynekowej i demokratycznego żądania politycznego.

//1/ Nowe tendencje w zakresie technologii i uwarstwienia społecznego opisał Zweig w pracy *Ekonomia i technika*, Kraków 1935.

Zweig przyjmował więc, że szansa stojąca wciąż przed liberalizmem jest warunkowa. Wierzył jednak, że podaje warunki możliwe do spełnienia. Tym bardziej, iż według jego własnych słów - liberalizm należy dawkować, stosować z niego tyle ile się da i tak długo jak się to da. Dążenie do liberalizmu integralnego uważał za nierealne, podobnie jak i dążenie do jakiegokolwiek innego ustroju opartego na jednej, dążącej zasadzie myślowej - chodzić może o przewagę, a nie o wyłączenie jednej zasady. Neoliberalizm Zweiga był w założeniu orientacja światopoglądowa, ustrojowa i ekonomiczna co do celów i metod działania, nie zaś zamknięta wizja czy kodeks praw i zobowiązań. Rozumowo wykonany plan ma wprawdzie wyższość nad liberalną wizją systemu opartego na społecznej i rynkowej autoregulacji, realizującego się poprzez swobodne czyny jednostek, ale jest to wyższość w kategoriach logicznych, niezmiernie zawodnych i ryzykownych w projektowaniu społecznym. *Liberalizm chce realizować ustroj niedoskonały ale lepszy od innych.* - pisał Zweig.

Takie było pierwsze wcielenie Ferdynanda Zweiga, profesora ekonomii i doktora prawa z Krakowa, wierzącego głęboko, że w poszukiwaniu rozwiązania węża gordyjskiego, w jaki ludzkość uwikłała rządy przymusu, opieki i manipulacji, wybór padnie na liberalny program wolności, bo ... *wolność jest najlepszą, najskuteczniejszą i najtańszą zasadą sztuki rządzenia i gospodarowania.*

Potem jednak nastąpił kataklizm wojenny. Zweig, poprzez Francję trafił do Anglii, gdzie na początku otrzymał stypendium *British Council*. Pełnił funkcję doradcy ekonomicznego polskiego rządu emigracyjnego. Szybko, jak wspominałem, stanął na własnych nogach - zaczął publikować w języku angielskim. Ale były to już nieco inne książki od tych, które wydawał w Polsce. W czasie wojny powstała praca o planowaniu *The Planning of Free Societies* - 1942/, interesująca nie tyle jako analiza totalnego planowania w komunistycznej Rosji i faszystowskich Niemczech, ile jako przegląd wczesnych, cząstkowych eksperymentów planistycznych, dokonywanych w różnych społeczeństwach, między innymi polskiego Centralnego Okręgu Przemysłowego. Potem Zweig rozpoczął całą serię studiów społeczno-ekonomicznych, poświęconych życiu, pracy i nawykom konsumpcyjnym górników i innych grup przemysłowych w Anglii: *Men in the Pits*, *Labour, Life and Family* - obie w roku 1948, *The British Worker* - 1953, *The Worker*. *Affluent Society* - 1961%. Już same tytuły tych książek sygnalizują, że mamy do czynienia z innym Zweigiem. Usiłuje on wprawdzie, także w nowym wcieleniu, bronić liberalnego systemu wartości, ale przestał wierzyć w liberalizm jako "utopię przyszłości". Wspomniana praca o planowaniu, wydana w 1942 roku w Londynie, symbolizuje warunkowe pogodzenie się autora z technokratycznym trendem w gospodarce, trendem, któremu przeciwwstawiał się wcześniej, podobnie jak wielcy neoliberali tego okresu: Mises, Roepke, Eucken, Robbins oraz Hayek, który zresztą zapoznał się z manuskrytem pracy Zweiga i któremu nasz uczyony dziękuję za życzliwe uwagi. W konkluzji swego dzieła Zweig pisał: *Wszystko, co możemy powiedzieć, to że świat, jakiśmy kiedyś znali, przestał istnieć, a świat, do którego zmierzamy nie jest ani znany, ani też doskonały czy stabilny. Ma on plastyczność, żeby nie powiedzieć wulkaniczną charakterystykę. Jest pełen niekonsekwencji, nierozwiązanych sprzeczności, pełen zagrożeń i nadziei.*

*jest mieszaniną zła i dobra i dlatego obiecuje nagrodzenie od-
wagi i wyobraźni.*

Trzeba zatem studiować nową ekonomię i nowe społeczeństwo, zrozumieć funkcjonowanie nowych idei i instytucji. Świat planowania, taki jaki odstaną się obecnie naszym oczom - pisar Zweig - to *całkowicie nowa ekonomia, całkowicie nowa cywilizacja* ... Zwraca tu uwagę zmiana stanowiska Zweiga w kwestii postępu technicznego: to ... *wiek maszyn narzucił nam rosnący stopień racjonalizacji i planowanie jedynie wienący dzieło, które rozpoczęła rewolucja przemysłowa*. Ugięcie się przed tym, co nieuchronne, nie oznacza jednak rezygnacji z wolności i cnót liberalnych. *Gospodarka planowa wymaga, dla zneutralizowania jej ujemnych następstw, wzmocnienia tradycji tolerancji i wolności. Najcenniejsze wartości, takie jak tolerancja, wolność, swoboda myśli i wyznania, moralna suwerenność każdej istoty ludzkiej, muszą być podtrzymane za wszelką cenę*. Tak więc Zweig pozostał świadom zagrożenia, jakie niesie planowa organizacja życia gospodarczego dla demokratycznego ładu społeczno-politycznego. Planowanie traktował jako potężne, aczkolwiek niezbędne narzędzie, które powinno być używane z rozwagą, tylko tam, gdzie wydaje się to niezbędne - narzędzie użyteczne tylko w małych, kontrolowanych dawkach, jak lekarstwo, którego przedawkowanie zabija pacjenta, zamiast go uleczyć.

Na czym wobec tego polega rezygnacja, jaką dostrzegam w angielskiej twórczości Zweiga? Polega ona na próbie wkomponowania liberalnego systemu wartości w projekty społeczne pochodzące z odmiennych ideologii. Liberalizm ograniczony do sfery aksjologii zamienia się niestety w katalog pobożnych życzeń. Ostrze kampanii neoliberalnej czasu wojny kierowało się przeciw tego typu myślowym i praktycznym kompromisom, jakie zawarł Zweig. Mises i Hayek uważali je za próby pogodzenia ognia z wodą - próby dezorientujące opinię publiczną i zwiększające groźbę infiltracji świadomości zbiorowej przez doktryny totalitarne. Elementy planowania były dla konsekwentnych neoliberalistów narzędziami destrukcji, wymykającymi się spod kontroli, zagrażającymi rozkładem gospodarki rynkowej, zniszczeniem w rezultacie ekonomicznych podstaw wolności politycznej i wyjałowieniem gleby życia społecznego z cnót liberalnych.

Z perspektywy dzisiejszego państwa dobrocytu i niereformowalnego jak dotąd państwa realnego socjalizmu, przesadzony wydaje się zarówno alarm neoliberalistów, jak i bezkrytyczna wiara w rozwiązanie mieszane. Z dwóch wcieleń Ferdynanda Zweiga wybieram jednak oczywiście to pierwsze, krakowskie - uczonego pracującego swym dziełem na rzecz cnoty liberalizmu, ufającego, że ... *Myśl nie jest bezużyteczna. Zakończona w odpowiednim punkcie i w odpowiednim czasie, staje się niejeńcówkrotnie dzwignią historii.*

JĘDRZEJ BRANECKI

JERZY KULICKI

ZDZIECHOWSKI I ROSJA

Co niedzielnę podążał z Antokolu do wileńskiej katedry trzymając w dłoni gruby modlitewnik, zamysłony, nie zauważający starych kamieniczek ani barokowych kościołów o roztańczonych kształtach, przejęty rozważaniami o naturze dobra i zła, o losach świata i sensie dziejów. Wydawał się anachroniczny w XX wieku - epoce elektryczności, samolotów, odkryć Einsteina i Bohra, epoce dalekosieźnych i precyzyjnych armat. Niejednokrotnie zarzucano mu i nadal się zarzuca, że jego sposób widzenia rzeczywistości jest zupełnie nienowoczesny, pasujący raczej do średniowiecza przesyconego mistyką i teocentryzmem, wypełnionego głuchym brzmieniem przestrogi *memento mori*. Marian Zdziechowski nie zmieniał tych przekonań mimo licznych ataków, nie ulegał modom. Dążył do poznania prawd ponadczasowych i nie uważał bynajmniej, by współczesne społeczeństwo pozbawione zmysłu świętości mogło mu udzielić jakichś skutecznych wskazówek w drodze do przeniknięcia największych tajemnic człowieka.

Bez specjalnych wahań powinniśmy go uznać za najwybitniejszego myśliciela religijnego jakim mogła szczerzyć się Polska na przełomie XIX i XX wieku i jednego z najbardziej interesujących w ówczesnej Europie. Był prawdziwym prekursorem ekumenizmu, lecz nie to fascynuje nas obecnie w postaci starego profesora z Wilna. Zwykło się mu przyznawać dzisiaj miano Kassandry, jako że pod koniec życia niestrudzenie ostrzegał świat, Europę, a przede wszystkim Polskę przed nadchodzącą Apokalipsą. Wieszczyl zagładę świata wartości uosabianego jeszcze przez współczesne mu społeczeństwo, głosił katastrofę oszpecającą ludzką mającej utracić swe zasadnicze atrybuty - poczucie własnego "ja", wolność wyboru oraz umiejętność rozróżniania dobra i zła - która miał pochłonąć miliony kolektywizmu. Pod tym względem Zdziechowski nie był nikim niezwykłym w swojej epoce, działali wszakże Spengler, Znaniecki, Ortega y Gasset, Witkacy... Odróżniał się jednak od nich śmiałością, z którą przestrzegał ludzi przed "widmem przyszłości". Nikt nie czynił tego z większym przekonaniem niż on. Spekulacja historyzoficzna spotkała się u niego z doświadczeniem mistycznym: *Należę do tych, jak się zdaje nielicznych - pisał w 1937 roku - którzy bardzo wyraźnie słyszą huk nadchodzącej nawałnicy, o której powiedziano, że "przyjdą dni ucisku, jakie nie były od początku stworzenia i powstanie naród przeciwny narodowi, królestwo przeciw królestwu, nastąpi obrzydliwość spustoszenia i ludzie schnąd będą ze strachu" a "gdy ujrzycie to wasytka, wiedzcie, iż Pan blisko jest, we drzwiach" (Mat. XXIX 33).*

Namiętność wystąpień Zdziechowskiego nie była bynajmniej poddyktowana jego temperamentem. We wspomnieniach uczniów czy współpracowników - Czesława Miłosza, Stanisława Stompy, Czesława Zgo-

rzelskiego - zachował się obraz człowieka skromnego i spokojnego, wręcz niesmiałego. To wyjątkowa wrażliwość na wszelkie postacie zła kazała mu krzyczeć, że Europa mierza ku przepaści spychana przez obłąkańcze sukcesy totalizmów, że najpotężniejszy kraj naszego kontynentu stał się krajem bez Boga, władztwem szatana. Rosja, właśnie ona, była kolebką niebytu - zła, które miało ogarnąć cały świat. Zdziechowski znakomicie znał imperium carów oraz ZSRR. Wszystkimi jego poważniejszymi pracami i setkami artykułów towarzyszy refleksja nad dziejami i przyszłością tego państwa. Nie lądźmy się, że na kilkunastu stronach uda się nam wszystko to przeanalizować i ocenić. Jesteśmy zdani na szkice szybkie, pobieżne, wychytujące jedynie kontury problemów. Aby jednak nie popaść w beżiady, nie zamienić szkicownika w brudnopis, należy ustalić pewien porządek. Otóż porzućmy marzenia o streszczeniu - to niewykonalne - spróbujmy odtworzyć w oparciu o pisma Zdziechowskiego pewne kategorie myślowe, którymi posługiwał się on w swej publicystyce oraz pracach naukowych.

ROSJA

Pojęcie wydawać by się mogło oczywiste, posiadające swą definicję w każdej encyklopedii, pocóż więc dokonywać jakichś sztucznych zabiegów? W istocie rzeczywistość jest o wiele bardziej skomplikowana niżbyśmy chcieli to niejednokrotnie widzieć. Dla nas, owszem, słowo "Rosja" stanowi wyłącznie nazwę krainy geograficznej, tudzież pewnego zjawiska historycznego i nie zawiera szczególnych podtekstów, jednakże dla ludzi z przełomu XIX i XX wieku - nie było to wcale tak jasna. Dziewiętnastowieczny poeta rosyjski Fiodor Tiutczew pisał, że *Rosji nie można pojąć ani umierzyć, w Rosję można tylko wierzyć*. Na ową wypowiedź powołują się w swych pracach Zdziechowski oraz Bierdiajew, choć każdy czyni to z innych względów. Bierdiajew, spadkobierca i namiętny krytyk rosyjskiej filozofii XIX stulecia, widział w swojej ojczyźnie uosobienie cech predystynujących ją do odegrania wybitnej roli w dziejach świata, szczególnie zaś w dziejach chrześcijaństwa. Dla Zdziechowskiego Rosja, jak uresztą każdy inny kraj, a właściwie zamieszkuje ją go ludzie, stanowiła nośnik pewnych wartości moralnych urzeczywistniających się w historii za pośrednictwem danego narodu. Starał się odkryć najgłębsze tajemnice duszy rosyjskiej, usiłował stworzyć to, o czym marzył Gogol - pisać drugi, spalony później przez siebie tom *Wartwych dusz* - pełny obraz Rosjanina ze wszystkimi jego uadami i zaletami.

Zestaw wartości prezentowanych przez dany naród nie jest w ujęciu autora *Widma przeszłości* czymś stałym, ahistorycznym. Kolejne cechy pojawiają się stopniowo, są wynikiem realnych wydarzeń z przeszłości i na odwrót, niektóre fakty dziejowe zdeteminowane są w pewnym stopniu aksjologicznym chłiczem danego społeczeństwa. Za najważniejszy dla duchowego rozwoju Rosji uznaje Zdziechowski najazd mongolski, a następnie panowanie Piotra I. Upadek Rosji Kijowskiej oraz brutalne rządy tatarskich zdobywców wycisnęły niezatarte piętno na charakterze kultury rosyjskiej. Wówczas to, z nigdy później nie spotykaną ostrością, stanął problem azjatyckości Rosji. Czy jest ona jeszcze Europą? *Rosja spadkobierczyńią duchowej spuścizny Bizancjum, choć nie należy do Zachodu w ścisłym tego słowa znaczeniu, lecz nie jest też Wschodem, a stanowi przejście z jednego do drugiego, zarówno zewnętrze pod względem geograficznym, jak i wewnętrznie w swych właściwościach psychicznych*. O silnych związkach z Azją przesądzały w przypadku Rosji zasady, na któ-

rych opierało się życie społeczne: niewolniczy strach przed absolutnym władcą - carem, strach przed jego gniewem nie znającym hamulców. Knut, zsyłka i szubienica - nieodłączni towarzysze Rosjanina.

Naród rosyjski, ten olbrzym o stu rękach, znieście przedzej okrucieństwo i pychę swego pana rzałł jego słabość - pisał Lermontow - on chce być karany, ale chce puznić się ze swej niewoli, chce głowę podnieść by móc podrwać kto mu rozkazuje. Okrucieństwo i przemoc kładące się cierpieniem na życie mieszkańców Moskwy czy Woroneża były źródłem nie tylko masochistycznego zachwyty nad własnym cierpieniem i poniżeniem, lecz także maksymalizmu w działaniu.

Badacze dziejów Rosji ze szczególną uwagą przyglądają się tym chwilom w historii, kiedy pękały carskie kajdany - powstaniom chłopskim, działalności rewolucjonistów. Rosjanin stawał wówczas wobec nieodcziennej dla siebie sytuacji, możliwości wolnego dokonania wyboru celów, do których ma dążyć, które ma urzeczywistnić w swym życiu. Dotychczas ich zasięg określała kozacka nahajka, teraz miał to uczynić sam. Wybierał cele najwyższe. *Rosjanin - twierdził Bierdiajew - pragnie nie mniej ni więcej tylko zupełnego przeobrażenia życia i zbawienia świata, to cecha rasowa i z tą cechą wiąże się wszystko, co jest rzeczywistością wielką i oryginalną w kulturze rosyjskiej.* W odpowiedzi na poglądy przyjaciele Zdziechowski pisał: *Maksymalistyczna orientacja myśli ma swoją słabą stronę, z wysokości bowiem nieskończonych i nieuchwytnych kopieczi ziemia i sprawy ziemskie wydają się czymś tak małym i martwym, że błędą nawet różnice między dobrem i złem i obryźdzenie będąc w duszy maksymalisty Rosjaninowi te drobne w jego mniemaniu i głupeczności, którymś stoją społeczeństwa, a które nie sięgają poza sferę elementarnych obowiązków rodzinnych i obywatelskich. W dążeniu do celu Rosjanin potrafiłby zdeptać wiele wartości nieświadom nawet ich istnienia; przykładów nie trzeba szukać daleko: w literaturze Raskolnikow, w historii - rewolucja październikowa.*

Z natury rzeczy głównym dla nas problemem etycznym duszy rosyjskiej jest jej stosunek do narodów podbitych. - pisał Zdziechowski zwracając uwagę na problem najbardziej niepokojący wszystkich, którzy pragnęli przypisać Rosji wyjątkową rolę w dziejach świata. Jakże bowiem stroić w szaty zbawiciela Europy państwo dążące do wyniszczenia Polaków, Żydów, górali kaukaskich. W społeczeństwie rosyjskim opinie na ten temat były bardzo podzielone. Istniała grupa żądająca bezwzględного kursu wobec mniejszości narodowych, zdławienia jakichkolwiek form samodzielności. Węsto nawet nie starano się o szukanie wyższych przesłanek dla uzasadnienia takiego postępowania - wystarczyło stwierdzenie, że taka jest rosyjska racja stanu. Jedynie niewielką garstką elity intelektualnej usiłowała stawiać opór tej nienawiści, lecz wpływy jej były znikome. Dominowała grupa starająca się uspokoić swoje sumienie rozmaitymi wywodami przedstawiającymi Rosję jako narzędzie w rękę Boga - *Gesta Dei per Russos!* Działania polityczne, czy to zaborcze, przybierały wówczas charakter wznieśłych czynów moralnych lub religijnych. Zniszczenie Turcji - ostoi islamu, oswojowanie i zjednoczenie braci Słowian, wyzwolenie chłopów polskich spod władzy szlachty - oto niektóre przykłady.

Zdziechowski był niezrównanym szermierzem w walce z *falszym uniwersalizmem* wnoszącym się pod *chmurami, identyfikującym powszechność z rosyjskością, nie potrafiącym zrozumieć innych narodów, co więcej walczący nie tylko piórem.* W 1903 roku powstał w Krakowie Klub Sło-

wiański skupiający najwybitniejsze osoby ówczesnego życia naukowego i kulturalnego w Galicji. Zdziechowski piastował w nim godność prezesa, a jego członkami byli m.in.: Adam Grzymała-Siedlecki, Jan Baudouin de Courtenay, Kazimierz Nitsch, Józef Tretyak, Kalikst Morawski, Feliks Koneczny. Założyciele Klubu zdecydowali się przeciwdziałać prorusyjskiej propagandzie pańszczykowskiej zdobywającej duże wpływy w monarchii austro-węgierskiej, dążącej do przekonania mieszkańców Europy Środkowej i Południowej, że jedynie arcysławiańskie imperium carów jest im w stanie zapewnić godziwe warunki rozwoju. Była to walka z fałszem, który aczkolwiek był początkowo teorią historiozoficzną, słowianofilską utopią, jednak szybko przeobraził się w niebezpieczną doktrynę polityczną uzasadniającą z moralnego punktu widzenia zabarczość Rosji. Taka postawa była dla Zdziechowskiego konsekwencją pojmowania tego kraju jako uosobienia niewoli, kłamstwa, strachu, okrucieństwa oraz maksymalizmu zgubnego dla wszelkiej wartości.

PRAWOSŁAWIE

Jednym z nielicznych jaśniejszych punktów w obrazie Rosji stworzonym przez Zdziechowskiego było jej życie religijne, a i to nie w całości. Po pierwsze chrześcijaństwo straciło najważniejszy łącznik z Europą. O ile państwowość i zasady życia społecznego przepojone były w Rosji według niego duchem Azji, o tyle religia miała wspólne korzenie z Zachodem. Powtarzał za Sołowiowem, że patrząc na współczesną sytuację chrześcijaństwa, a szczególnie katolicyzmu i prawosławia należy pamiętać, że zanim doszło do rozłamu upłynęło tysiąc lat jedności, siedem set lat powszechnych ustanowiło dogmaty wspólne dla obu obrządków, różnice zaś mają przede wszystkim charakter kulturowy i organizacyjny.

Głoszenie poglądów podkreślających spójność chrześcijaństwa to dopiero wiek XX. W momencie gdy Zdziechowski rozpoczynał swoją karierę uczonego (lata 80-te XIX w.), triumfowały w Rosji sądy zupełnie odmienne, wywodzące się ze słowianofilskich idei Aleksiego Chomiakowa, Konstantego Aksakowa, Iwana Kirejewskiego. Pierwszą, niepodważalną prawdą była wyższość prawosławia nad katolicyzmem wynikająca z utrzymania przezeń charakteru najbliższego duchowi pierwotnego chrześcijaństwa, religii Chrystusa i apostołów. Rzymski katolicyzm uchodził za twór zwyrodniały, zdeprawowany przez racjonalizm oraz dążenie do supremacji nad władzą świecką. Myśliciele rosyjscy podkreślali jak wielkie znaczenie dla podtrzymania prawowierności miało uniknięcie przez cerkwie rozbudowy hierarchii duchowej oraz instytucji kościelnych - cerkiew nale zapewnić swym wiernym wolność w obrębie kościoła, podczas gdy katolicyzm owaśniłty bezdusznym legalizmem surowo reguluje szczegóły życia ludzkiego. Wiele energii kościoła na Zachodzie pochłaniają według Aksakowa zmagania z władzą państwową, czego uniknął kościół ortodoksyjny wyrzekając się wszelkich pretensji do władzy świeckiej i kierując swe wysiłki ku jednemu tylko celowi - Zbawieniu ludzkości poprzez modlitwę i ofiarę. Taki sposób widzenia prawosławia oraz katolicyzmu przyjęty w Rosji powszechnie, stał się elementem wielkorosyjskiego szowinizmu wypracowywanego w puście czoła przez propagandę. Wąską rolę w kształtowaniu tego obrazu odegrała literatura - np. Dostojewski i jego Wielki Inkwizytor/.

Spyry o to, komu przyznać primat w chrześcijaństwie zabarwić-

ne subiektywizmem i emocjami religijnymi nie zajęłyby tyle miejsca w pismach Zdziechowskiego, gdyby nie konsekwencje polityczne owych polemik. Otóż z wyższości szczególnej roli, która winna przypaść Rosji w Europie, a zwłaszcza w świecie słowiańskim. Ona, ostoja prawdziwej wiary oraz najdoskonalszych form życia społecznego podzielił się z innymi narodami swym dorobkiem. Ruseyfikacja uchroniła gnijącą Europę przed zagładą, otworzył nowy rozdział w dziejach - epokę szczęśliwości. W latach osiemnastych XIX wieku niechętnie dotychczas tolerowani przez władze słowianofile znajdują pełną akceptację u najwyższych czynników państwowych jako ci, którzy udzielił bógosławieństwa polityce nie przebiegającego w środkach wynaradawiania Polaków, Ukraińców, Litwinów, mieszkańców Kaukazu; którzy uczynią z rosyjskiej ekspansji na Bałkanach obowiązek etyczny i religijny. Odtąd każdy, kto próbowałby stanąć w poprzek koncepcjom Petersburga, winien być uznany za szaleńca przeciwstawiającego się prawom historii i zamiarom Opatrzności.

W swoich polemikach z panslawistami atakował Zdziechowski przede wszystkim niemoralność takiego postępowania, udowadniał, że nie można budować dobra poprzez czynienie zła - zadawanie cierpienia, ograniczanie wolności. Atakował również dokonywaną przez rosyjskich publicystów i myślicieli idealizację życia społecznego w Rosji, które w rzeczywistości było ponure i prymitywne, zaś prawa nim rządzące trzeba było uznać za rażąco anachroniczne, a nigdy za wzór godny naśladowania. Szczególnie mocno krytykował cerkiew, jej stan wewnętrzny /łapownictwo, pogon za majątkiem, ciemnotą, zupełne zagubienie powołania kościelnego/ oraz funkcje, które spełniała na rzecz państwa. Dodać tutaj należy, że wychwalane wyrzeczenie się przez cerkiew ambicji w życiu politycznym doprowadziło do całkowitego jej podporządkowania biurokracji, która uczyniła z niej coś w rodzaju specjalnej służby inwigilującej obywateli. Samo słowianofilstwo, początkowo oceniane przez Zdziechowskiego bardzo pozytywnie, stało się dlań *zbiorem sentencji klerykałno-politycznych - doktryną patriotyczno-łojalną.*

Sprzymierzencem Zdziechowskiego w zwalczaniu panslawizmu okazał się najwybitniejszy przedstawiciel rosyjskiej myśli filozoficznej - Włodzimierz Sokółow hołdujący za młodu słowianofilstwu, później krytykujący je namiętnie. Żądał on cios śmiertelny tej doktrynie - udowodnił wewnętrzne sprzeczności, które w sobie ona zawiera i tym samym zakończył poważne dyskusje na jej temat. Słowianofilstwo egzystowało od tego momentu jedynie jako hasło propagandowe albo slogan rzucany czasem przez salonowych polityków. Większe znaczenie miały czysto teologiczne wystąpienia Sokółowa. Od czasu jego wystąpień przeciwko policyjnym funkcjom pełnionym przez cerkiew oraz przeciwko wynaturzeniom, którym dągała organizacyjna strona wschodniego chrześcijaństwa, datuje się początek wielkiego prądu odnowy życia religijnego Rosji. Podążyły za nim najwybitniejsze umysły - sławni "bogoiskatiele": Bierdiajew, Bułgakow, Mereżkowski, Trubiecow, Fioreński i inni. Zdziechowski zaangażowany w dyskusję wokół idei modernizmu katolickiego żywo zainteresował się analogicznym ruchem prawosławnym. Zawsze uważał, że kościół ortodoksyjny posiada wiele wartościowych cech, które katolicyzm utracił w ciągu stuleci, lub których nigdy nie zdołał wypracować. Jednak aż po pierwsze lata XX wieku dyskusja była niemożliwa. Duchowieństwo prawosławne było zbyt konserwatywne, by dopuścić do siebie myśli o kontaktach z katolicyzmem, zaś wszyscy świeccy teologowie byli prawowiernymi słow-

wiarciłama. Lecz *temperamentem*, nowe pokolenie było otwarte na głosy płynące z Zachodu, krótkożycie nastawione wobec istniejącej rzeczywistości. Dialog stał się faktem. *Wpływy myślicieli tej miary co Solowjow i Eugenijusz Trubcecki* - pisarz w latach trzydziestych Zdziechowski - *wzrastał na pożądany dla rozwoju myśli katolickiej, spełniał rolę podobną do wpływów Zachodu a niechoćem.*

Pierwszą wielką 'deę, która zafascynowała Zdziechowskiego, była wizja przywrócenia jedności chrześcijaństwa. Wierzył, że przez wyłączenie dwudziestoletniego podziału społeczeństwa i politycznym wywołaniem do życia Solowjowa, Kłusza - w nim to pragnienie - projekt wywołali to i to, że *zachodnie i wschodnie sąsiadki* - *nie wykluczają się wzajemnie, lecz, przeciwnie, uzupełniają się, przeciw ich podziału nie wytyczymy ich istoty, jest tylko dalszym faktem historycznym.* Zdziechowski nie rozumiał zjednoczenia jako po prostu triumfu katolicyzmu: *Jeśli w dążeniu do wręczystwienia jednej oświatni i jednego państwa idea uniti ze Wschodem przyświeca Rzymowi, to oswiadczenie nie jako dążność do zniszczenia duchowej odrębności Wschodu, tego sposobu myślenia i czucia, który wieki tam wyrobiły. Duszę Wschodu trzeba umieć pociągnąć ku sobie, trzeba liczyć się z nią, przyswoić sobie co w niej najlepsze.* Rosyjska duchowość - *genjusz religijny Rosji*, jak sam to określał - *oto co pociągało go najbardziej w chrześcijaństwie wschodnim.* Swoboda pozostawiona jednostce w jej praktykach religijnych dawała wspaniałe owoce, czasami niemożliwe do uzyskania w sformalizowanym katolicyzmie, gdziekolwiek bowiem szukać u nas w XIX czy XX wieku indywidualności równie potężnych jak "starcy" - św. Serafim Sarowski, Amwrosij, Warsonij, czy Aleksy Miatzew. Wschód nobilitował doświadczenie mistyczne uznawane przez Zdziechowskiego za jedyną drogę poznania Boga, a przygaszone w kościele rzymskim przez racjonalizm. Mistyka prawosławna była dlań bardzo atrakcyjna ze względu na nacisk, który kładła na fakt zmartwychwstania Chrystusa, odgrywającego zresztą najważniejszą rolę w liturgii oraz teologii w całym chrześcijaństwie wschodnim. Święta WielkiejNocy zajmują tam pozycję, która na Zachodzie przypadła Bożemu Narodzeniu. *Wyobraźnię, myśl, duszę człowieka noc odnetego pociąga przyjęcie postaci człowieczej przez Boga, trudy i męki, które Bóg jako człowiek poniósł w celu wyzwolenia człowieka spod jarzama śmierci. Kontemplacyjny Wschód woli patrzeć na dokonane dzieło zwycięstwa nad śmiercią obejmujące radość zmartwychwstania i szczęśliwość żywota wiecznego tych, którzy w zmartwychwstającego Zbawiciela wierzyli.* Cała praca naukowa Zdziechowskiego przepojona jest dążeniem do odpowiedzi na pytanie, skąd bierze się zło i jak je pokonać. Prawosławie wskazywało mu drogę do celu.

Stosunek autora *Widma przyszłości* do chrześcijaństwa wschodniego nie uległ w ciągu kilkudziesięcioletniej działalności naukowej żadnym gwałtownym przełomom. Ten potomek ziemian kresowych urodzony na Białorusi już za młodu odrzucił oficjalną cerkiew i zaakceptował rosyjską duchowość oraz reformatorską myśl religijno-filozoficzną przełomu XIX i XX wieku kładące nacisk na swobodę praktyk religijnych jednostki, prymat wiary i doświadczenia mistycznego nad rozumem.

PAŃSTWO

Pojęcie to stanowi uzupełnienie dwóch omówionych powyżej, bez niego nie zdołalibyśmy odtworzyć obrazu Rosji widzianego oczami Zdziechowskiego. Podobnie bowiem jak w każdym innym przypadku i tu nie wyrzekł się on roli krytyka-moralisty, pozostając

wleryn dewizie z książki *Byron i jego wiek* mówiącej, że *lepiej pióro zlamać niż pisać, nie silić się myśli ludzkiej kierować ku dobru*. Nie zgłębiał natury państwa, jego genezy, organizacji i funkcjonowania, nie był tym zainteresowany ani też nie miał odpowiedniego przygotowania. W swych wypowiedziach dotyczących państwa odwoływał się przede wszystkim do prac bliskiego znajomego, Borysa Cziczeryna, znakomitego filozofa oraz teoretyka państwa i prawa, uważającego, że *państwo jako powołane do urzeczywistnienia idei dobra powszechnego, z natury rzeczy zawiera w sobie pierwiastek moralny i dąży do celu moralnego, oczywiście więc powinno dążyć drogą środków moralnych*.

Przyglądając się rosyjskiemu imperium przez pryzmat aksjologiczny teorii państwa, Zdziechowski starał się odnaleźć wartości moralne, które ono realizowało. Rezultat owych poszukiwań okazał się dla Rosji wielce niekorzystny. Po pierwsze, negatywne zjawiska w życiu cesarstwa nie pojawiały się stopniowo wraz z upływem czasu. Przyczyny ich sięgają początków Księstwa Moskiewskiego, stanowiąc filary, na których zbudowano nowożytne państwo rosyjskie. Dawna Moskwa przejęła wiele z ducha mongolskich zdobywców. Okrucieństwo, wiarołomstwo i ślepy despotyzm stały się czynnikami regulującymi funkcjonowanie całego aparatu państwowego, wyrabiającymi wśród poddanych dzikość i podstępność. Właśnie wokół początków państwowości rosyjskiej rozgorzała gwałtowna polemika między Zdziechowskim a słowianofilami idealizującymi swoją ojczyznę i zaciekłe potępiającymi Zachód. Zdziechowski krytykował poglądy Iwana Aksakowa oraz jego zwolenników głoszących teorię narodzin Rosji bez przemocy, pomijających znacznie niewoli tatarskiej; obalał mity o zgodzie, pokoju i wolności jako podstawach na których oparte było życie Rusi. Pisał między innymi, że *dążenie do władzy i panowania jest zamadło ukorzenione w duszę ludzką ażebyśmy nawet przypuszczać mogli, że kiedykolwiek panować mogły te idealne stosunki*. W Rosji *narod i państwo dążyły do władzy i to ostatnie odniosło zwycięstwo z łatwością nierównie większą niż się to działo w innych mocarstwach*. W dziewiętnastowiecznej historiozofii pojęcia "narod" i "państwo" były bardzo często przeciwstawiane sobie jako uosobienie zupełnie różnych zjawisk historycznych. Fetyszyzacja tych kategorii prowadziła niejednokrotnie do widzenia przeszłości jako terenu zmagania się owych dwóch sił; podobnych błędów nie udało się uniknąć także Zdziechowskiemu. Dzieje Rosji uważał on za klasyczny przykład triumfu państwa nad narodem pozabawionym wszystkich swych najważniejszych atrybutów z wolnością na czele. Nie był to chyba sąd całkiem bezpodstawny, skoro Lermontow pisał z nutą przechwałki: *Możem niewolnik, ale niewolnik cara świata całego*. Gogol zaś komentował tą wypowiedź zgryźliwie twierdząc, że *część monarchy stanowią istotę liryzmu poetów rosyjskich*.

Zdziechowski wyczuwał, że państwo było dla Rosjanina czymś więcej niż instytucją prawną, regulującą życie społeczeństwa. Formalizm ustępował miejsca uczuciowości oraz religijnej pokorze: *osoba cara była w Rosji święta, był więcej niż pomocnikiem bożym, był zastępcą Boga na ziemi*. Bez takiej interpretacji postaw obywatelskich dominujących w całym społeczeństwie, niemożliwe jest zrozumienie niektórych zjawisk z dziejów Rosji, przede wszystkim przekonania chłopów, że *car jest dobrym batuszką gotowym ostatnią kroplę krwi utoczyć z piersi dla dobra swego ludu, a jeśli tego nie czyni, to tylko z winy możnych panów izolujących go od narodu*. Spektakularnym przykładem funkcjonowania tego stereotypu była krwawa niedziela 1905 roku.

*Wierła mała tylko patriotyzm państwowy, który zastąpił miłość ojczyzny...
 Państwo zaś to car i ci... w jego imieniu... gdzie... na cara,
 to dykt... grup, czy... mająca w danej chwili... w ręku. Ojczyzna
 obywateli... państwo zaś nie pyta... o ojczyznę...
 państwo... "Wierogodność", czyli takich, co własnej woli, woli
 spełnienia... i tego spełniają warunki nacjonalizmu, każdego jaki
 się zdarzy.*

ZSRR

Rosja cała zniknęła i rozpadła się na kłuski wony świątobliwej, przy rewolucji. To, co w powstała na jej... zadziwiła całą świat... jakimś... w... siastralnie wydawała przy... Nie... nie... nowo państwo, jeszcze... jak... istnienia, powszechnie uważane je... bawem... Jedyne... dostrzegali - Rosji Sowieckiej cechy gwarantujące jej trwałość, a zarazem czyniące z niej śmiertelnie niebezpieczeństwo dla starego świata. Zaliczyć do nich należy również Zdziechowskiego, który - jak pisał S. Kościałkowski - miał w sobie coś z wizjonerem, powiedziałbyśmy więcej, coś z prorokiem, miał jasne świadomości, przeoczanie i zdolność wycenienia rzeczy przyszłych, tego, czego jeszcze nie... co przyjdzie musi, co przyjdzie nieuchronnie jak nie. Bito... jako konsulentny, jur... ZSRR... wydarzenie to miało swoją perspektywę historyczofizyczną oraz eschatologiczną. Najistotniejszy jej element był stosunek ludzi do Boga, do religii. Właśnie we wzajemnych relacjach pomiędzy... a... dopatrywał się Marian Zdziechowski źródła zjawisk, które stanowią o obliczu kolejnych epok historycznych.

Sredniowiecze to czas równowagi. Religia zajmuje należne jej miejsce, ludzie respektujący dekalog mogą cieszyć się wolnością oraz dobrymi warunkami rozwoju. Sily twórcze narastające w ciągu stuleci eksplodują i rozpoczyna się panowanie renesansu. Ludzki geniusz osiąga wyżyny, upojony powodzeniem i wiłą w swa możliwości, usuwa w cień Boga. Ogień żywiołowej twórczości wyplała się jednak bardzo szybko. Odrodzenie odchodzi w niepamięć, pozostawiając po sobie ubóstwionego człowieka. Wielbią go oświeceni, wielbi zmechanizowany wiek XIX - pierwszy za potęgę rozwoju, drugi za zdolności twórcze pozwalające przewyższać ludziom do władzy nad naturą. Religia jest zdruzgotana. Złabona przez wolterian, poniżona przez rewolucję francuską i Napoleona, dobiega pozytywizm. Bilans wieku XIX nie jest... Na początku XX wieku Zdziechowski stwierdzał: *Wolność wywołano dążąc do... o braterstwie nie może być... klas, powstała równość; ona to jest boginią... Szybki rozwój nowoczesnych ruchów nationalistycznych, gwałtowne uprzemysłowienie Europy zepchnęły człowieka z czoła, na którego swa od renesansu. Zepchnęli się w miasto arkadnie - zienka w szeregach potężnych armii, dodatek do maszyny. Marzenie pozytywistów o ujarzmidzeniu przyrody nie spełniło się. Człowiek czuje się zagubiony, zaczyna szukać ucieczki i znajduje ją. Masa - ona da mu schronienie, zdejmię z jego wątlých barków ciężar odpowiedzialności za podejmowane decyzje, wyzwoli go od koszmaru wolności. Warunek jest tylko jeden - całkowita anonimowość, wyrzeczenie się własnej osobowości. W tym miejscu Zdziechowski zgadza się*

z Ortegą y Gassetem, S.I.Witkiewiczem - początek XX wieku to czas dezindywidualizacji, dążenia do jednostajnej szarości.

W 1917 roku powstało państwo, które jak żadne inne podkreślało wyższość kolektywu nad jednostką winną mu się podporządkować. Przyczyny tego wydarzenia w ujęciu Zdziechowskiego można podzielić z grubsza na zjawiska powszechne, o których była wyżej mowa /dezindywidualizacja, zanik religijności, pozytywizm, industrializacja/ oraz na partykularne zjawiska wynikające z przeszłości Rosji.

Zdziechowski uważał, że rewolucja potwierdziła jego dotychczasowe intuicje. Do takiego mniemania uprawniał go przede wszystkim aksjologiczny obraz narodu rosyjskiego stworzony przezzeń jeszcze przed I wojną światową, a potwierdzony przez wydarzenia rewolucyjne. Maksymalizm każący wybierać cele najwyższe i zapominać o innych wartościach, okrucieństwo oraz podstępność ujawniły się w całej pełni.

Dzisiaj zwykle się analizować ZSRR pod różnymi względami - politycznym, ekonomicznym, socjologicznym - lecz pomija się jednak kategorie religijne, choć zastosowanie ich, pozwoliłoby nam ujrzeć pierwsze państwo komunistyczne w zupełnie nowym świetle. Zdziechowski wraz ze swym przyjacielem M.Bierdiajewem mogą uchodzić za prekursorów takiego spojrzenia na ZSRR.

Pomijając podobieństwo formalne zachodzące pomiędzy bolszewizmem a wielkimi religiami światowymi /kapłani, święte księgi, mesjasz-Lenin itd/ zatrzymajmy uwagę na sprawach najważniejszych, na bóstwie oraz wierze. Komuniści głosili co prawda z uporem /i głósza nadal/, że ich światopogląd opiera się na logicznym rozumowaniu wywodzącym się ze zdobyczy nauki /głównie nauk ścisłych/, lecz w gruncie rzeczy jest w nim sporo elementów irracjonalnych. Jakżeś bowiem oceniać ufność w nadejście epoki powszechnego szczęścia, która nastąpi po zrealizowaniu zasad socjalizmu z zasadą powszechnej równości na czele. To nie nauka przemawia z komunistycznych haseł, to wiara, wiara w ubóstwioną ideę dobrobytu, sprawiedliwości i szczęścia.

Idea socjalizmu była dla bolszewików bóstwem lecz nie bogiem - istniał przedmiot wiary, lecz nie było boga. *Prawda, której nie ukryje teraz żadna zasłona - pisał w latach 20-tych Bierdiajew - jest niemożliwość neutralności religijnej oraz bezreligijności; religii Boga żywego przeciwstawia się religia szatana, religii Chrystusa, religia Antychrysta.* Religia sowiecka była w przekonaniu Zdziechowskiego czymś zupełnie przeciwnym do naszych wyobrażeń o niej, była nie-religią. Rozumiejąc destruktywny charakter wydarzeń zachodzących w Rosji, odwoływał się do słów wypowiedzianych przez Zinaidę Hippus tuż po wyjeździe z ZSRR: *Rosja jest teraz jednym wielkim Nic.* Uważał, że sama natura rewolucji uniemożliwia wyrwanie się z kręgu nicości i rozpoczęcie działalności pozytywnej: *Rewolucja nie oznacza wcale początku nowego życia jak wielu sądzi; ona jest tylko końcem życia starego, zakończeniem procesu rozkładu i gnicia w organizmie narodu czy kraju, karą za grzechy. Żadna rewolucja nie była roźniwą, żadna nie przyniosła owej radości wolności, o której marzyły poprzedzające ją pokolenia, każda zaś wywoływała z ciemnych głębin duszy ludzkiej wszystkie jej najciemniejsze i najpodlejsze instynkty ... Rewolucja rosyjska kultury nowej nie stworzy dla tej przyczyną, że kultura rewolucyjna wyrzekając się przeszłości, zaktackie zmatająca wszelkie jej ślady, jest contradictio in adiecto.*

Bakunin, ojciec anarchizmu i jeden z najsławniejszych opozycjonistów rosyjskich uważał, że warunkiem stworzenia nowego ustroju, nowych form życia jest zniekształcenie tych, co były, jeśli bowiem będzie zachowaną choć jedna stara forma, to tym samym ocalaje dorobek dawnych form

jest to sugestią ani wytworem rozgorączkowanej wyobraźni ... Chmura czarna brzemienna piorunami pędzi na nas od najbliższego nam wschodu, od Mińska i Kijowa, od Smoleńska i Moskwy; co będzie - pytam - gdy nagle znajdziemy się w kleszczach czarnego terroru, nie koniecznie moskiewskiego, znajdzie-nym i u nas nowych Dzierżyńskich ... Co nas od zblizającej nawałnicy uratować może? Tylko świętość mogłaby zwyciężyć w strasznej walce. Świętość jest duchem Kościoła i Kościół ją wytwarza ... To potężny prąd apostołstwa pływający przez historię. Może ten prąd zmiecie wysiłki piekła. Może, nie wiem, bo czy da się odrobić to, co dopuściła bezmyślna niedbałość, czy da się odeprzeć najście ciemności? Nie wiem, ale to pewne, że ciężkie męczeńskie próby mamy przed sobą.

*

Wiele można Zdziechowskiemu zarzucić - anachroniczność /W.Karpiński/, uproszczony sposób widzenia świata /M.Król/, nieoryginalność w głoszeniu haseł katastroficznych. Nie stworzył on spójnego systemu historiozoficznego, zaś jego sądy w tej materii grzeszyły nadmiernym europocentryzmem i oderwaniem od nauk szczegółowych, socjologii czy ekonomii. Poglądy Zdziechowskiego nie pochodziły więc z chłodnych analiz, były wyrazem tego, co przeczuwał, co było niepodważalne dla nauki, dostępne tylko jego przenikliwej intuicji. Najbardziej przemawiały doń wartości moralne i w takich kategoriach rozpartywał otaczający go świat. Zdziechowskiego nigdy nie interesowały mechanizmy społeczne ani wydarzenia mogące nastąpić w wyniku ich działania. Interesował go jedynie porządek moralny, dobro i zło w życiu narodów. Chciał poznać wymiar etyczny życia społecznego, przede wszystkim społeczeństwa rosyjskiego. "Czyny" składające się na życie narodów, a więc zbiorowości ludzkich posiadają swój aspekt etyczny, podobnie jak czyny pojedynczych osób. Jeśli Zdziechowski popełnił jakiś błąd w poszukiwaniu oceny społeczeństwa rosyjskiego, to nie w tym, że takiej próby w ogóle się nie podjął. Błądził personifikując narody, społeczeństwa, czyniąc z nich świadome podmioty działań na arenie historii. Nie jest to zresztą wyłącznie jego ułomność - błąd ten był grzechem całej dziewiętnastowiecznej historiografii europejskiej. Spryca-libyśmy myśl starego profesora interpretując jego przepowiedzi ja-ko odnoszące się do rzeczywistości politycznej. W istocie bowiem dotyczyły one moralnych konsekwencji różnych wydarzeń, które miały możliwość obserwowania za życia. Tutaj nie musiał nic upraszczać. Trafnie przewidział, że komunizm szybko zwiększy swoje wpływy i być może obejmie nimi Polskę /strategia Dżyngischana została zastosowana z wirtuozerią/ oraz że jedynym skutecznym orężem przeciwko temu wrogowi będzie dla zniewolonego kraju Kościół.

Znaczenie Zdziechowskiego dla Kościoła trudno jest przecenić. Głębię jego koncepcji dotyczących reformy katolicyzmu możemy dostrzec dopiero z perspektywy Soboru Watykańskiego II. Należy uznać go za pierwszego w Polsce i jednego z pierwszych w Europie głosicieli haseł ekumenizmu. Idea połączenia cerkwi prawosławnej oraz kościoła rzymskiego w jeden Kościół powszechny stanowiąca fundament dzisiejszego ruchu ekumenicznego, przyswiecała mu w staraniach o nawiązanie kontaktów pomiędzy myślą religijną Wschodu i Zachodu, była również natchnieniem w piętnowaniu wad katolicyzmu. Drogi naprawy wielu schorzeń Kościoła wiodły do prawosławia; do jego olbrzymiego dorobku duchowego, z którego chciał uczynić dziedzictwo dla całej Europy.

Zdziechowski znał Rosję jak mało kto, umiał ganić jej wady oraz docenić jej zalety. Niestusne jest więc zapomnienie o jego wkładzie w badania nad kulturą tego kraju, tym bardziej, że wiedza Polaków o naszym wschodnim sąsiedzie daleka jest od choćby poprawności. Winniśmy korzystać z doświadczeń starego wileńskiego profesora, by przestała być aktualną gorzką skargą, którą pisał tuż przed śmiercią: *Stary jestem, wyczerpany pracą, znużony życiem, zgubiony daremnością uśłowia. Nie porównując siebie ze Słowackim, postaram się nim:*

*"I próżno słowa wyrzucam namiętne
Na serca które rawsze dla mnie wstrętnie"*

JERZY KULICKI

GEORGE WATSON

CZY HITLER BYŁ MARKSISTĄ?

*Ogień przytłumi ogień;
klin wybijają się klinem;*

Shakespeare, *Koriolan*
(przeł. J. S. Sito)

Istotę faszyzmu można zrozumieć jedynie poprzez jego związki z bolszewizmem i marksizmem

Ernst Nolte, "Frankfurter Allgemeine Zeitung",
21 VII 1984

W maju 1913 roku z wiedeńskiego pociągu wysiadł w Monachium dwudziestoczworoletni Austriak i z zachwytem wciągnął pierwszy haust monachijskiego powietrza. "Niemieckie miasto" - tak nazwie je dziesięć lat później w *Mein Kampf*. Przybył do Niemiec, by malować. Kiedy jednak młody Adolf Hitler nie był zajęty malowaniem i nie spał, oddawał się żarliwej lekturze książek wypożyczonych z monachijskich bibliotek - wśród nich pism innego rewolucyjnego myśliciela, Karola Marksa. Ten okres intensywnej lektury trwał ponad rok, aż do wybuchu wojny w sierpniu 1914 roku, kiedy to Hitler wstąpił do niemieckiej armii, by walczyć. "Doktryna zniszczenia" - oto jak nazwie marksizm w

"Encounter", grudzień 1984.

swojej autobiografii, w uwadze, która zapewne nie była całkiem deprecjonująca, skoro wyszła od kogoś, kto przez całe życie uważał siebie za apostoła zniszczenia. I nie tylko czytał, lecz także interpretował: *Zanurzyłem się w teoretycznej literaturze tego nowego świata, próbując wyjaśnić sobie jego możliwe praktyczne konsekwencje.*

Jego monachijski gospodarz, Herr Popp i jego żona, relacjonowali później, jak w latach 1913-1914 "austriacki czaruś" (tak go nazywali) uprzejmie wymawiał się od brania udziału w posiłkach na dole - wspinając się po schodach do swego pokoju z plikiem książek pod jedną pachą i z chlebem pod drugą. Żył jak eremita w dniach ostatecznych, opowiadała Frau Popp, z nosem wetkniętym w grube księgi i nie można było odgadnąć, o czym myśli. A kiedy pytała go, dlaczego tak się męczy, odpowiadał wymijająco: "Droga Frau Popp, czy ktoś może wiedzieć, co jest, a co nie jest przydatne w życiu". //

Pragnę dowiedzieć, że Hitler uważał marksizm za przydatny w życiu, nawet niezbędny i że współcześni historycy nazizmu nie potrafili, zupełnie jak jego gospodyni, powiedzieć, o czym myślał. A nie potrafili, bo - podobnie jak Frau Popp, kiedy widziała tamte książki pod pachą - pominieli dowód, który znajdował się przed ich nosem. Pomineli marksizm Hitlera.

1. "SZCZĄTKI LUDÓW"

Dług Hitlera wobec Związku Sowieckiego, jako technicznego modelu eksterminacji rasowej, został już wykazany. Kilka lat temu (*Filearsal for Holocaust*, "Commentary", czerwiec 1981) wysunąłem sugestię, iż nazistowska eksterminacja w latach 1941-1945 mogła być bezpośrednio inspirowana przez stalinowską Rosję, która miała wtedy za sobą mniej więcej 20 lat doświadczeń na tym polu. Choć zebranie sowieckich świadectw nastęrcza trudności, nie ulega wątpliwości, że komunistyczna eksterminacja pojawiła się jako pierwsza i jest dość prawdopodobne, że naziszi czerpali z niej wzory po 1941 roku. Mimo wszystko byli przecież wtedy przez dwa lata sprzymierzeńcami Rosjan.

Artykuł ten spotkał się z mieszanym, wręcz burzliwym przyjęciem. Dowodzi to przynajmniej jednego: że piśmiennictwo tradycji socjalistycznej nie jest obecnie, poza kilkoma znanymi cytatami, przedmiotem intensywnych lektur. Marks i Engels należą do tego rodzaju autorów, o których ludzie sądzą, że już ich znają. Bardzo wielu socjalistom (i zadziwiająco wielu ich oponentom) sprawia dzisiaj trudności staranne studiowanie dziewiętnastowiecznych pionierów, czy też sięganie w mroczne zakamarki ich umysłów. Oto wyjątkowo zabawne zdarzenie związane z tą sprawą. W latach siedemdziesiątych włóczy katolicy setnie się ubawili i wprawili w zakłopotanie swych komunistycznych przeciwników, cytując na plakacie w czasie referendum marksowską diatrybę przeciw rozwodom, a zdumienie włoskich komunistów było tak komiczne, że aż trudne do wytrzymania: nie mogło im się pomieścić w głowach, że ich ideologiczny bohater może być zaangażowanym konserwatystą w sprawach rodziny, niemal po prawicy papieża. Nawet zdeklarowani antysocjaliści są skłonni przyjąć, że przynajmniej w intencjach socjalizm jest humanistycznym i wyemancypowanym poglądem, choć nieskutecznym w praktyce. W najgorszym razie uważa się, że jest on we wzniosły sposób nierealistyczny. Sama nazwa otoczona jest aureolą - a ta oslepia. Celem tego artykułu, który zajmuje się zagad-

wieniem socjalistycznych źródeł rasowej eksterminacji i dżugiem Hitlera wobec tych doświadczeń, jest wymazanie tej aureoli.

Nie jest szerzej znany fakt, że Marks, Engels i niektórzy spośród ich socjalistycznych następców, z całym przekonaniem opowiadali się za ludobójstwem i otwarcie podtrzymywali to przekonanie właśnie dlatego, że byli socjalistami.

Oto sposób na szybki sprawozdanie znajomości socjalistycznej literatury w tej sprawie. Wskazując na wydanie, czy artykuł, czy książkę, czy broszurę, czy listy, czy zapiski, czy inne pisma, które wymagałyby uwagi, nie należy zapominać, że socjalizm jest ideologią, która nie może być postrzegana jako zbiór faktów, lecz jako system myślowy, który ma swoje źródło w określonej filozofii i historii.

W tym celu należy przede wszystkim pamiętać, że socjalizm, który jest ideologią, jest ideologią, która ma swoje źródło w określonej filozofii i historii. Jest ideologią, która ma swoje źródło w określonej filozofii i historii. Jest ideologią, która ma swoje źródło w określonej filozofii i historii.

Na przykładzie stycznia i lutego 1849 roku Fryderyk Engels opublikował w piśmie Marksa "Neue Rheinische Zeitung" artykuł na temat kryzysu węgierskiego, w którym wyzwał do eksterminacji całego narodu w Europie. *Der Magyarische Kampf* zostało ponownie wydane w wydawnictwie Marksowskim, ale nie w wydawnictwie Marksowskim, tylko w wydawnictwie Marksowskim. Dla niedoświadczonych czytelników korzystających z bibliotek w latach 1913-1914 najbardziej dostępnym był ten tekst w wydaniu *Verlag Mehring's Aus dem literarischen Nachlass von Marx, Engels und Lassalle* (Engels na stronie tytułowej stuttgarckiej edycji widnieje rok 1902). Ponowne wydanie miało miejsce w roku 1913, w którym to roku Hitler osiedlił się w Niemczech. Staatsbibliothek w Monachium, która była wypożyczalnią od I wojny światowej, zanotowała, że pierwsze wydanie zostało nabyte 4 października 1901 roku.

Sadzi się częstokroć, iż program rasowej eksterminacji, sformułowany w 1849 roku przez Marksa i Engelsa, znikł z pola widzenia nowszych debat socjalistycznych; uważa się go za pewien zapomniany szczegół. Być może obecnie rzeczywiście nie pamiętają o nim uczeni zajmujący się naukami politycznymi - przypuszczalnie powodem jest zakłopotanie. Dobrze jednak pamiętać o tym programie we wczesnych dekadach naszego wieku. Stalin z pełną aprobatą nawiązywał do niego w *O podstawach Leninizmu* (1924), kilka miesięcy po śmierci Lenina, kiedy sięgał po wiedzę z jego książki. Ta nowszczenie czytana w Związku Radzieckim i została wkrótce przetłumaczona na język niemiecki pod tytułem *Lenin und der Leninismus*, wychodząc w Wiedniu w czasie, gdy Hitler przebywał w landsberskim więzieniu. Stalinowskie rozważania są otwarcie ludobójcze, a jego uzasadnienie ludobójstwa opiera się na artykule z 1849 roku. Państwo sowieckie - dowodzi Stalin - będzie musiało zniszczyć wszystkie narody, które stana na drodze rewolucji: *Marx in den 40-tych ubiegłego stulecia wypowiedział się za ruchem narodowym Polaków i Węgrów, przeciw ruchowi narodowemu Czechów i Słowian południowych. Dlaczego? Dlatego, że Czechy i Słowianie południowi byli wtedy narodami reakcyjnymi, reakcyjną formacją absolutyzmu, podczas gdy Polacy i Węgrzy byli "narodami rewolucyjnymi", walczącymi z absolutyzmem.* Na tym, w sowieckich terminach, polegał ortodoksyjny marksizm artykułu z 1849 roku. Mogłiśmy wcześniej dokładniej zrozumieć Stalinowską poli-

tykę wobec narodowości, gdybyśmy na początku jego dyktatury zwrócili większą uwagę na to, co mówił publicznie.

Socjalistyczny program ludobójstwa z 1849 roku był w swoim wyrazie niemiecki. Engels wierzył, że pewne narody są nośnikami postępu, inne (głównie Słowianie) nie są. Ponieważ są kontrrewolucyjne - muszą zginąć w rewolucyjnym całopaleniu, które, według jego i Marksa wyobrażeń z 1849 roku, było nieuchronne. Ich rozumowanie było bezceremonialne. Socjalistyczna rewolucja zostawi pewne narody o przynajmniej dwa kroki za awangardą postępu, narody te nie będą już nigdy zdolne do tego, by się podźwignąć. Inaczej niż burżuazja w epoce burżuazyjnej, socjalizm pozostawi je tak daleko z tyłu, że będzie to już nie do naprawienia. Stana się one *Volkerabfall*, dowodzi Engels - "szczątkami ludów" i ich przeznaczeniem jest zniknąć, kiedy nastanie nowy porządek. Ludobójstwo jest postępowe, w brzmieniu dosłownym - ... a to jest także postęp.

Ta gwałtowna opcja Marksa i Engelsa na rzecz historycznego postępu była czymś szczególnym i niewiele miała wspólnego z Żydami. W rzeczywistości słynny esej Marksa w *kwesji żydowskiej* może być tak prosto rozgrzeszony jako program eksterminacji (choć nie jako program represji), że temu należy przypisać zapewne zaniebdanie innych świadectw ludobójczych intencji w spuściźnie Marksa i Engelsa. Do ludów, które mają ulec wykreśleniu należą szkoccy górale, którzy, jak wie o tym każdy czytelnik scotowskiego *Waverleya*, splamili się poparciem dla feudalizmu i Stuartów; następnie Bretończycy, którzy popierali rojalizm w obliczu Rewolucji Francuskiej; dalej Baszkowie, którzy przeszli na reakcyjną stronę w sporze o tron hiszpański; wreszcie Jugosłowianie, jak byśmy ich dzisiaj nazwali, którzy pomogli reakcyjnemu caratowi przetrwać do Europy. Język Engelsa z 1849 roku jest bezkompromisowy: *Owe resztki bezlitośnie - jak mówił Hegel - biegiem historii zdeptanego narodu, owe "szczątki ludów" występują za każdym razem jako fanatyczni nosiciele kontrrewolucji i pozostają nimi aż do zupełnej swej nagłady bądź wynarodowienia, tak jak w ogóle samo ich istnienie jest już protestem przeciwko wielkiej rewolucji historycznej.*

To duch *Mein Kampf*, nawet w retoryce. Hitlerowi, gdyby czytał ten artykuł, może najbardziej ze wszystkich podobiałby się zdania, którymi Engels kończy swe wywody: *Najbliższa wojna śi atowa zmiecie z powierzchni ziemi nie tylko reakcyjne klasy i dynastie, lecz również całe reakcyjne narody. A to jest postęp.*

Po roku 1859, kiedy ukazało się dzieło Karola Darwina *O pochodzeniu gatunków* koncepcja narodów narodów najlepiej przystosowanych została natychmiast powiązana z jego nazwiskiem - niesłusznie, ponieważ Darwin, który nigdy nie był socjalistą, nie popierał tej interpretacji. Tylko dla Marksa książka Darwina była *naukowym fundamentem dla historycznej walki klas*, jak zamasyście ocenił ją wobec Lassalla. Ten entuzjazm dla historycznego modelu natury, natury o skrwawionych kłach i szponach miał zachować do końca swojego życia w 1883 roku. Ostatnio zostały wydane z rękopisów jego późne notatki dotyczące problemu rasy, spisane bezładnie w ostatnich latach przed śmiercią - niechlujna książka, która potwierdza jego niezachowaną wiarę w czyste i schludne rozwiązanie kwestii etnicznych. Engels miał przeżyć Marksa o paręnaście lat w czasie których rozwijał długą tradycję socjalistycznego rasizmu w swych pismach na temat problemu pokrewieństwa i dokonywał w tym duchu pewnych uzupełnień w późniejszych wydaniach *Kapitału*.

Współcześni socjaliści są skłonni wyrażać przynajmniej pewne zakłopotanie wobec rewelacji tego rodzaju: bąkają coś, że n.c. nie wiedzą o tych sprawach, że według ich wiedzy to przede wszystkim wiktoriańscy myśliciele wyznawali mniej lub bardziej rasistowskie poglądy, i że w żadnym razie ludobójstwo nie ma nic wspólnego ze wzniosłymi tradycjami socjalizmu w rozwiniętym świecie zachodnim dwudziestego stulecia.

Przynajmniej to usprawiedliwienie ignorancji można przyjąć bez zastrzeżeń. Spotkanie socjalisty, który wczytałby się gęboko w pisma zebrane Marksa i Engelsa jest czymś w najwyższym stopniu niezwykłym; w życiu wypełnionym polityką są bez wątpienia lepsze rzeczy do roboty. Jednak intelektualści nie mogą być w ten sposób rozgrzeszani: z założenia winni oni najpierw czytać książki zanim zaczną ferować wyroki. I nie można im tak łatwo darować napadów doktrynalnej niekompetencji. Deklarowanie wspólnoty z autorem, którego się nie czytało, jest zawsze czymś pochopnym. A wyobrażać sobie, że można dowiedzieć się, co sądzili Marks i Engels karmiąc się zakupami uwarzonymi przez komentatorów, znaczy żywić pogląd tyle beznadziejnie uproszczony, co pochopny i niebezpieczny.

Co do sugestii, że przywódcy dziewiętnastowiecznej opinii politycznej byli zazwyczaj rasistami, jest to nic innego jak zwykła fikcja. Disraeli był, lecz w pewien semicko-mistyczny sposób; tak samo Carlyle, choć w sposób mniej przyjemny. Lecz już John Stuart Mill, który w liberalnym tonie odpowiada Carlyle'owi w kwestii murzyńskiej, nie był ("Encounter", listopad 1976), a w wiktoriańskich kręgach intelektualnych pogląd, że pewne rasy są genetycznie niższe niż inne, nie był wcale poglądem obowiązującym. W Wielkiej Brytanii, gdzie Marks żył od 1849 roku, akurat żadna z dwóch wielkich partii nie reprezentowała poglądu, który obecnie mógłby zostać nazwany rasistowskim, ja przynajmniej nic o tym nie wiem. A już w żadnym wypadku nie deklarowali oni jakiegoś przekonania do ludobójstwa, na jakichkolwiek podstawach miałyby być oparte. Ludobójstwo natomiast było rzeczywistie elementem wiktoriańskiego socjalizmu i to nie tylko jednym z wielu, lecz elementem charakterystycznym. Pomagał on odróżniać - i to wyraźnie - socjalizm od jego liberalnych i konserwatywnych przeciwników.

Pogląd, że marksistowskie ludobójstwo nie ma nic wspólnego z anglosaskim socjalizmem jest w równym stopniu pochopny. Angielski fabian H. G. Wells, choć ze względu na postępowe zasady ostatecznie popierał Rewolucję Październikową, nigdy nie był marksistą. Jednak w *Anticipations* z 1902 roku domagał się unicestwienia tego, co nazywał *robactwem złożonym z czarnych, brązowych, nieczystej krwi białych i żółtych, ludzi, którzy nie dorastają do nowoczesnych wymogów sprawnego działania*. Oto zastosowanie wielkiej Engelsowskiej zasady rasowego oczyszczenia całej powierzchni kuli ziemskiej - to już teraz mocarstwowa doktryna w mocarstwowej epoce. Imperium Brytyjskiego nigdy nie urządzano według socjalistycznych wytycznych, lecz Wells (s. 317) pokazuje, jaki mógłby być los czarnych, brązowych i nieczystej krwi białych: *Świat jest światem, a nie instytucją charytatywną i sądzi, że oni będą musieli odejść*.

Bronił także bezlitosnego uśmiercania nieuleczalnie chorych, a od tego właśnie zaczął się hitlerowski program eksterminacji w 1939 roku. Doskonała przyszłość w wersji Wellsa była ciałym, białym i całkiem małym światem zarządzanym przez socjalistycznych technokratów.

Kilka lat później Havelock Ellis w *The Task of Social Hygiene* (1912) gwałtownie domagał się od przyszłego, socjalistycz-

nego rządu stosowania eugeniki, jako pozostającej w zgodzie z niezbywalnym moralnym zobowiązaniem do wytwarzania *osobników w najlepszym gatunku*; w socjalizmie, dowodził, jakoś zastąpił ilość, ten głupi fetysz kapitalizmu. A w latach trzydziestych Sidney i Beatrice Webb wychwalali w książce *Soviet Communism* (1935) obozy koncentracyjne stalinowskiej Rosji.

Nic zatem dziwnego, że wielu socjalistów w Europie zachodniej dobrowolnie wyzbywało się swojej wrogości wobec hitlerowskiej sprawy, na czas obowiązywania nazistowsko-komunistycznego paktu lat 1939-1941. Bertold Brecht na przykład wystawił *Mutter Courage* w neutralnej Szwajcarii, w kwietniu 1941 roku, kilka miesięcy po upadku Francji. Jest to marksistowska sztuka o jałowości wojny. Żuryski recenzent nazwał ją przenikliwie *zei-tnach* - na czasie, związana z historycznym momentem - taką też była, będąc próbą przekonania W. Brytanii i jej sojuszników, by pogodzili się z klęską i złożyli broń. Tymczasem Francuska Partia Komunistyczna aktywnie współpracowała z Vichy i nazistowskimi okupantami Francji, trzymając się zasady, że to raczej zachodni imperializm niż nazizm jest międzynarodowym wrogiem klas pracujących. Krótko po rozpoczęciu drugiej wojny światowej, 30 września 1939 roku, J. B. Haldane napisał pamiętne zdanie w "The New Statesman": *Przedem byłbym Żydem w Berlinie niż Kafrem w Johannesburgu lub Murzynem we Francuskiej Afryce Równikowej. Jeśli Czesi są traktowani jak niższa rasa, to pytam, czy Indianie bądź Annamici cieszą się całkowitą wolnością?* A w roku 1939 Hitler, który świeżo sprzymierzył się z komunizmem, poważył się, jakby odpowiadając na tę kwestię, na czyn zalecany przez socjalistyczne pisma dziewiętnastego wieku: masowe zabójstwo całych narodów.

2. NIEKTÓRE POKREWIEŃSTWA

W jakim sensie Hitler był socjalistą? Jaka była przypuszczalna wiedza Hitlera o socjalistycznej tradycji z lat czterdziestych XIX stulecia, tradycji, która popierała eksterminację całych kategorii ludzkości?

Hitler z całą pewnością, gdy jako młody człowiek w latach 1913-1914 przebywał w Monachium, rozczytywał się w marksistowskiej literaturze. Wiadomo także, że czytał dużo podczas przymusowego odpoczynku w landsberskim więzieniu w latach 1923-24, po upadku swego puczu. W czasie, gdy Lenin umierał w Rosji, Hitler ponownie zajął się cyklem marksistowskich lektur, jednak teraz wiedział już, że na ziemi niedawno zostało powołane do życia rewolucyjne państwo marksistowskie. Słowo stało się ciążem: Październik 1917 roku, jak nic od 1789, musiał prezentować się jako potężne objawienie mocy ideologii. W celi landsberskiego więzienia, jak powiada Hitler w *Mein Kampf*, czytał swojego Nietzschego i swojego Marksa. "Landsberg był moim uniwersytetem" - zwykł żartować wobec swoich przyjaciół - "i to na koszt państwa" - z tą wielką przewagą, dodawał, że nie trzeba było znosić protekcyjnalnych profesorów. Śmierć Lenina w styczniu 1924 roku napełniła więźnia porywającym uczuciem pewności, że historia, jak też się stało, ma się łączyć powtórzyć, i to właśnie w jego przybranym domu, w Niemczech: jego własny ruch jest już skonsolidowany tak, że zastąpi słowiański komunizm, który jak większość słowiańskich przedsięwzięć wydawał mu się słaby, nieudolny i wsteczny.

Hitler nigdy publicznie nie nazywał siebie marksistą. Jednak prywatnie był zadziwiająco bliski tego, szczególnie gdy

sięgał po władzę w styczniu 1933 roku. We wczesnej biografii napisanej przez Konrada Weidera (1936-37), przytoczona jest jego ocena pamiętników Trockiego - uważał je za "wspaniałe" (1935) - dość nieoczekiwana u kogoś, kto przeszedł do historii jako nieprzebiegany wróg wszystkiego, co komunistyczne. Lecz prawdą jest taka, że oficjalny komunizm budził sprzeciw Hitlera nie dlatego, iż był zbyt radykalny - lecz zbyt łagodny. *Wiele nazwywałem od marksistów - zwróciłem uwagę Hermannowi Rauschningowi, którego od czasu Hitlera - przyszedł bez wątpienia do łagodniejszego wyobrażenia o marksizmie. Wskazałem mu na jego opisanie Hitlera (s. 13) i wypowiedź Hitlera o marksizmie (s. 14) w swoim wykładzie z 1936 roku, ponieważ, jako wykładają w następnym rozdziale do przekonania, że mój bohater nie był w rzeczywistości żadnym łagodnie radykalny niż bolszewizm. Książka ta przedstawia przesadzający obraz marksistowskiego socjalizmu jako pewnego rodzaju marksizmu bez teorii, gdzie działania butnie zajmują miejsce subtelności abstrakcyjnych spekulacji. Świat należy do tych, którzy działają.*

Stalin (jak zauważył Hitler w towarzyskiej rozmowie, w kulminacyjnym momencie wojny przeciwko niemu, na wiosnę 1942 roku) był *ein genialer Herr* - nikiem innym, jak geniuszem w swoim rodzaju - ponieważ rozumiał, że czyni licza się bardziej niż teorie. Gwałtownie pisał pamflety; ustąpił - czuł się zmęczony, kierując się struwnymi zasadami, sformułowanymi w zamierzonej teorii przez wielkich socjalistów. Działał bez planowania. We wstępie, jak to Hitler wyraził, "nie miałem w 1933 roku, ani tych odwiecznych trosk, ani o intelektualistycznej filozofii. Należał do marksistów, ale nie do marksistów, którzy chcą ustalić teorię, czy to jest więcej, skoro historia jest żywiołem "wiecznej zmiany". Oto dlaczego - jak wysnają - z marksistów powstają najlepsi naziści. Rozumieją, że najważniejszą, że polityka ze swej natury jest działaniem opartym na przemocy; i trzeba im tylko pokazać, że przemoc nie kończy się wraz z jakąś rewolucją, jak to naiwnie wyobrażali sobie bolszewicy, lecz musi iść coraz dalej i dalej: *W swej młodości, a nawet w pierwszych latach mojego monachijskiego okresu po wojnie, nigdy nie unikalem towarzysza marksistów.* (s. 186) To brzmi tak jakby dług wólc socjalizmu marksistowskiego został zaakceptowany raczej w trakcie rozmów niż z książek - w imię z pewnością przygodnym wobec człowieka z natury tego, chociaż go kłódną, towarzysza i spotkał twarz w twarz. Rępot w tym i dawał mu być Hitler - że marksistów, których poznał, byli i dawał tak na jego ferdy. Jednak 1933 nadal socjalizmowi z nimi. Rauschning podaje, że od czasu, że przyszedł Sowieckim pojął od razu jako "statutową partię", dzięki której, pewnego dnia wprawi świat w zdumienie. Niemcy i Rosja były dla siebie stworzone. *To nie Niemcy stanęły bolszewickie - beztrudnie przepowiadał Rauschningowi wiosną 1934 roku - lecz bolszewizm stał się rodzajem narodowym socjalizmu* (s. 174) Podobnieśwa zawsze, mimo wszystko, były większe niż różnice: *Mój na ten czas socjalizmem niż dziełem... i w dalszym ciągu Hitler wyznikał, że polecił swej partii przyjmować od razu byłych komunistów. Byli oni świetnym materiałem: z abstrakcyjnego marksistowskiego demokracji i wnikliwego przyrody nigdy nie powstał nie narodowy socjalista, lecz z komunistą Niemiec.*

Wszystko to jest aż do konkretnego szczerze i w najwyższym stopniu kontrowersyjne. Kiedy, pod koniec 1939 roku, zostały

opublikowane rewelacje Rauschninga dotyczące poglądów Hitlera, uznano je za niesmacznie, niewlarygodne nawet, zarówno na lewicy jak i na prawicy. Jeśli celem książki jest pozyskanie przyjaciół, to z trudem tylko można by wybrać gorszy moment wydania *Rozmów z Hitlerem*. Lewica miała dość kłopotów z wyłączeniem paktu Hitler - Stalin, bez odkrywania, że Hitler był w pewnym sensie jednym z nich: że zgadzał się z marksistami, podziwiał komunistów i znalazł w bolszewizmie drogę postępu. Konserwatyści byli nieszczęśliwi, że muszą patrzeć na tak drastycznie przeoraną, ideologiczną mapę Europy. W swej następnej książce *Z nazistami i przeciw nazistom* Rauschning zauważył, że *Rozmowy z Hitlerem* zostały tak powszechnie odrzucone ponieważ podważały ogólną ocenę nazizmu jako wyjątknie nacjonalistycznego ruchu i pokazywały, że jego rzeczywiste korzenie tkwią w marksizmie. (s. 194) I to jest oczywiście śluszne. Recenzja *Rozmów z Hitlerem* zamieszczona w "Times Literary Supplement" 16 grudnia 1939 roku, zauważała chłodno, że nazizm, jak przedstawia to książka, dzieli od komunizmu zaledwie krok. Nic dziwnego zatem, jeśli także socjaliści uważali ją za trudną do przyjęcia; w najlepszym przypadku - historyczna fikcja, skwitował ją potępijąco Richard Grossman w "The New Statesman" (16 grudnia 1939 roku). Lecz jeśli fikcja była zadziwiająca, to fakty były jeszcze dziwniejsze; przecież nazistowska propaganda wojenna w czasie paktu z Sowietami umiała być otwarcie socjalistyczna, kiedy wzywała brytyjskie masy, by domagały się od swoich przywódców "socjalizmu w działaniu". Nawet hitlerowski antysemityzm był w swej istocie antyburżuazyjny, jak sądził Rauschning w czasie, gdy przystępował do pisania *Z nazistami i przeciw nazistom: Źródła tych pomysłów trzeba szukać w socjalizmie Marksa i Sorela*. (s. 202)

Tymczasem *L'Apocalypse de notre temps* Henri Rollina, opublikowana w Paryżu w 1939 roku, wyrażała podobne przekonanie co do rosyjskich korzeni narodowego socjalizmu, jednak większość egzemplarzy tej książki została zniszczona po zajęciu Francji w 1940 roku. W tamtych dniach brakowało gleby, na której mogłaby wyrosnąć prawda. A w roku 1945 całkowicie zniknęła ona z pola widzenia. Rauschning, który po drugiej wojnie światowej osiedlił się jako farmer w Oregonie, dożył prawie dziewięćdziesiątki i umarł w 1982 roku. Jako postać ze współczesnej historii Niemiec jest obecnie osobą zapomnianą, choć w czasie wojny G. Orwell wygłosił pochwałę pod jego adresem w "Horizon" (sierpień 1941). Wiadomo jednak, że nie był mitytwórca, a ostatnie niemieckie badania pokazały, że jego sprawozdania z rozmów z Hitlerem w latach 1932-34 są z pewnością całkowicie godne zaufania. /4/ Zwolennik Bismarcka, który stracił wiarę w nazizm, mógł, mimo wszystko, dokładnie i prawdziwie opowiedzieć o swym mistrzu i jego poglądach. Jeśli tak właśnie zrobił, pomogłoby to wyjaśnić wiele spośród dwuznaczności, jakimi najeżone są ideologiczne przekonania Hitlera.

3. POWINOWACTWO I POGARDA

Hitler nigdy nie był marksista, jak był nim niegdyś Mussolini, a jednak mógł on w 1934 roku powiedzieć swojemu powiernikowi, że wiele nauczył się od Marksa. Jego publiczna nienawiść do marksizmu była zapewne od początku do końca całkowicie szczerą. Jest to być może prawda, wątpię jednak, czy akurat cała prawda. Profesor Walter Laquer wykazał (*Rosja i Niemcy*, 1965), że w Monachium, jako młody aktywista, Hitler nigdy nie zdawał się traktować komunizm jako głównego wroga: kiedy ata-

kował "komunizm" w tych głodnych i burzliwych latach po roku 1919, kiedy to wielu miało nadzieję, a jeszcze więcej lękało się, że pokonane Niemcy mogą w szybkim tempie pójść leninowską drogą, to, wydaje się, iż miał wtedy na myśli rządzących socjaldemokratów, którzy zaakceptowali układ wersalski - użycie języka dobrze obliczone na to, by wprawić w pomieszanie współczesnych, a także biografów. Profesor Langer cytuje pomocnie stosowny wstęp z *Poliszewizmu* (1924) Dietricha Eckharta, przyjaciela i doradcy Hitlera we wczesnych latach, który domagał się od "niemieckiego bolszewizmu" wzięcia wrogiej postawy wobec praktyki rent i dywidend oraz starowania zdecydowanego przywodu wobec niemieckiego bogacza, by ten wyzbył się swego nadmiernego majątku. Socjalistyczne korzenie narodowego socjalizmu znalazły swe potwierdzenie w publicznych dokumentach i publicznej debacie. W okresie pisania *Mein Kampf* antysowiecka postawa Hitlera była już oczywiście całkowicie wykrystalizowana; czy jednak przestał on być socjalistą w pewnym szerszym sensie, to już inna sprawa.

Wydaje się, że w ocenie własnej nigdy nim nie był. Według relacji Alberta Speera (*Spandau: tajne dzienniki*, 1976), jeszcze w styczniu 1943 roku Hitler naśmiewał się z Franco - mądrego tłustego sierżanta; ponadto żądał lepszego traktowania dla hiszpańskich komunistów w okupowanej przez Niemcy Francji. W końcu, mówił do Speera, komunisti nie byli ani demokratami, ani reakcjonistami. *Zginęli przez demokrację i przez reakcyjną аграрję w Hiszpanji - mamy tam wielkie możliwości, z całym przekonaniem mówię ci Speer - że byli to ludzie naprawdę robiący wrażenie.* W czasie hiszpańskiej wojny domowej - dodawał - to czerwoni byli idealistami, a kościół katolicki zawsze uciaskał hiszpański lud. *Nadejdziesz taki dzień, że będziemy mogli zrobić z nich węgiel* - mówił do Speera - wysyłając czerwonych z powrotem do Hiszpanii, by na nowo zaczęli wojnę domową, *lecz my będziemy już po przeciwnej stronie.* I tego samego dnia zadysponował w rozkazie specjalne przywileje dla komunistów.

Później jednak, jak wnikliwie zauważa w swych dziennikach Speer, Hitler zawsze *nienawidził tego, co pozostawało*; w ten sposób jego nienawiść do Żydów, Szwajca i komunistów świadczyła o podwójnie, do którego nie chciał się przynajmniej (s. 30). Oto pewna dwuznaczność, która mogła dawać przez długi czas powody do niewłaściwej interpretacji danych. W mentalności nazisty hałaśliwa nienawiść jest haraczem płaconym przez sfrustrowaną miłość własną, a w szerszym sensie jego politycznych działań były częste motywy zawistnej rywalizacji. Spośród Hitlera wobec marksizmu zapewniamy, że w czasie jego życia nie był inżynierski i bezprawnie, ale w tym celu, by jego politycznej kariery, nawiązał do kulturalnym mosen. Jego z SS, była to mieszana odrazą i prawdziwym gorącym, wydana przez zawistność. W dążeniach rewolucyjnego socjalizmu Marks, jak byli o tym przekonani jego uczniowie, był pierwszym, który go wyartykułował i (w części przyznając) zrobił to nie: Hitler miał poprawić i uzupełnić tę wiarę i dogmat. Tak jak podobne walczą z podobnym, tak faszysty i komunizm były wrogami w walce o całe pokolenie 1919 roku - rywalizując jak ciężkie pancerne pojazdy na najwyższych obrótach w tej samej przesłuzności i w tym samym czasie.

W latach dwudziestych także Goebbels był otwarcie prosowiecki. *Dobry nazista - pisał w Drugiej rewolucji* (1926) - *patrzy w stronę Rocy, ponieważ Rocy jest krajem, który zapewne razem z nami będzie kroczył drogą do socjalizmu, ponieważ na*

pokrewną naturę, która przeciwstawia nas diabelskiemu pokusom i procesom rozkładu zachodniego świata (s. 47). Nazywa zniesławianie radzieckiego państwa dziełem chóru burżuazyjnych kłamców i ignorantów - dodając, że żaden car nie rozumiał rosyjskiego ludu tak jak Lenin. On dał chłopom ziemię i wolność.

Nie trzeba chyba mówić, iż nie ma najmniejszej podstawy do traktowania Hitlera jako spójnego myśliciela. Ci, którzy spierają się o jego przekonania i dzieła, wkrótce rozkładają bezradnie ręce wobec chaotycznego i błazeńskiego widowiska źle przetrawionych i nieoryginalnych idei. To całe pomieszanie w jego pismach chroni je, jak podejrzewam, przed poważną analizą - jest to być może ostatni z jego tricków, jaki pozostał do zdemaskowania, i w pewien sposób najlepszy. Hitler po prostu nie przywiązywał wagi do pisania, ani do jakiegokolwiek pracy przy biurku; zasadniczym wydaje się przekonanie, że nigdy by nie napisał *Mein Kampf*, gdyby nie dłużył mu się czas w więziennej celi. Szeroko odczytany na swój sposób był, nie kryjąc się z tym, człowiekiem niewykształconym, przekonanym jednak, że żaden nauczyciel i żadna książka nie mogą go niczego nauczyć. Ponieważ gardził wszystkim oprócz działania, nie kuśiło go pisarstwo, a niedawna dziennikarska kaczka, jakoby prowadził dziennik, ani przez chwilę nie budziła zaufania. Opublikowane pisma i zapisane rozmowy, które się zachowały, prezentują oczywiście chaos. I choćby ich sama treść nie budziła sprzeciwu, ciągle sprawiają wrażenie tandetnych w sposobie argumentacji i stylistycznie niechlujnych. Sądzę jednak, że można zbudować spójny wizerunek poglądów Hitlera na temat jednej doktryny politycznej. Nie chodzi tu rzecz jasna o bismarckowski nacjonalizm, który, jak wiadomo, był przedmiotem studiów Hitlera. Doktryną tą była doktryna Marksa.

Podobnie jak Bismarck, Marks był Niemcem. Jak Bismarck był głęboko oswojony z polityczną atmosferą Niemiec, poza którą wyrastał Hitler w latach przed i po pierwszej wojnie światowej. I Hitler przyznawał się do tego długo. Teraz - całe zadanie - niezłatwe przecież - polega na odniesieniu jego publicznych wymyślań pod adresem marksizmu do jego prywatnych wyznań dotyczących głęboko odczuwanego długu wobec myśli marksowskiej; a to się da przeprowadzić.

Zaraz na wstępie *Mein Kampf*, w pierwszym rozdziale, Hitler atakuje żydowską doktrynę marksizmu za jego wierzenie, że *narodowość i rasa nie podlegają ewolucyjnym procesom*. To twierdzenie - szkodliwy - musi być degradujące dla całego ludzkiego świata i cywilizacji. Gdyby argumentacja Hitlera skierowała się na tym polu, to bez sprzeczania powiódzied, iż podzielał on naturalistyczny podział wieków na dziejowe socjalistów - że marksizm nie był doktryną rasową. Jednak nie poprzedza to na tym. W składowym punkcie swjej książki, w rozdziale zatytułowanym *Rasa i nasza*, Hitler atakuje leninowska Rosję wychodząc z ciekawego założenia, że bolszewicy żydzi, którzy (wierzył w to) rządzą w młodym ZSRR, już rozpoczęli własny program rasowej eksterminacji, *wielką i ostateczną rewolucję*. W Rosji żyd już ukazał swoją prawdziwą naturę: *W przeciągu kilku lat zamierza on wytepić wszystkich, którzy są reprezentantami narodowej inteligencji. I w ten sposób, pozabawiając narody ich naturalnych przywódców duchowych, przyzwyczajając je do losu, losu niewolników wiecznego despotyzmu.*

Jest to bardzo dokładne wyliczenie tego, co po 1939 roku mieli wykonać nazisci w okupowanej Polsce i gdzie indziej, systematycznie mordując i wywołując przywódców życia duchowego, takich jak księża i profesorowie. Godne uwagi jest to, że za-

raz na początku *Mein Kampf* Hitler wyraża przekonanie, iż Lenin już dokonał tego w samej Rosji: *Rosja dostarcza najbardziej przerażającego przykładu takiego niewolnictwa. W tym kraju Żydzi, w napadzie dzielnego fanatyzmu zamordowali i zagłodzili trzydzieści milionów ludzi, częściowo - przy użyciu nieludzkich tortur. I przestrzega, że dzień obrachunku nadchodzi: Ostatecznym skutkiem jest nie tyle to, że narodu traci pod panowaniem Żydów całą swoją wolność, lecz to, że same te państwa; masą miliard. Za śmiercią ofiary, prędzej czy później, idzie śmierć wampira.* [1]

Trzydzieści milionów ... Jest coś niesamowitego w tym, że Hitler tak trafnie określił liczbę ofiar leninowskich pogromów. Jeśli dla tamtego okresu komunistycznej eksterminacji nie była to jeszcze liczba rzeczywista, to zapewne nie odbiegała od rzeczywistości jako przepowiednia. Robert Conquest w *The Great Terror* (1968) podaje liczbę 25-30 milionów jako prawdopodobną sumę wszystkich ofiar ludobójczych zbrodni Lenina i Stalina razem wziętych, w okresie od Rewolucji Październikowej 1917 roku do śmierci Stalina w roku 1953. Szacunkowa ocena Hitlera miała stać się w ten sposób niemal prawdziwą. Jest to może, a właściwie była, najbardziej przerażająca z ironii: Hitler powiedział to za wcześniej. Dwakroć ważniejsza jest jego wypowiedź o torturowaniu jako sposobie eksterminacji - był to istotny element nazistowskiego programu od czasu założenia w 1933 roku Dachau, pierwszego obozu koncentracyjnego w Rzeszy.

Mein Kampf jest mieszaniną fascynacji i gwałtownej niechęci. W swym podejściu do marksizmu sprowadza się przede wszystkim do deklaracji-zemsty. Zemsta jest tym elementem nazistowskiej ideologii, który ostatnio jest niedoceniany; jego przyczyny i źródła nie są zbyt skwapliwie badane, a kiedy już przeprowadza się takie badania, nie przyznaje się im należytego znaczenia. Stąd nie wiemy, albo niełatwo nam to przyjąć, że nazizm był odpowiedzią na komunizm, czyli, że wtedy można było uważać *holocaust* (tak to się obecnie nazywa) za akt zemsty na tych, którzy już rzekomo dokonali masowej eksterminacji całych narodów na samym początku dyktatury lenina w latach 1917-1928. A przecież tenk tam miał jak ocho powracać do wszystkich słowach Hitlera z lat trzydziestych i nie ma najmniejszej wątpliwości, że mordowanie Żydów w latach 1941-1945 było w rozumieniu nazistów zapłata. W myśl tego fanatycznego pojęcia to, co wyćwiili jedni Żydzi - oni zastosowali do drugich. Nie dziwnego, że Speer był przekonany, iż Hitler nienawidził tego, co podziwiał. A znaczy to, że jego zaciekłe uczucie wrogości kierowały się przeciwko tym, którym zażyczył z których starał się przewyższyć.

4. SYMPATIE I ANTYPATIE

Sądę, że może być kilka powodów, dla których dług Hitlera wobec marksizmu został tak bardzo pominięty i zapomniany. Po pierwsze - rasistowski składnik marksizmu został powszechnie zapoznany w naszej epoce, choć był uznawany, a nawet przyjmowany z aplauzem przed rokiem 1914 przez samych socjalistów. A przecież zapomnienie o marksowskim rasizmie oznacza odrzucenie na samym wstępie jakiegokolwiek poważnej możliwości, by Hitler mógł zawdzięczać coś ważnego Marksowi. Z drugiej strony szczerść antymarksizmu Hitlera przekonywała miliony o tym, czy mają być za - czy przeciw niemu. Jakkolwiek może to

brzmieć nieprawdopodobnie, sędzę, że ich przekonania miały swoje słuszne podstawy. Jedną interpretacją tego motywu, dokonana przez Speera, rodzi wątpliwości, czy wrogość Hitlera była tylko prostym dogmatycznym odrzuceniem. Była to raczej zazdrość zdeklarowanego nacjonalisty, który w godzinie klęski 1918 roku, będąc pod przemożnym wrażeniem argumentacji o palącej potrzebie rewolucyjnej przemocy, patrzył jak skorumpowana i niedoskonała wersja tego poglądu odnosi triumf na dalekich wschodnich obszarach i zamierza nawet rozciągnąć swój wpływ na Niemcy. Dla młodego Hitlera sowiecki marksizm i jego niemieccy sprzymierzeńcy musieli reprezentować bahnadziejnie niekompletne spojrzenie na ludzką historię, choćby tylko dlatego, że było to spojrzenie internacjonalistyczne, stanowisko beznadziejnie skorumpowane - w jego przekonaniu Rosjanie i niemieckie partie komunistyczne były kierowane i inspirowane przez kosmopolitycznych żydów. Jednak ciągle był to dogmat, z którego nazizm miał czerpać impulsy do swego rozwoju.

Nazizm był totalitarna odpowiedzią na totalitaryzm - odpowiadał podobnym na podobne. Ten rodzaj interpretacji był podtrzymywany w owym czasie przez zagranicznych obserwatorów. W latach trzydziestych sądziło się często, że Mussolini i Hitler wykształcili narodowe formy komunizmu, a hitlerowski sztyld "narodowego socjalizmu", którym Hitler opatrzył swoją partię, nie był uważany za cyniczny nawet przez socjalistów. "Socjalistycznym eksperymentem" nazwał Włochy Mussoliniego w swym dzienniku podróżny Harold Nicolson, kiedy w styczniu 1932 roku odwiedził Rzym z sir Oswaldem Mosleyem. Faszyzm ognicm zwałczaił ogień.

Otóż ta rywalizacja nie mogłaby również nigdy znaleźć bardziej autentycznego wyrazu niż ten, jaki znalazła we wzajemnej nienawiści. Zapewne potrzebujemy nowego terminu bądź zwrotu, by wyjaśnić marksizm Hitlera i jego skomplikowane motywy. Zazdrość jest zbyt prostym; jednak z całą pewnością Lenin i Hitler przypominają dwóch rywali zakochanych w tej samej kobiecie - nienawidzą się nie dlatego, że się nie zgadzają, lecz właśnie dlatego, że zgadzają się co do joty na temat tego, co jest dla nich najważniejszą sprawą na całym świecie. A tym, co posiadało dla nich największą wagę było zastąpienie plutokracji - czyli kapitalizmu (Marks często określał to terminem "żydowska pazerność") przez rządy nowej, rewolucyjnej elity, która byłaby doktrynalnie czysta. Pewnego razu, w zamiennie nietrwałym proroctwie, Hitler powiedział Rauschingowi: *Koła grana przez burawazję jest wkończona raz na zawsze (Hitler Speer, 48-49)*. To pierwsza zasada. A druga to zrozumienie, iż wymóg doktrynalnej czystości czyni eksterminację po prostu nieuniknioną. Skoro istnieją miliony, które nie akceptują nowego porządku Lenina i Hitlera, to historia domaga się, żeby zginęły. W ten sposób doktrynalna czystość równa się eksterminacji. Po raz pierwszy może od czasów inkwizycji w Europie Lenin i Hitler wprowadzili w czyn zabijanie według kategorii, gdzie finansjści, kułacy i żydzi grali rolę heretyków.

Jednak to nie Hitler odkrył dla współczesnej Europy pojęcie zabijania według kategorii, kiedy po roku 1939 niszczył całe klasy istnień: kaleki, Cyganów, żydów. Ową doktrynę, ubraną w pojęcie "postępu" i "historycznej konieczności", odnalazł acz-na w opublikowanych pismach Marksa i Engelsa z początku lat czterdziestych XIX wieku. Została ona wprowadzona w czyn już w roku 1918 w obozach śmierci, które Lenin założył w północnej

Rosji, kiedy Hitler był zaledwie aspirującym przywódcą nie w pełni jeszcze ukształtowanego narodowego ruchu w Niemczech. I jestem przekonany, że w roku 1913 doktryna ta była dla niego objawieniami, kiedy jako dwudziestoczteroletni przybysz, jeszcze całkowicie nieznanymi, zamieszkał w pensjonacie w Monachium i tam w samotności pochłaniał pisma socjalistów.

GEORGE WATSON

PRZYPISY

/1/ Heinz A. Heinz, *Germany's Hitler*, Londyn 1934, s. 58. Biografia nazistowskiej propagandy, przeznaczona dla zagranicznych czytelników, opublikowana (na ile udało mi się ustalić) jedynie po angielsku i po polsku. Najlepszym ogólnym wykazem duchowych źródeł myśli Hitlera jest praca H.R. Trevor-Ropera *The Mind of Adolf Hitler*, w: *Hitler's Table Talk 1941-4*, Londyn 1953, która jednak tylko mimochodem wymienia marksizm, choć w doskonały sposób potwierdza autentyczność rozmów z Hitlerem Rauschninga.

Friedrich Herr, w *Der Glaube des Adolf Hitler*, Monachium 1968 odrzuca jakkolwiek sugestię, że Hitler czytał główne dzieła marksizmu i starannie je w samotności przemyślał, na tej kruchej podstawie, że błędnie cytuje słynne Marksowskie powiedzenie o religii jako opium dla ludu. Lecz błędy takie jak ten dają się łatwo wyłuszczyć ścisła i niestaranna lektura, jaką sugeruje *Mein Kampf*. Ostatnio Peter R. Black w książce *Ernst Kaltenbrunner*, Princeton 1984, dobrze udokumentowanym życiorysie innego austriackiego nazisty, w pierwszym rozdziale *Austriackie korzenie ideologii* pokazuje, jak bardzo odległe były od katolickiej tradycji antysemityzmu idee pangermanistów lat 80-tych i 90-tych XIX wieku, cytuja Schönerera. W ten sposób sprawia, że czysto tradycyjna interpretacja poglądów Hitlera staje się jeszcze trudniejsza do utrzymania.

/2/ Zob. także moje *Race and the Socialist: On the Progressive Principle of Revolutionary Extermination*, "Encounter", listopad 1976. *Marxism vs. the Jews* Paula Johnsona ("Commentary", kwiecień 1984) jest najświeższą próbą opisu marksistowskiego antysemityzmu.

/3/ J. Stalin, *Dzieła*, t. 6, s.147, Warszawa 1951.

/4/ T. Schieder, *Hermann Rauschnings Gespräche mit Hitler als Geschichtsquelle*, Opladen 1972.

/5/ A. Hitler, *Mein Kampf*, Monachium 1924, rozdz. II, *Volk und Rasse*.

SAMUEL OBIEDZIŃSKI

RZKA PODNIEBNA I PTAKI PODZIEMNE

*Zmieniają wiatr w naszym domu.
Ponieważ winda okazała się za duża,
a dom za mały, wobec tego przerabia
się nasz biedny dom.*

Tadeusz Konwicki, *Kalendarz i klepsydra*

Rzeka podziemna Tadeusza Konwickiego jest utworem szczególnym. Lektura tej książki nawet u zwolenników twórczości autora *Kroniki wypadków miłosnych*, *Kompleksu polskiego* czy *Wschodów i zachodów księżycy* stać się może źródłem irytacji. Może też doprowadzić do jej odrzucenia - jako tekstu całkowicie sprzecznego z oczekiwaniami. Sądzę, że problem ten nie pojawiłby się, gdyby ta książka została wydana w roku 1990 bądź 1987; nie o parabolę tu chodzi, lecz o konflikt między poetyką tekstu a stanem świadomości powszechnej, który po kilku latach mógłby zapewne znacząco zmodyfikacji. Nie bowiem ze swej aktualności nie utraciło prowokacyjne pytanie postawione w "salonie warszawskim" w III części *Ziadałów*.

Wieleż lat czekać trzeba, nim się przedmiot świeży

Jak figa ucukruje, jak tytuł uleży?

A pojawia się tu przedmiot wyjątkowo "świeży", fakt niezmiernie doniosły dla naszej historii najnowszej.

Rzekę podziemną tworzą dwa przenikające się wzajemnie nurty, występują tu równoległe dwa różne sposoby narracji, a co za tym idzie, pojawiają się dwie opowieści.

Pierwsza z nich to pojedyncze obrazy z osobliwej autobiografii. Nie obowiązują tu reguły chronologii, rzeczywistość przenika się z marzeniem, obowiązuje ściśle prywatna hierarchia faktów: pierwsza miłość, pierwszy wykonany wyrok, pozbycie się fatalnego - bowiem całkowicie nieużytecznego - breloczka od kluczyków samochodowych. Lyryka bezpośrednio sąsiaduje tu z epiką. Owe obrazy, strzępki wspomnień, fragmenty rozważań przypominają inne utwory Konwickiego. Powracają tu sytuacje znane z *Władzy*, *Rojstów*, *Kroniki wypadków miłosnych*, *Małej apokalipsy*, przypominają się sceny znane z filmów "Ostatni dzień lata" czy "Jak daleko stąd, jak blisko". W tych epizodach dominują dwa tematy: miłość i śmierć. Eros i Thanatos patrolują tej autobiografii i, niczym na obrazach Jacka Malczewskiego, stają się jedną postacią. Są to jednak pojedyncze obrazy, nie układające się w spójną całość, sprawiają wrażenie kart wyrwanych z pamiętnika, rozrzuczonych przez wiatr, kart z *Kalendarza i klepsydry* lub *Wschodów i zachodów księżycy*; odnalezionych, albo napisanych na nowo:

(...) otwieram furtkę mego domu i z bijącym sercem, którego

Tadeusz Konwicki, *Rzeka podziemna*, Wydawnictwo "Krağ",
Warszawa 1984.

już dawno nie mam, wchodzę na podwórze pochyłe, rozmyłem przez deszcz, z kupkami kurzego kału, z resztkami sieczki, wchodzę na podwórze moje albo nie moje i widzę, że otwierają się drzwi domu i czekam zastygły raptem w pół kroku, że ukaże się w ciemnym wnętrzu moja matka, mój ojciec, mój bliźniak, że pokaże się cały mój świat, w którym żyłem, jeśli w ogóle kiedyś żyłem.

Jest to przecież podwórze doskonale znane z *Dziury w niebie*, z *Kroniki wypadków miłosnych*, a oczekiwanie na cud rekonstrukcji świata dawno minionego (tak "dawno", że nieomal już mitycznego), także nie jest niczym nowym w twórczości Konwickiego.

Próby przywołania, nawet przeżycia na nowo, scen z przeszłości są nieustannie zakłócanie przez drugą opowieść - historię pierwszych godzin stanu wojennego, a ostatnich godzin życia człowieka określonego przez narratora jako "Siódmy". Nie jest to żaden pseudonim organizacyjny, nie jest to "siódmy po Wałęsie" w hierarchii "Solidarności", ani nawet "siódma ofiara stanu wojennego". To miano bohatera jest skróciwym zapisem miejsca jednostki w precyzyjnie uporządkowanej statystyce globalnej, to "dziewięćdziesiąt dziewięć miliardów, dziewięćset dziewięćdziesiąt dziewięć tysięcy, dziewięćset dziewięćdziesiąt siódmy od początku świata człowiek". A zatem nawet nie "biliardowy" - niepotrzebnie urodził się za wcześnie, niepotrzebnie i głupio wyprzedził trzech innych ludzi. Zdaje się, że właśnie to "głupie" miejsce w porządku galaktycznej statystyki fatalnie zaciążyło nad jego losami sprawiając, iż w pierwszych godzinach stanu wojennego (a ostatnich jego życia) nie dane mu było zostać autentycznym bohaterem. Przedstawione tu kolejne epizody co etapy deherozacji jego egzystencji, tragedia przekształca się ciągle w groteskę. "Siódmemu" udaje się uciec przed aresztowaniem (później okaże się, że chodziło o sąsiada mieszkającego piętro niżej - wszystkimu winna była akustyka nowego budownictwa). Przypadkowo postarelony zostaje przez patrol, ale to znowu była pomyłka, w dodatku ranę odnosi w pośladek. Przewieziony troskliwie do szpitala znajduje się w jednej sali ze zbroczeniem seksualnym. Atoli znekany przepukliną pan Rybka jest "wampirem nadbużańskim" chyba tylko we własnej imaginacji; jego dewiacja posiada wyjątkowo perwersyjny charakter - co sam wyznaje z wielkim zafrasowaniem:

Ciekawość, panie, że tylko nad Bugiem. Przyjście taki moment, że nawet o północy, panie, narzuć płaszcz na grzbiet i w drogę czy to koleją, czy autobusem, czy jakąś okazją. Nie da rady, musisz się uspokoić. Nie ma sensu streszczania tu kolejnych perypetii "Siódmego", coraz bardziej grzesznego w absurdalnych zbiegach okoliczności, pozostającego we władzy paradoksalnych nieporozumień. Tu już nie obowiązują żadne reguły prawdopodobieństwa, żadna logika. Zdaje się, że świat stanął na głowie. Lecz istnieje także inna hipoteza: być może narzucono mu absurdalne reguły, których konsekwencją jest idiotyczna śmierć tego człowieka w zmaganiu z telewizyjnym wizerunkiem generała uspokajającego i pouczającego naród (nie miała być tu też wina zdychającego parszywego kota): Siódmy uderzył w całej sily łowem w szklaną ścianę. Porysowała się promieniście, ale nie rozpadła się, więc uderzył drugi raz, trzeci, wyłamał w grubym szkłe wielki, nieforemny otwór, uszedł w ten loch rzejący dobrym ciepłem. uszedł do środka, mignęła mu głaz w przelocie wykrzywiona twarz recepcjonisty, albo agenta udającego recepcjonistę, uszedł więc na skraj hallu i jednym uderzeniem rozbił telewizor, który raptem jakby zapadł się w siebie, skureczył, a potem bardzo wolno wydawał z siebie jakieś cześci metalu, szkła, kolorowej mate-

rii. Lecz wtedy już ziemia zaczynała uciekać spod stóp Siódmego i wydało mu się, że cała kula ziemską ucieka mu spod stóp, że rozpoczyna daleki lot kosmiczny, który nie wiadomo gdzie się skończy. Mam glicerynę pod palcami, przeleciało mu resztką ostatniej myśli. Ale niech popetnie samobójstwo przy pomocy naturalnej śmierci. W ostatniej chwili ocalony zostaje heroizm ludzkiej egzystencji - ale tylko w wymiarze prywatnym, dla innych motywacje tego zgonu pozostaną nieznanne, być może będzie się mówić, że szlag trafił szaleńca. Niemniej absurdalny gest (a może jednak: czyn heroiczny) kończy życie bohatera *Matęj apokalipsy*, głoszącej przeciw ostateczny kres panowania jakiegokolwiek logiki w kraju zagubionym na wschodzie Europy. "A to Polska właśnie".

Te dwie opowieści, dwie ludzkie biografie, składające się na *Rzekę podziemną* nie tylko pojawiają się równolegle, niekiedy zakłócając się, przerywając wzajemnie. Istnieje miejsce, które je łączy ze sobą. To tajemnicza "Puszkarnia", o którą niegdyś toczyli boje bohaterowie *Dziury w niebie* - "chłopcy z placu broni" przeniesieni nad zakole Wilejki. Symultaniczna technika narracji, przenikanie się różnych czasoprzestrzeni, także jest znana z innych utworów Konwickiego (choćaby z książkowej wersji scenariusza filmu "Jak daleko stąd, jak blisko"). Obydwu bohaterów *Rzeki podziemnej* nieustannie "znosi" w inną rzeczywistość, w inny świat: *Tam, w stronę Kowej Wileńki...* *Tam jest także niektóre Wilejki pod wielkim glinianym urwiskiem. W pustawo uroczajach gdzie wiele pokoiów przesunęło, starano uroczajach, coś w sobie, co mi zawsze światem, w światła. Tam jest także pana joga tajemnicza.* Nieustannie powroty do tego miejsca nie są tylko kolicznymi próbami powrotu w "kraj lat dziesiętnych". Obecnie tam ukrywa się Pan Bóg". W ostatnim, zapomnianym już prawie przez ludzi miejscu, które zachowało jeszcze pamięć o podstawowych prawach, o porządku świata. Obląkana bohaterka *Niebieskiej Komitet* bygnąta Kraszińskiego odsłania swemu mężowi wielką tajemnicę: (...) *ja ci opowiem, co by było, gdyby Bóg omieciał... W wielkiej chwili życia w niebie, co w górę - ostatek życia, pełna kasa, krzyż - na trylen" - i se chwila jeden po drugim kasa - ganna komety i słońca. - Chrystus nac już nie ubaw - krzyż swój wziął w ręce ciał i rzucał w otchłani. Czy słyszą, tak ten krzyż, widziała miliona, rozbiła się o gwiazdę, tamie się, poka, ronlatuje w kawałki - wora wstę i niżej - aż tuż w wielki powstał z jego odłanku - i, większa Bogarozica jedna jeszcze się mości i wiaady, jej służe nie, nie odbiegły jej dotąd - ale i Ona pódzie, kędy idzie świat cały. Ta wizja znajduje w książce Konwickiego swoiste rozwinięcie. Prawa rządzące rzeczywistością obydwu bohaterów *Rzeki podziemnej* charakteryzuje fałszywy kolejarz - dziennikarz zachodni (a może fałszywy dziennikarz zachodni, podający się za fałszywego kolejarza - któż to jest w stanie stwierdzić na pewno): *Panu Bogu dokuczyło już wszystko. Zdsiczały kryje się tam w krzakach. Zapali czasem jakieś drzewo, albo huknie trąbą powietrzną, rozsłocha się jakim kosmicznym, a wtedy chmury leca całe w czerwieni tuż nad ziemią i pod sinym niebem, leca z północy na południe pędzone niepokojem z zaświatów. Teraz ciężko jest Panu Bogu. To nie Bóg, to ludzie oszaleli. Jednym z nikczemnych przejawów tego powszechnego szaleństwa był dla autora *Kompleksu polskiego* stan wojenny ze swoimi wszystkimi konsekwencjami, a więc także z deheralizacją śmierci jednostki. Pozostaje tylko poszukiwanie utraconej przed laty Puszkarni. I w zasadzie bezsensowne ukrywanie matryc z wierszami poety podpisującego się kryptonimem "zet z kropką", które nosi ze sobą wszędzie "Siódmy".**

Nieprzypadkowo w tych rozważaniach pojawiały się nieustannie odwołania do wcześniejszych tekstów Tadeusza Konwickiego. Oczywiście jego ostatnia powieść jest utworem integralnym, funkcjonującym samodzielnie, przedstawiającym indywidualną wizję nie tak dawnej przeszłości. Powiedzieć można: zostaje nader osobliwa, w której bunt wobec brutalnej przemocy zostaje sprowadzony do walenia kłębem w telewizor. Atoli ta książka nie ma nic wspólnego z farsą, jak nic wspólnego z farsą nie ma *Paragraf 22* Josepha Hellera. Jest bowiem demaskacją rzeczywistości, którą rządzą prawa farsy. Wobec niej nawet szaleństwo króla Ubu są niewinnymi igrzyskami. W szczególne etapy tej farsy ukazywały kolejne książki Konwickiego. Nie wiadomo dokładnie, kiedy się rozpoczęła. Jedno jest pewne - nieustannie pozostajemy w jej zasięgu. Ponuro brzmia ostatnie słowa tej książki.

Ból, cierpienie, męka. Jeszcze raz to samo. Znowu się ludzie męczą i męczą innych. Najokrutniejsze stworzenia tej galaktyki a kto wie czy nie sąsiednich także(...)

Wszyscy tu się męczą. Otrute drzewa, zarzynane zwierzęta, torturowani ludzie. Wracam na tę ciemną od nowa zazielenioną i od nowa zbiekającą wodami oceanów, wracam z nadzieją i wita mnie jeszcze raz płacz i zgrzytanie zębów. Jeszcze nie mogę nieśmiertelności. Gdzież to cierpiące stworzenie, za którym pójdę teraz, w jeszcze jedną drogę krzyżową. Ty nim jesteś, który dotknąłeś warokiem moich słów, otarłeś się przecuciem o moje myśli, zląkłeś się raptem mego cienia w biały dzień, albo kiedy stałeś za czarną szybą twego okna nad ranem.

Jeszcze przed nami straszna wieczność.

To przecież ocena naszego świata z perspektywy Boga, który porzucił bezpieczne schronienie w Puskarni.

To przecież ocena naszego świata z perspektywy Boga, który porzucił bezpieczne schronienie w Puskarni. A absurdalne losy "Siódmego" były cyklem obrazów pasywnych na młarę końca XX wieku, na miarę wspólnoty, którą stać wyłącznie na "małą apokalipsę", nieustannie przeżywającej dychawiczny, rozlaży i nędzny koniec świata (symbolizowany przez powolne rozsypanie się Pałacu Kultury), a prowincjonalny Piłat (czy Herod, albo nikczemna kontaminacja obu tych zbrodniarzy) wdział czarne okulary - taka to nasza polska ewangelia według Tadeusza Konwickiego.

W takiej rzeczywistości niemożliwe jest zrekonstruowanie jakiejkolwiek biografii. Przeszłość i przyszłość, historia i mitologia, tragedia i groteska uległy całkowitemu wymieszaniu, tworząc bezkształtną a obrzydliwą papkę. Nader trudno wydobyć z niej ważne dla indywidualum farty, oczyścić z oblepiającej, cuchnącej mazi. W takiej rzeczywistości nawet śmierć została zdegradowana, a zmarzy staje się tylko przedmiotem przykrytym skrawkiem gazety, czekającym na przybycie wozu asenizacyjnego (tak dzieje się z "Siódmym").

Rzeka podniebna bynajmniej nie jest powieścią o stanie wojennym, jak *Wniebowstąpienie* nie jest powieścią o konflikcie amerykańsko-sowieckim w Zatoce Świń, jak *Kompleks polski* nie jest powieścią o powstaniu styczniowym, ani *Jak daleko stąd, jak blisko* nie jest filmem o wypędzeniu Żydów z Polski w roku 1968. Te fakty, tak doniosłe dla naszej historii współczesnej, wiążące się nieuchronnie z kategorią "katastrofy", są dla autora *Kalendarza i Klepsydry* punktem wyjścia. Jego interesuje los jednostki uwiklanej w historię. Tutaj jest to los "Siódmego" - przeciętnego człowieka o przeciętnej (jak na prakkie warunki) biografii, za-

płatnego beznadziejnie w ciąg wydarzeń absurdalnych - czyli całkowicie naturalnych w polskich warunkach. Jest to też los człowieka, podejmującego po raz kolejny próbę rekonstrukcji własnej biografii. Tym razem na użytek całkiem prywatny nie dla potrzeb instytucji - jak miało to miejsce w *Nie albo nie* czy *Z obłożonego miasta*. Nie należy przeto rozpatrywać *Rzeki podziemnej* w kontekście *Raportu o stanie wojennym* Marka Nowakowskiego ani *Roku w trumnie* Romana Bratnego. Przynajmniej dla mnie jest to manifestacja historiozofii trwale osadzonej w tradycjach myśli polskiej, głoszonej choćby przez Zygmunta Krasińskiego, bliskiej pesymizmowi *Szewców*, *Nienasyceńtu* Witkacego, także i temu jego wierszykowi:

*Nie zabrną me twory popod żadne strzechy,
Bo wtedy, na szczęście, żadnych strzech nie będzie.
W ogóle z tego żadnej nie będzie wieciechy,
I tylko świnstwo równomiernie rozpełźnie się wszędzie.*

Jest to próba ocalenia resztek godności ludzkiej, próba podjęta w czasach, gdy - jak powiedział autor *Nienasyceńta* - *wszystko rozwiła się w coś w polskich terminach niewyraźnego. Cóż, obecnie posiadamy na to "coś" i terminy, i nabrzmiała patriotyczna troską uzasadnienia.*

Czytelnika, który podejma lekturę ostatniej książki Konwicia w przekładzie Pawła Kowalskiego poczętku stanu wojennego, bez wątpienia spotka pewne. Może się nawet zastanawiać, przystojność nadmierem ostrości i absurdalności w stronę zjawisk społecznych, nie powiązanych ze sobą chronologicznie i kulturowo, antonimologicznie. Za przykład służyć może tutaj, że ten sam autor jest także dziełem jego egzystencji, być może został już wcześniej uznany za naturalny i logiczny porządek rzeczy. Może bowiem pamiętać jeszcze o "ogólnych życiach", przypominanych przez Miłosza w wierszu *Wiersze*, *nie powinien*:

*Człowiek nie powinien kochać księżycą,
Słotkora w jego ręku tracić nie na ciężaru.
Sady jego powinny pachnieć gnijącymi jabłkami.
I porastać pokrzywami w miare.
Człowiek mówiąc nie powinien używać słów dla niego drogich
Ańi rozstępować biarna żeby zolaczyc co jest w środku.
Nie powinien rzucać kruszyny chleba ańi piuch w ogień
(Tak przynajmniej uczono mnie na Litwie).
(...)*

Powszechnie obowiązujące dekalogi zmieniają się nieomal z dnia na dzień, a szatanowi nadaje się wciąż nowe oblicze, którym straszy z plakatów, nagłówków w gazetach. To smutne, ale nawet diabeł został odarty z godności w naszym świecie. Być może i on ukrył się w Puzkarni, a kusi tylko jego nikczemna imitacja, przeraża tandetna atrapa. Tadeusz Konwicki ukazuje mechanizmy rzeczywistości, w jakiej stan wojenny - czyli "wojna z narodem" - stał się faktem. Oczywiście, jako zabobonny Litwin - to istotna, konsekwentna autokreacja pisarza - nie posługiwał się obiektywnymi kryteriami socjologicznymi czy politologicznymi. Po raz kolejny podjął analizę metafizyki zła panującego powszechnie (ci czy inni sprawujący władzę to tylko narzędzia bezwolne), ukazując jego nikczemność i straszliwe konsekwencje, prowadzące bezpośrednio do totalnego odczłowieczenia.

Rzeka podziemna to nie tylko utwór literacki zasługujący w pełni na lekturę, godny uwagi nie tylko zwolenników twórczości

Konwického. To także propozycja interpretacji naszych dziejów najnowszych. Tym cenniejsza, że pozbawiona katwego optymizmu, w jaki popadają nie tylko urzędowi pisarze i publicyści. Powtórmy przeto raz jeszcze przesłanie tej książki:

JESZCZE PRZED NAMI STRASZNA WIECZNOŚĆ.

Czy nie jest to ważniejsze niżli bełkot takiego czy innego władcy, uzasadniającego kolejną zbrodnię? Wszak prawa fundamentalne zostały ustanowione w Puzkarni, tam też będą zawsze przechowywane. Trzeba tylko podjąć ryzyko poszukiwania do niej drogi... To jedna z szans ocalenia ładu, wyrwania się z zaklętego kręgu absurdu, jaki przydzielono nam na życie.

SAMUEL OBIEDZIŃSKI

MIROŚLAW GAJDA

LEKCJA MIASTA

Dzisiejsza Gdynia jest starsza od Gdańska. Zdanie to tylko z pozoru wydaje się paradoksem. Gdynia jest starsza, albowiem udało się jej szczęśliwie uniknąć zniszczenia podczas wojny i - późniejszej odbudowy. Miało to dla miasta ogromne pozytywne konsekwencje.

Gdańsk zniszczono, żeby go już nie było. Potem zmieniono decyzję i przystąpiono do odbudowy. Turystę zachwyca gdańskie Główne Miasto, kościoły, nadmorski żuraw. Żyjący mieszkańiec przeklina codziennie usiłując dokonać tu zakupów.

Gdynia ocalała, a współczesna rozbudowa nie zdołała jej do końca zepsuć. Jest ona jednym z nielicznych miast w Polsce, w których da się w miarę przyzwyciężyć życie; miast niekierowanych ku ludzkiej i ich potrzebom.

Gdańsk dzisiejszy jest tworem niespójnym. Powie ktoś: zawsze tak było. Zgoda. Jest jednak różnica między harmonijną różnorodnością mozaiki, a rozrzuconymi beładnie klockami, należącymi co gorzej do różnych kompleksów. Gdańsk obecny rozpada się na poszczególne dzielnice wadliwie ze sobą skomunikowane i pozbawione ducha wspólnej tożsamości. Żadne zdanie nie może już być prawdziwe w odniesieniu do tego miasta jako do całości. Dlatego tak trudno byłoby dzisiaj egzemplifikować pojęcie gdańskiego *genius loci*. W tej kwestii obraz Gdyni jawi się dużo wyraziściej.

Trójmiasto w ogóle stanowi aglomerację ciekawą. Gdańsk, Sopot i Gdynia, położone nad Zatoką, są atrakcyjne dla przyjezdnych i mieszkańców dzięki specyficznemu "zróżnicowaniu w jedności", dzięki połączeniu i wzajemnym przepłataniu różnych rodzajów architektury, odwoływaniu się do różnych wzorców kulturowych, przywoły-

waniu odmiennych tradycji. Specyfika położenia geograficznego z nakładającą się nań wielowątkową historią tych ziem dały w efekcie miejsce, w którym współzistnieją synchronicznie sprawy gdzie indziej oddzielone od siebie przepaściami lat i wieków. Dla nieśpiesznego przechodnia jest to grątko, o jaką coraz trudniej we współczesnej Polsce. Oczywiście i tutaj system położył swój cień. W ideologicznej metryce Trójmiasta wpisano jako datę urodzenia rok 1945, a jako ojca - komunizm. Potem zaś postarano się, aby dopasować do tej teorii fakty.

Gdańsk po wojnie został, jak prawie wszystko w tym kraju, upaństwowiony. Burząc go chciano zlikwidować jego niemiecko-hanzeatycki krój. Gdy zaś zapadła decyzja o odbudowie, pomyślano przede wszystkim o tym, aby jak najszybciej dokonała się jego asymilacja w obręb państwa polskiego. Miał tu zamieszkać PRL. Upaństwowienie Gdańska stało się przyczyną wielu dotkliwych nie-wygód jego nowych i starych mieszkańców. Dotyczy to przede wszystkim sieci handlowej i komunikacji miejskiej, ale też gastronomicznej czy usług dla ludności.

Miasto obsługiwało Instytutami, Bibliotekami i Muzeami, a w latach 1950-1955 miało swój własny teatr, filię Opery, Filharmonii, a także własny zespół operowy i orkiestrę. W latach 1950-1955 miało swój własny zespół operowy i orkiestrę. W latach 1950-1955 miało swój własny zespół operowy i orkiestrę.

Dotyczy handlowej Sieci Gdańska. Właściwie to nie ma tu żadnego handlu, a jedynie sklepy, które są w rzeczywistości magazynami towarów.

Wśród podmiotu i wielu z nich widać, że jest to niekiedy ten sam człowiek, który w latach 1950-1955 pracował w Ministerstwie. Właściwie to nie ma tu żadnego handlu, a jedynie sklepy, które są w rzeczywistości magazynami towarów. Właściwie to nie ma tu żadnego handlu, a jedynie sklepy, które są w rzeczywistości magazynami towarów. Właściwie to nie ma tu żadnego handlu, a jedynie sklepy, które są w rzeczywistości magazynami towarów.

Co gorsza, państwowe te miasta coraz bardziej się psują. Odzwiają swoim mieszkańcom już nie tylko świeżego pieczywa, ale również wody i elektryczności. I choć kłopoty te - z zaopatrzeniem, z wyłączeniami prądu, a komunikacją - dotyczą całego naszego państwa, to przecież nie wszędzie są one tak dotkliwe jak w Warszawie czy Gdańsku.

Wydaje się, że o wiele mniej z ich powodów cierpią mieszkańcy Gdyni. Jej projekt architektoniczny i jej śródmiejskie centrum powstawały w latach polskiego optymizmu. Była Polska niepodległa, były plany Centralnego Okręgu Przemysłowego, były ambicje i marzenia morskie, a nawet - zamorskie. Gdynię budowano spontanicz-

nie, bez sztucznych ustaleń. Budowano ją w pierwszym rzędzie jako alternatywę i konkurencję dla pozostającego w rękach Niemiec kich portu gdańskiego. Spontanizność budowy nadawała miastu od początku charakter dynamiczny i nowoczesny.

Duch tamtego optymizmu jako szczęśliwie przetrwał do dziś. Oczywiście - okaleczony, oczywiście - skrepowany, ale jednak jest. Upaństwowienie Gdynia przetrwała o tyle szczęśliwiej od Gdańska, że przynajmniej zachowała w centrum swoją przedwojenną formę. W Gdańsku wymieniono wszystko - i formę, i treść.

Gdynia była przed wojną odważną przygodą młodego państwa. Przy jej budowie istotną była świadomość, że powstaje miasto, co do polskości którego nikt nigdy żadnych wątpliwości mieć nie będzie. Mówiąc lapidarnie, duch Gdyni jest duchem wszechstronne-go funkcjonalizmu. Po pierwsze, miało to być miasto funkcjonalne dla państwa, po drugie - maksymalnie użyteczne dla swoich mieszkańców. Dodatkowo jego konsumpcyjną atrakcyjność podnosił charakterystyczny koloryt miasta portowego z zawartym w nim miejscem dla przelotnych podróżnych.

Dzisiejsza Gdynia jest nieporównanie większa od przedwojennej. Nowe dzielnice pod względem architektonicznym wciąż mają wspólnego z ogólnym peerelowskim stylem, niż z ulicą Świętojańską. Jak to się jednak dzieje, że zaopatrzenie w nich, komunikacja i w ogóle atmosfera jest o wiele lepsza niż w bliźniaczych twórah innych miast, pozostaje sekretem. A sekret ten właśnie nadaje Gdyni niepowtarzalną swoistość.

W Gdańsku na pierwszy rzut oka spotykają się ze sobą różne epoki, style architektoniczne, tradycje historyczne. To jednak wrażenie tylko powierzchowne. Powziąć je może jedynie śpieszący się turysta, oglądający miast z zewnątrz. Dla mieszkańca i dla kogoś, kto potrafi wniknąć w głąb miasta, Gdańsk ujawni swoją dzisiejszą iluzoryczną fasadowość, dekoracyjność maskującą bliski ideom socrealizmu uniformizm, to nie kamieniczki, to atrapy kamieniczek, to nie Główne Miasto, to makietą Głównego Miasta w skali 1:1 ustawiona po to, aby ją oglądać, ale nie nadająca się do tego, aby w niej mieszkać.

Gdańsk dzisiejszy jest takim smutnym tworem z amputowaną własną historią i rozsiąną po peryferiach przyszłością. Miasto o tekturowym sercu, nie organizm, tylko luźne połączenie dzielnic. Sądzić by można, że ludowa definicja socjalizmu - sprawiedliwy podział ńędzy - ma do tego miasta szczególne zastosowanie. A widać to tak wyraziście przez kontrast do czasów dawnej świetności i przez pamięć tętniącego tu życia. Gdynia nie ma tak znakomitych tradycji. Miała za to tę odrobinę historycznego szcścia, że w roku 1945 nie rozerwano ciągłości jej rozwoju. I choć jest miastem mniejszego od Gdańska kalibru, to jej przypadki wywyższają ją walor autentyczności.

Niemożliwością jest dzisiaj polubić Gdańsk w całości. Tak zresztą, jak nie można go w całości przekląć. Po prostu - Gdańska w całości już nie ma. Są mniej lub bardziej sympatyczne dzielnice i ulice, ale nie zbiegają się one w pojęcie jakiegoś centrum, które wyznaczałoby niepowtarzalną odrębność jakiegoś duża miejsca i z którym mogliby się identyfikować wszyscy mieszkańcy.

Używając dużego skrótu, opowiedziałbym o dzisiejszym Gdańsku, o jego enigmatycznym centrum rozumianym tak fizycznie, jak du-

chowo, że jest to miasto rozpięte między Pomnikiem Poległych Stoczniovców, a ruiną kościoła św. Jana i przyległych doń również zrujnowanych domów. Te dwa punkty, choć symbolizują zniszczenie i pamięć, a może właśnie dlatego, wyznaczają centrum miasta. Odnaleźć w nim można figurę losu będącego udziałem całego kraju po wojnie. Tutejszy dramat jednak rozgrywa się w oszałamiających dekoracjach i może dlatego jest tak przejmujący.

Figura losu, o której piszę, a której kształt wyraźnie w Gdańsku dostrzegam, polega na procesie dematerializacji rzeczywistości. Fantastyczny paradoks komunizmu sprowadza się do tego, że przecinając nie tradycję i biorąc we władania rzeczywistość, zwrócić miejsce, nie jest w stanie nad nią zapenować, gdyż nabiorają one charakteru bycia metafizycznego. Taki charakter zresztą miały również budowle, w ich toś samość, ale dopiero w takich chwilach sięga się do jedynej, możliwej tam autentycznej istnienia. W ten sposób odbywa się przebieg komunistyczna produkcja duchowych przedmiotów. Gdańsk jest jednym z nich.

Gdańsk był zawsze strukturą otwartą, lecz równocześnie bardzo swoistą. Cechowała go dumna niezależność. Potrafił jej bronić, ilekroć była zagrożona. Mógł ją obronić, albowiem przy całym swym rozwarstwieniu - społecznym, narodowym, kulturalnym - stanowił całość czytelną tak od wewnątrz, jak i zewnątrz.

Dzisiejszy Gdańsk ma uniwersytet i ma stocznie. Krótki był jednak czas, gdy miejsca te zaistniały integralnie w obrębie miasta. Krótki i dla systemu niebezpieczny. Dziś powrócił do stanu przedsierniowej izolacji. Zamknięty Gdańsk stał się miastem-maską, miastem scenograficznym, w którym grana jest sztuka pełna aluzji, podtekstów i metafor. Dla zwykłego, potocznego życia brakuje w nim przestrzeni.

W tej perspektywie obraz Gdyni jest mocno kontrastowy. Gdyńskie domy niczego nie udają, po prostu są i mieszkają w nich ludzie. Większość z tych domów stojących w centrum jest ciągle własnością prywatną i ma to zapewne spore znaczenie dla przechodzenia w nich owego stylu międzywojnia budującego gdyńską atmosferę.

Ocalając swój funkcjonalizm, Gdynia nie dała się rozbić na części. Pomogło jej w tym zresztą położenie geograficzne. Poza tym, inaczej niż w przypadku Gdańska, władza nie musiała, a nawet nie chciała ingerować tak drastycznie w charakter miasta, by przerobić je "na obraz swój i podobieństwo". Wręcz przeciwnie: odwoływanie się Gdyni do swych międzywojennych początków było nawet komunistom na rękę, bo dawało argument w żmudnej i zawikłanej dyskusji międzynarodowej nad polskością tego obszaru naszego państwa.

Pomimo więc upaństwowienia, pomimo poddania systemowi, dla którego zaspokajanie potrzeb ludzkich jest zawsze na drugim miejscu po rozwijaniu przemysłu ciężkiego, Gdynia, przynajmniej w swym śródmiejskim centrum, zachowała cechę użyteczności, służebności ludziom.

Szlachetna troska o przyzwoitość codzienności obca jest współczesnemu Gdańskowi. Wystarczy porównać rozwiązanie skupu butelek w obu miastach, aby zrozumieć, na czym polega ta różnica. A skup butelek, jak wiadomo, jest jednym z podstawowych problemów socjalizmu i jednym z podstawowych mierników komunistycznej zdolności upórąnia się z rzeczywistością.

Wysoki stopień integracji Gdyni znajduje odbicie także w czynniku demograficznym. Miasto to silnie związane jest z kaszubszczyzną i ten kontekst tutejszości ma dla niej także życiodajne znaczenie.

Swoista przyziemność gdyńska zapobiega powstaniu wielkiej szczeliny między życiem duchowym a materialnym miasta, a taka szczelina powstała w Gdańsku. Obrazem tego może być różnica w roli, jaką pełnią w miastach tych dziś kościoły. W Gdańsku tworzą one mistyczną niemal przestrzeń - silną, lecz nie identyczną z przestrzenią miasta. W Gdyni kościoły wtopiły się w ulice. Nie ma przepaści między nimi a sklepami - tak jedno, jak drugie służy ludziom. W Gdańsku ta przepaść istnieje, bo Gdańsk, jak już zostało powiedziane, wie dzie w tej chwili żywot królestwa ducha. Więcej tu idei niż mięsa, więcej czasów przeszłych niż teraźniejszości, więcej transcendencji niż restauracji.

Wieść gminna głosi, iż wynika to stąd, że Gdańsk jest miastem ukaranym przez władze. Traktuje się go jako zło konieczne i w gruncie rzeczy nie lubi - za tradycję, za Grudzień, za Sierpień, za "Solidarność". Gdy wysyłano w 1970 roku żołnierzy na trójmiejskie ulice tłumaczono im, że idą bronić miasta przed siłami chcącymi oderwać Gdańsk od Polski. Strajkującym robotnikom wmawiano, że są manipulowani przez "zachodniemieckich rewanzystów i rewizjonistów". Dziś wiernym w gdańskich kościołach śpiewającym "Ojczyznę wolną racz nam wrócić Panie" imputuje się, że rozumieją przez to powrót niemieckiej administracji tych ziem. Ta wulgarna propaganda, choć z wychowania fałszywa, odzwierciedla jednak silną niechęć władzy do miasta sprawiającego jej tyle kłopotów.

Nie pomogło zbiorzenie, nie pomogła wymiana ludności, nie dały zadowalającego skutku zabiegi dezintegracyjne. Być może raczej więc ma lud, gdy powiada, że tutaj za karę tak trudno się żyje cywilom.

Różnica między Gdynią a Gdańskiem uwidoczniła się wyraźnie w przebiegu wypadków grudniowych, a potem w lecie roku '80. Piętnaście lat temu Gdynia okazała się bardziej zorganizowana. Robotnicy utworzyli Komitet Strajkowy i nadali swojemu protestowi zdumiewające, zważywszy ich brak doświadczenia tego typu, formy organizacji. I choć przebieg wydarzeń w Gdańsku miał dużo bardziej burzliwy charakter - spalono przecież Komitet Wojewódzki - to gniew władzy skupił się na Gdyni. Z politycznego punktu widzenia bowiem groźniejszy jest przeciwnik zdyscyplinowany, zorganizowany i świadomy celu, do którego dąży, od pozbawionego przywództwa tłumu, w którym instynkty biorą górę nad rozumem.

W Sierpniu, wyrastającym przeciw z grudniowych doświadczeń, najważniejsza była oczywiście gdańska stocznia, siedziba MKS-u. Wszystkie jednak druki strajkowe powielano w drukarni gdynskiej Stoczni Komuny Paryskiej, gdzie robotnicy od pierwszych chwil zawiądnęli urzędzeniami poligraficznymi, podczas gdy ich gdańscy koledzy toczyli na ten temat rozmowy z dyrekcją.

Podają te przykłady nie po to, aby wywołać atmosferę jakiegokolwiek rywalizacji między obu miastami. Pozostają one przecież w obrębie jednego organizmu i w takich właśnie chwilach przełomów, walki nawet, znakomicie się uzupełniają. A uzupełniać się mogą właśnie dzięki temu, że tak się od siebie różnią.

Krajobraz powojennej Polski mocno poszarzał. Zwyciężyła w nim tendencja do upodobnienia miast i wsi. Przechowane tu i ówdzie klimaty lokalne giną pośród koszmarnej typowości. Wspominam wyabyty na oko z wszelkiej historii Garwolin, Grójec, Konin, wspominał tysiące wósek pozabawionych określonej przestrzeni, kształtu, formy, tradycji, przyodkrowo nastianych ohydnyimi szefetanami z cęgły czy betonu i dalej płaczę coraz grubszymi łzami. Kto odebrał nam polski pejzaż, jego specyfikę, historyczność i piękno, dlaczego tak się stało? /.../ Faktem jest, że miészkanie Garwolina, Błonia lub nowego Piaseczna żyje w architektonicznej pustce i nicości /" w Polsce, czyli nigdzie"/, indywidualność swą zaświadczyć może, owszem, po kryjomu, w czterech ścianach własnego domu, w zamknięciu, krajobraz zaś, który go otacza poza domem, nie jest jego, nic mu nie mówi, stanowi duchową próżnię. - pisał w 1981 roku Kisiel.

Na tym tle skarbami stają się miejsca o wyróżniającej je swoistości. Miasta, których zabytki nie są muzeami, lecz tworzą ciągłość ich życiowej przestrzeni. Wsie o tradycjach kontynuowanych w sposób naturalny przez kolejne chłopskie pokolenia. Miejsca jednym słowem, których tzw. "postęp" nie zdołał zaościć.

Wbrew wszystkiemu, co zostało tu powiedziane o katastrofie Gdańska, jest on ciągle miastem o silnej indywidualności. Można by nawet pokusić się o stwierdzenie, że tak na dobrą sprawę zostały nam już /czy też - aż?/ tylko dwa takiej miary miasta - Kraków i Gdańsk. Kraków z Nową Hutą i Gdańsk z Gdynią. Jak między dwoma biegunami magnesu, między dwoma elektrodami płynie między nimi życie dzisiejszej Polski.

Na przykładzie Gdańska można zobaczyć, jak wygląda i jaki daje skutek technika jego rozbrajania. Kraków jest być może lepiej uodporniony, stanowi bowiem całość bardziej zwartą. Szukając w roku 1981 nowej siedziby krakowskiego Zarządu Regionu, nie mogłem dopytać się o nią przechodniów. Nikt nie wiedział, gdzie to jest. Wskazał mi ją dopiero pewien zakonnik. Odniosłem wówczas wrażenie, że tam "Solidarność" jest przede wszystkim sprawą Nowej Huty. Kraków jest oczywiście "za", ale jest równocześnie "ponad". - Taki lekki dystans wobec współczesnych wydarzeń, będący przywilejem miejsca, w którym pochowani są polscy królowie.

Rzadki to dzisiaj przypadek, że ktoś jest dumny z miejsca swojego zamieszkania. Regułą jest tak charakterystyczne nad Wisłą lekceważenie rzeczywistości, traktowanie jej w sposób tymczasowy. Zamieszkiwanie w tym, co było albo w tym, co ma być. Takie miasta jak Gdynia uczą nas wszakże sztuki znakomitszej - zaś równie ważne jak zagospodarowywanie mitów jest udomawianie ulic.

Dobrze, że dzisiejszy Kraków ma swoją Nową Hutę. Dobrze, że współczesny Gdańsk porównany jest z Gdynią. Dobrze też, że Warszawa ma swój Żoliborz, Pragę hordien, także ta o współczesności, uwielbia mieszkać w sprzecznościach.

Mirosław Gajda

OSWIADCZENIE

Zgodnie z wolą zmarłego Józefa Mackiewicza upoważnia się wszelkie nielegalne wydawnictwa w PRL do przedrukowywania jego książek, pod zasadniczym warunkiem nie dokonywania żadnych skrótów, adiustacji, ani też opatrywania ich wstępami, komentarzami itp. Właściwym miejscem dla krytyki literackiej i politycznej są łamy czasopism.

Zgodnie z wolą zmarłego Józefa Mackiewicza zabrania się natomiast jakichkolwiek przedruków, nawet bez skrótów i zmian, wydawnictwom legalnym, jednoznacznie reżimowym, czy tylko koncesjonowanym, ale zależnym od bieżącej polityki wydawniczej komunistycznych władz. Mogłoby się bowiem zdarzyć, że w ramach taktycznej "liberalizacji", ale także uprawianej za wzorem Kremla polityki likwidowania politycznych - niech pośmiertnie! - emigrantów przez drukowanie ich "wybranych" utworów /w Sowietach np. rozpoczęto już druk Bunina/, ktoś w najlepszej intencji i w przekonaniu, że coś tam dla kultury polskiej ocala, postarałby się o wydanie w jakimś kameralnym wydawnictwie niepolitycznego "Karirowicza", czy kilku niepolitycznych nowel. A nawet, być to może, politycznej "Kontry".

Józef Mackiewicz był człowiekiem skromnym. Józef Mackiewicz był w poglądach bezkompromisowy. Uważał, że jedyne godne miejsce dla emigranta politycznego w kraju rządzonym przez wroga jest więzienie. Co go, na szczęście, ominęło.

Z prośbą o przedrukowanie we wszystkich piśmiech emigracyjnych i nielegalnych w PRL.

Barbara Toporska Mackiewicz

Cena 350zł

W numerze 3 m.in.: "Istnieją granice siły..." - rozmowa z Gunterem GRASSEM; Leszek KOŁAKOWSKI - Ogólna teoria sowyetyzmu; Anna BARYCZ - Refleksje nad liberalizmem; Sylwetka Raymonda ARONA; Marcin MOSKIT - Szturm na bramy; Andrzej GWIAZDA - Z więzienia.

W numerze 4 m.in.: Paweł ADAMSKI - Wspomnienie o Lechu Bańkowskim; Jadwiga STANISZKIS - Własność, racjonalność, dynamika, struktura; Raymond ARON - Testament; Alain BESANCON - Śmierć trupa; Zbigniew BRZEZINSKI - Tragiczne dylematy sowieckiego imperium; Sylwetka Astolfa de CUSTINE; Trzy wystąpienia GRUPY PUBLICYSTÓW POLITYCZNYCH.

W numerze 5 m.in.: Marcin KROL - O tradycji chrześcijańskiej w polskiej myśli politycznej; GRUPA PUBLICYSTÓW POLITYCZNYCH; Sylwetka Friedricha von HAYEKA; Historia gdańskiego ruchu samorządowego; Mikołaj BIERDIAJEW - Myśli o Rosji.

W numerze 6 m.in.: Ireneusz KRZEMINSKI - Polska i "Solidarność"; Jadwiga STANISZKIS - Forma myślenia jako ideologia; Sylwetka Ludwiga von MISESA; Leszka NOWAKA teoria nowego totalitaryzmu.